

JÓZEF ŁOZIŃSKI  
**PAROKSYZM**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

**I**

Słońce silnym, oślepiającym światłem wczesnego południa  
uderzyło o szyby, kiedy autobus  
minął las i jak głośnica zaczął piąć się na wzgórze, które było  
ostatnim polodowcowym  
wzniesieniem przed zjazdem do Wsi i ostatniś przeszkodś dla  
pulchnego kierowcy o wodnistych  
prawdziwych oczach człowieka czynu. Juliusz Widok uśmiechnął  
się zaskakująco naiwnym  
uśmiechem, który w otoku trzydniowego zarostu i bujnych  
falistych włosów upodabniał  
go do św. Franciszka, o ile św. Franciszek nie przeleciał jak  
błyskawica w historii rodzaju,  
to upodabniał i był całkowicie jego własnościś. Przerazliwe  
wycie motoru wzbudziło w  
nim niesmak, senny dotychczas umysł z ostrś wyrazistościś  
zobaczył kilka spracowanych bab  
o jednookiej, cyklopiej dobroci i dreszcz niewytłumaczalnego  
obrzydzenia zadygotał ciałem,  
które lepiło się od brudu. Kierowca o wodnistych, prawdziwych  
oczach człowieka czynu  
ochryple zaczął: dziewico północy, cóżżeś ty za pani – i nagle  
odwrócił zdrowy łeb, i wbił  
w niego to zaraźliwe spojrzenie.  
– Tak to jest, człowieku – krzyknął. – Tak i koniec.  
Juliusz uśmiechnął się tym zaskakująco naiwnym uśmiechem i  
pomyślał, że jest to facet na  
pewno ludzki i pobożny, i nigdy, przenigdy przez trzy dni nie  
nosiłby w sobie brzemienia

oemierci, trzy dni nędznego kotłowiska straconych złudzeń i  
upodlenia w nieznanach knajpach,  
tych godzin oczadzonych beznadziejnym oczekiwaniem na cud, że  
przyjdzie i wyciśnie go z  
piekła ktoœ jedynie wierny, oczywiście cudownie wierny i bosko  
kochany, i przebaczy mu  
kšsanie przewin, zrobi to dla niego, który nie może, nie może  
przyjść tak normalnie do wiadomości,  
że On nie żyje; bolesna zasada niezgody na nicooć, na proch,  
który skrzył się w godzinach  
kompletnego otepienia i zbawienia. O, Chryste. Z wysiłkiem  
podniósł ociężałe powieki  
i zobaczył wyskakujące po bokach chłopskie sadyby, goršce,  
opustoszałe sady, w których  
mógł być władcš. Ach, biada tobie, ziemio, której król jest  
dziecięciem. Autobus zatrzymał  
się i jednooka cyklopa dobroć runęła do wyjœcia, dał kierowcy  
kilka złocizy, on zaœ  
powtórzył: tak to jest, człowieku, tak i koniec. Wysiadł i  
sztywnym, prostobitnym krokiem  
ruszył œrodkiem szosy, jego długi, falisty włos i młodzięcza,  
szara od smutku gęba nie  
wzbudzały żadnego zainteresowania wieœniaków, których w  
zasadzie juŹ nie było, stwierdził  
to z bolesnym zdumieniem i poczuł się jak bezpański, ohydny pies,  
nie było w nim tej pierwotnej  
ciekawoœci z tamtego czasu, kiedy przyjeżdżał do Niego jako  
dziesięcioletni, dwunastoletni  
i czternastoletni pędrak, który żywo był komentowany przez  
życzliwych, spalonych od œwiatła ludzi i których zawsze głęboko  
kochał. Zamknął oczy i siedł w ciemnoœciach, czuł,  
jak serce wpada w wieczny rytm ziemi, jak niebo zamienia  
czarne słońce w złocisty brzeg  
aureoli rozradowanych męczenników i uratowanych od impotencji  
męczyzn, czuł, jak

chwytajš go kwiaty lenistwa i Chrystus Cendrarsa spada do wielkowiejskiej kloaki, a On jest tylko senny, tylko odległy w otwartym œpiewie szlachetnego spokoju, tylko powtarzajšcy:  
godzien, godzien, godzien. Czuł to. Był juŹ niedaleko i poprzez tę ciemnoœć, którš rozœwietlił  
natychmiast jasny wrzœeniowy dzieñ, ujrzał samochód ojca w kolorze yellow bahama i kompletnie zrujnowany dom, i Ryszarda w uroczystym garniturze niedbale wspartego o plot, i zrozumiał, Źe nie wytrzyma i rozerwie ciszê zbitym skowytem.  
– Jesteœ – powiedział Ryszard.– Ty, œwinio.  
Ale nie słyŹał. Schylił siê nad szerniałym progiem i ustami przywarł do œladu, który nie mógł być napowietrzny ani zmyœelony, rozrastał siê przez ćwierć wieku w tej czystej wspanialej przestrzeni, odbierał posiadaczom bogactwo i składał w rœce rozkołysane jak morze jego dobry wielki dziad, któremu oddaje w tej chwili poœmiertny pokłôn i który umierał w tym zrujnowanym domu od wieków, poniewaŹ rozumiał swoje miejsce i miejsce swego miejsca,  
i wyklšł go na te trzy dni, kiedy bœdzie tu leŹał jak suchy wiór, wyklšł w imię tego włœcienie miejsca w przyrodzie i w prawdzie. O, Chryste. Podniœł szarš od smutku twarz i uwaŹnie otrzapał spodnie. Ryszard Widok wycedził głuchym, ale sympatycznym głosem: – Ty, blaŹnie! Gdybyœ nie był moim bratem, to zrobiłbym z ciebie miazgê.  
– Jesteœ kochany – powiedział Juliusz. – Dlatego dziadek tak cię nienawidził.  
Ale to bez znaczenia. Przebacz mu.  
Ryszard Widok zgrzytnšł zębami i pchnšł go do izby. CzyŹ nie widzê nic na dwa kroki od siebie? Spoglšdał w głšb domu i wiedział, Źe jest tu niepotrzebny.

Chwilo, pomyślał. Jesteś  
piękna i uniwersalna, moje uszy stają się tak rozciągliwe jak macki  
meduzy, słyszę profesorski  
głos mojego ojca, który jest tak głuchy, jak głuchy może być  
tylko płacz w domu żałoby,  
wibruje i łka nad tym wszystkim niewyraźnym, moja matka o  
jurnym wyglądzie, który może  
wyzwolić kompleks Edypa, moje usta zapiekłe od bólu istnienia, ta  
chuda głupia żona Ryszarda,  
który by zrobił ze mnie miazgę i ruina, kompletna ruina tej  
chałupy. To beznadziejne,  
beznadziejne.  
Profesor Jan Maria Widok stał przed nim i mówił urywanie,  
głuchono, szczerze po profesorsku.  
Jego wypukłe duże oczy kreśliły znak ryby.  
– Nie, chłopcze. Naprawdę nie. Gdybym kiedykolwiek zakładał,  
że mój drugi syn będzie  
kpił z podstawowych wartości gatunku, a także podstawowych  
wartości jest śmierć i narodzenie,  
gdybym kiedykolwiek tak choćby pomyślał, to go tymi  
chłopskimi rękami jak wesz.  
Ale nie,  
chłopcze. Naprawdę nie. Przyjeżdżasz do Jego domu i grasz teatr,  
chcesz ożywić w nas przekonanie  
mieszkańców wyspy Bali, że jest to jedyna, ponadczasowa  
radość, gdy dusza opuszcza  
cielesną powłokę, chcesz nas zobaczyć w białych chitonach  
roztańczonych przy ogniu.  
Nigdy, chłopcze. Naprawdę nigdy. Wydaje mi się, że śmierć nie  
jest dla ciebie przeżyciem. I  
pomyśleć, że na własnej piersi wyhodowałem zmię. Na kolana!  
Juliusz uśmiechnął się tym zaskakująco naiwnym uśmiechem i  
pokręcił przecząco głową,  
zrobił to może nawet bezwiednie, bo ten geniusz i brat bogów nie  
był tu ważny, jego ojciec i

jego nęcza, nie, nie, w każdym razie nie teraz i nie dla tej ruiny,  
zrobił ruch, jakby chciał mu

dać w twarz, ale matka krzyknęła ostrzegawczo i zobaczył to  
oślepiające słońce nad polami, i

Jego w tragicznym chłopskim kapeluszu, chciał mu coś  
powiedzieć, płynął w zasadzie nad

własnym marszem i zniknął w bezkresie horyzontu, zniknął od tak  
dawna, że po prostu nie istniał.

Wybiegł z mieszkania na omiecione wiatrem podwórze, rozglądał  
się za tym ciałem ani

napowietrznym, ani zmyślonym, ruszył zdecydowanie w stronę  
przebiegłej od starożytności obory,

w której znalazł kupę wyschniętego tajna, zwałił się jak podcięty  
pamięciś, wyciągnął pogniecione

kawałki papieru i zaczął czytać nachalnie, rozpaczliwie.

Kochany. Dlaczego mi nie wierzysz? Dlaczego chcesz zniszczyć  
naszą miłość w imię tych

obłądnych insynuacji, których nie rozumiem. Kocham cię. Siedzę  
nad dramatami Witkacego i

nie mogę przeczytać żadnego z tych kulfoniastych zdań, którymi  
tak się zachwycasz. To

przecież wariat. Myślę o tobie z żalem i rozkoszą. Och, gdybym  
mogła zobaczyć twoje oczy,

w których nie ma żadnej utopii, gdybym na sekundę znalazła się w  
twoich objęciach, wyjaśniłabym

ci wszystko, wszystko. Nie mogę zapomnieć tych kilku dni u  
twojego dziadka, który póty nie tak mnie znieważał. Ale jestem niewinna,  
kochany. Przysięgam. Nasze wiejskie noce!

Och, Juliuszu, Juliuszu. Pamiętam spokój tej chałupy i snujący się  
w niej niewidzialny czas

widzialnego rodzaju Widoków, którego mężczyźni nigdy nie  
przegrywają, ponieważ znają swoje

miejsce i swego Boga. Pamiętam, jaki był delikatny i  
wyjątkowo męski w tych godzinach

czystego szaleństwa. Twój dziadek był taki dobry i taki

wyrozumiały, i tyle mówił o oświetleniu

swoich synów, którzy gnijś już w ziemi, prócz chluby rodu, twego starego.

Jeszcze słyszę

jego mocny zadumany głos. Jeszcze w moim umyśle hula ten wasz pradziad, którego car

uszlachcił za serafińską grę na cymbałach. On mówił o tym z takim wewnętrznym drżeniem i

z takim nie dajścym się racjonalnie wytłumaczyć zapalem, że zaczęłam się niepokoić o moje

kobiece prawo do szczęścia. Bo ja, mówiło podskórne milczenie twego dziadka, jestem nieznane

zło w przewiewnych ciuchach i z perlistym oemiechem.

Widokowie takich kobiet nie widzś obok siebie, nigdy nie będziesz jego żonś, ponieważ oemierdzisz mu w tych wymyślnych

zapachach, to moja krew i ja to wiem. Widokowie to ludzie prostoty i honoru, i jeszcze

czegoś nieokreślonego, czego nie pojmiesz nigdy, bo jesteś nieznane zło i tak dalej. Oczywiście

ty wtedy byleś daleko od tego podskórnego milczenia, byleś cały zanurzony w tych romantycznych

legendach i mrocznych mitach, byleś taki polski, że chciałam ci wydrapać te.

oelpia, w których nie ma żadnej utopii, może byś wtedy zobaczył waszś oemieszność, wasze

podłe zakłamanie w bzdurach i bzdurkach, ty nie wiesz, jak cię kocham. Nie, nie wiesz. Ty

nie wiesz, że twój dziadek podglądał nas w czasie stosunku, oelinił się jak stary cap i moje jęki

nie były jękami miłości, lecz obrzydzenia, ty nie wiesz...

– Suka – powiedział Juliusz. – O, Boże.

Ale trzymał te kartki mocno, boleśnie. Przebaczał okrutną szczerłość i drobne nieszczęście

szczęśliwego wydarzenia. Nędza tej miłości była aż nadto widoczna i nadto zaborcza, aby

stała się zwierciadłem uczuć, aby On mógł postawić krok w stronę  
obłądnej namiętności i  
zaprzepaścić swój majestat patriarchy dla tej chimery, którą  
należało traktować jak stęchlę  
powietrze. Juliusz pomyślał, że było wielkim błędem przywozić ją  
na Wiosnę, bawić się w rozległą  
krajną Akwitanię, powtarzać do znudzenia kochasz – nie kochasz,  
wierzysz – nie wierzysz,  
ujarzmiać jej ciało, które zostało ujarzmione przez innych i to nie  
w jakimś  
zagadkowym  
sposób, ale przez zwyczajny knut seksu, że błąd ten stał się  
wielkim błędem i nie ma, nie  
ma, nie ma żadnej możliwości odwrócenia tarczy. Poznał  
Gabrielę w godzinie szlachetnego  
widzenia rzeczy i ludzi, w mieszkaniu Ramzesa – Psychiczna  
Równowaga, który nie mógł z  
nią spać ze względu na przeintelektualizowane czoło, tak mu to  
wyłożył szybkim gardłowym  
szepem sytego kaboty i pchnął go w jej otwarte pole  
obecności, w którym zobaczył odżywnię,  
zdrową madonnę z niecodzienną dobrocią w kocich oczach, słuchał  
jej pseudogłębokich  
wynurzeń i myślał, że mógłby poderżnąć jej gardło dla  
przyjemności, ponieważ istnienie  
kobiety to niewinność gołębicy i tej oczywistej, odwiecznej zatoki  
spokoju.  
Spod jej łona  
spoglądał w czeluść historii, oczywiście zwyczajnej historii płci i  
antagonistycznych współistnień  
w chwili całkowitego poświęcenia się dla rozkoszy kielicha, w  
atmosferze duszszego  
strachu, żeby tylko nie spaść poniżej normy, żeby nie było  
porównań między nim a Ramzesem  
– Psychiczna Równowaga, który niewątpliwie ją miał zupełnie

nieromantycznie, dobry

kosztowny ogier, klasa sama dla siebie w kategorii wyższej jazdy  
miłości, opętany seksem i

okrucieństwem i w jakiś sposób wyzwolony ze swego upodlenia.

A on? O, Chryste.

Siedzi na

kupie gnoju jak Hiob i miętosi ten list pisany mniej więcej dwa  
miesiące temu, kiedy zapadł

w ten dziwny niesamowity mrok, nigdy mu się to nie zdarzyło,  
ocelizły mrok węciekłoci, że

powinien czegoś dokonać natychmiast, to znaczy popełnić  
najbardziej miarodajny czyn, który

wyrwałby go z intelektualnego marazmu i fizycznej niemocy.

Trzymał Gabrielę pod sobą i

krzyczał o tej głupiej, idiotycznej zdradzie, chyba już nawet uderzył,  
wyrzucił z pokoju nagś,

cały dom jakby stęzał, zresztś nie pamiętał ani jej wrzasku, ani  
profesorskiego ryku starego,

który po raz pierwszy swymi chłopskimi łapami przetrścił mu  
gnaty, nie pamiętał, Gabriela w

rozbłyskach światła przerażona i kochana, kotłowisko straconych  
złudzeń, ich uroda bielsza

od ud, doprawdy sen i ukojenie, doprawdy. Zaćmiał się i  
pomyślał, że to było cudowne, że w

przepięknym rozwoju kultury barbarzyńca musi zwariować,  
zresztś nie o to chodzi, istnieje

na pewno punkt, który każdego zbawi, mówił coś na ten temat  
Kafka, nie pamiętam dokładnie,

ale coś zwiśzanego z przerwaniem koszmaru, oczywiście życie  
nie jest koszmarnie, ponieważ

życie to uszlachcony ogień, który miarowo pali się i gaenie, coś  
w tym jest, bo założmy

sytuację ustawicznej niezgody na swójś egzystencję, coś w tym  
musi być, kiedy założona

niezgoda to pierwszy stopień nicoci, pięknie o tym mówi Dante,



który doskonale rozumiał

wielość rzeczy, oczywiście i wielość rzeczywistości także,  
ostatecznie wiara w kosmogenezę

jest prywatnym smutkiem. Niestety tak. Niestety nie. O, Chryste.

Ale trzymał te kartki nadal jak rozkwitły poemat ich pragnień,  
przecież nie banalnych i nachalnych,

ale pragnień wytłumaczonych przez tylu oświeconych ludzi, nie  
mogli się w ogóle w nich zaleść, to znaczy robili wszystko, aby stać się  
osobą i nazwą, która brzmi jedność, nurzali

się w nocy tego wyuzdania, które brzmi miłość i nic, zgnębione,  
rozboleła nic powtarzanej

w nieskończoność ucieczki od osoby. Juliusz wbił oczy w  
zmiętoszony papier i chłonął

gorzki smak szczęśliwego wydarzenia.

Tak, najdroższy. Byłam wtedy na Wsi, nie wypieram się. Byliśmy  
tam przecież w chwilach

złych i dobrych i musiałam pojechać, musiałam. To nie ma  
znaczenia, że dziadek był

erotomanem. Ma znaczenie nasze szaleństwo, nasz zgodny krok ku  
wspólnej komunii.

Przyjechałam

z Wrocławia późnym wieczorem piekielnie głodna i zdecydowana  
na wszystko.

Dom stał otworem i kiedy weszłam, dziadek odmawiał różaniec.

Szybko powiedziałam pochwalony,

ale zabrzmiało to jak zniewaga, bo przeszył mnie tym ostrym  
spojrzeniem, jak przeszywasz przybłądę, i gestem nakazał milczenie.

Chciać mi się chciało, taki był napuszony

i pewny tej swojej wiary. Usiadłam na łóżku i czekałam. Dziwny  
dławiący niepokój mówił

mi, że nie ma cię na Wsi, że się pomyliłam i moja podróż była  
niepotrzebna.

Byłam wewnętrznie

całkowicie pusta, myśleli jak pijawki wyssały ze mnie najmniejszą  
otuchę, w podświadomości

słyszałam głos, który krzyczał, że minęły chwile szczęśliwe,  
niestety, z wysiłkiem  
pomyślałam, że chyba siedzisz w rybnym barze i udajesz  
bohatera, ponieważ facet, który  
pije tylko angielską herbatę, musi udawać bohatera, zamknęłam  
oczy i w tych egipskich  
ciemnościach ujrzałam nasze nagie ciała wolno spadające w  
przepaść, spokojny lot jak w  
oceanie eteru, rozkosz beczucia, która jest niebem dusz, czyli  
boskiego bytu i rzeczy doskonałych,  
jak to wykładali starożytni, chciałam wreszcie zobaczyć dno tej  
przepaści, z której na  
pewno istnieje wyjście na zaczarowaną łskę Alicji, lecz minęły  
chwile szczęśliwe, niestety.  
Minęły. Dziadek już skończył pacierze i siedział wsparty o pięć,  
zapytałam, czy jest tu Juliusz,  
bo mam do niego ważną sprawę, czy dziadek może mi pomóc,  
siedział nieporuszony i od czasu do czasu głęcho łykał olinę, byłam w  
tej spódnicy a la Greco i moje nogi jak błyskawice,  
słyszysz, kochany, moje nogi jak błyskawice, to twoje słowa, i z  
satysfakcją zaczęłam  
nimi kołysać przed jego nosem, myślałam, że zwariuje, ale  
Widokowie to mężczyźni,  
którzy znają swoje miejsce i swego Boga, i ten również spuścił  
łeb i powiedział, że nie było  
cię tu od ostatniego razu ze mną. Nie było. Siedziałam otępiała i  
nic, nic nie miało znaczenia,  
to był koniec, nie mogłam w to uwierzyć, że to już koniec, tyle  
zaklęć i marzeń przyszło przez  
głupi wymysł Ryszarda, ostatecznie trudno wynaleźć na ojczystej  
błoni złoty kwiat, nie jesteśmy  
stworzeni do tragedii, miałam ochotę rozwalić tę chłopską norę,  
która przegrodziła nasze  
życie, byłam cała z płaczu i jakże cień zasłonił mi mdłe światło  
tego domu, i zobaczyłam Cisawego,

który porozumiewawczo mrugał szklistym okiem, zobaczyłam  
twój ceniolubny kwiat i rozplakałam się jak idiotka.

On mi się zawsze kojarzy z pierwsza wizytš, pamiętasz, szliœmy  
od autobusu tš osławionš

szosš E– 12, która przecina Wieœ jak arbuz i wyzwała w jej  
mieszkańcach poczucie œrodka

wszechrzeczy, szliœmy co najmniej przytuleni i ty nagle  
powiedziaœ, o, Cisawy, bylam nieprzytomna,

ze szczœcia i nic nie widziałam, Cisawy, powtórzyœ, kumpel i  
człowiek, jakœ

miody wieœniak chudy i długi prowadził œwinie, i œmiał się  
szczerbatym uœmiechem, stał

przed nami prawie spokojnie i stwierdziłam zdumiona, że twarz  
jego jest całkowicie bez zarosili,

mam wstręt do tego rodzaju mężczyzn, nie zwracaliœcie na mnie  
uwagi i rozprawialiœcie z

takim ozywieniem, jakbym znikła w brzuchu œwini, która  
przysiadła na zadzie i patrzyła na

mnie jak na zjawisko, usłyszałam kilkakrotnie metaliczne słowo  
knur i wsłuchiłam się w jego

szybki urywany język, w którym nie mogłam wychwycić żadnego  
pojęcia, tylko obrazowe,

zmysłowe pasmo, i gdzie maciora, i knur grały pierwsze skrzypce,  
pomyœlałam więc, że prosty

człowiek jest piękny i żyje w odrzeczywistnionym wyobrazeniu  
swej naturalnej wielkoœci,

i przypomniałam sobie, co Lévi– Strauss mówi o brzemiennym  
chłopcu, i przeraziłam się jego

uzdrowicielskiej siły. Kiedy nas zostawił i pognał tę swoja macioreę  
skokiem–

bokiem, powiedziaœ,

że nie jest on jeszcze stracony dla idei i będziesz nad nim  
pracował. Oczywiście pracowaœ.

Och, Juliuszu, Juliuszu. Dlaczego jesteœ taki dziwny?

Cisawy był podпиты i zaczął mnie niemal rozbierać tymi œlepiami

zalanymi macelankš, twój  
dziadek obudził się z posšgowego milczenia i niemiłosiernie go  
sztorcował za jakieœ radio,  
które tamten wzišł czy pożyczył, dla mnie te sprawy to Atlantyda,  
chciałam wyjœć i odjechać,  
spotkać cię byle gdzie i wyjaœnić z twarzš na twoich ustach  
wszystko, wszystko, ta kłótnia  
działała mi na nerwy i dopiero jak Cisawyzaczšł mówić o duchu  
wspólnoty, wsłuchałam się  
w to ogłupiajšce gadanie, włœciwie w twój odległy aksamitny  
głos, który odżył z niespotykanš mocš w tym podpitym brudnym  
chłopku. Człowieku, człowieku, krzyczał Cisawy , ja ci  
to radio mogę przynieœć na klęczkach, bo jesteœ mi bratem i  
miłœciš, ty mnie posłuchaj w  
jakieœ sposób ludzki, jak ja waszego Juliuszka słucham, z którym  
my od szczeniaka ręka w  
rękę, choć on syn profesorski, ale nie wywyższa się nad naszego  
prostego chłopca i gada mu  
po równo z telewizjš, co nad niš piszczy, mnie, człowieku, takie  
radio to jak bicie konia, bawi  
i nie bawi, bo i co ma zbawiać, kiedy ja widzę, że prawda jest we  
mnie. He?

Prawda jest we  
mnie i resztę mam w dupie, proszę mi wybaczyć jak Jezusowi,  
Gabrielo– morelo, ja, ciemna  
istota, ale wiedzšca po równo z telewizjš, co jest nad tym  
œwiatem, proszę po ludzku zastanowić  
się i pomyœleć, czy nasz Pan Jezus był cały czas pokornym  
cielštkiem, a moŹe był  
kiedy  
niesfornym diablštkiem, proszę po ludzku jednak zastanowić się i  
pomyœleć, jak nie miał  
sumienia, jak przyczał się w młodych latach i co robił, to nie  
wiadomo, bo my jego kochamy  
tylko za to pŹniejszye zbawienie męki, taka ciemna istota jak ja

sobie różnie kapuje, bo i czego  
miałaby nie kapować. No, czego? Człowieku, chłop to wspólnota,  
a ty nie chcesz dla niej  
radia poświęcić, to ty, człowieku, nie widzisz, co wisi nad  
telewizją, bo i jak można nie pojmować  
ludzkości, która ępi w ziemi jak rycerze królowej w Karpatach,  
człowieku, gadam ci  
jak ptak niebieski lub inna zaraza, obudŸ się z pracowitego snu i  
chodŸ do naszego koła, a  
zobaczysz, co jest w œrodku, jak nie będzie œwiata w œrodku, to  
nas wykończysz, bo dlaczego  
miałbyœ nie wykończyć i być sam wykończony, każdy chłop,  
czyli wspólnota, chce być wielki  
i nieobjęty jak rzeka Odra, w której kšpie się œwinia księżyc i  
sprowadza nas na manowce,  
gadam ci to, człowieku, do jasnej cholery, że masz to radio  
poświęcić dla swego wybawienia,  
tak jak Pan Jezus poświęcił młode lata dla spraw, o których nic  
nam nie wiadomo, choć powinno  
być wiadomo, bo wiadomości żyjŸ nie tylko na drzewie. Ale koza  
nie zwierzę, sołtys  
nie władza. He he he.  
Twój dziadek nie był posłgowy, ale raczej pełen słusznego  
gniewu, jednym susem znalazł  
się przy piecu, wyciŸgnŸł pogrzebacz i skoczył za Cisawym, który  
z rechotem wybiegł w  
mrok, pomyœlałam, że go zabije, to byłoby makabryczne i piękne,  
wieczny człowiek broni  
wiary ojców i ja, której głosu nie słyszy, jestem jego żywym  
œwiadkiem, może jestem i czymœ  
więcej, lecz on wrócił bez œladu krwi i zrobiło mi się niedobrze.  
Bez słowa wziŸł mnie za rękę,  
zaprowadził do sypialni, w której tak obłędnie mnie kochałœ,  
zapalił lampę i cicho wycofał  
się do kuchni. Po chwili usłyszałam monotony głos odmawiajŸcy

pacierz, dławiący niepokój

ustąpił i wyplakałam się w rozpaczliwym szlochu, którego nikt nie zrozumie.

– O, Chryste – powiedział Juliusz – Przecież ja ciebie kocham.

Bezwiednie miętosił ten odległy, niemożliwy list. Miał ochotę złożyć kołce w tej oborze i

zapachnąć się w zdrowy praludzki sen. Niestety jednak. Wstał, przydeptał wyżyłowane z życia

kartki i cisnął do pustego żłobu. Szedł przez podwórze, z którego nie uniósł się żaden możliwy

rozwrzask domowego ptactwa. Ryszard ciśnie stał przy płocie i gapił się na przeciwległą

stronę, po której mieścił się mały obskurny bar.

– Ha – powiedział Juliusz – napiłbyś się za zdrowie dziadka. Ha, mój synu.

Tamten wbił w niego niebieskie marzące oczy, z których oderwał się jakiegoś

niszczycielski

blask i przebił go na wylot, przebił jak zawsze bezwzględnie i nie po bratersku, że ogarnęła

go zgroza i rozbiegane myśli ponowiły swój chaotyczny taniec, wynurzyły się z cienia twierdzy

pamięci niewielkie silne drobiny jego życia, w którym nie było miejsca na żaden patos i

na żaden heroiczny czyn. Ryszard przekroczył już trzydziestkę i zdaniem Juliusza nie można

z nim było poważnie rozmawiać, ponieważ tylko z ludźmi do trzydziestki można zmieniać

świat, w tej sytuacji ich wzajemny kontakt ograniczał się do konieczności mieszkania pod

wspólnym dachem, który był oczywiście przystanią dla określonego, naukowego ducha i jego

bliskich związków z uporządkowanymi rzeczami rzeczywistości.

Stąd w willi przy ulicy Sępa

najbardziej wścibski sąsiad nie mógł dojrzeć odchylenia od normy

współzycia i mógł

z ręką na

sercu twierdzić, że rodzina ta posiada panaceum. Bracia serdecznie się nienawidzili, oczywiście

nie w sensie spontanicznej mało kulturalnej nienawiści, ich nienawiść była rzędu genetycznego,

w którym z wielkim trudem można byłoby odnaleźć fasolę Mendla, lecz dla synów socjologa istniała ona w psychosomatycznej konstytucji jak oko szmaragdu w marzeniach

dorastających dziewcząt. Ryszard poświęcił się nauce nie dlatego, że wierzył w płomienną

zasadę postępu, raczej odwrotnie, płomienną zasadę postępu uważał za wymysł

filozofów i

pismaków, którzy obłudnie i butnie chcą zbawiać świat, anektując do tego celu zaminowane

poła ludzkiej naiwności, dokładnie sobie zresztą tego nie tłumaczył, ponieważ Profesor Jan

Maria Widok robił to za całą rodzinę z elegancją takiego dżentelmena idealistycznego empiryzmu,

że z wielką trudnością można w nim było rozpoznać materialne rysy dziada Widoka.

Dlatego Ryszard nie próbował zostać np. celusarzem, bo i po co. Był to facet bezwolny i niebezpiecznie

nijaki, jeden z tych młodych ludzi, którzy kończą studia dla dobrych manier, przechodzą w wieku dwudziestu lat chorobę ateizmu, iżby dziesięć lat później z niecodzienną

mością uwierzyć w chrześcijańskiego Boga, siłą faktu podjąć pracę naukowca lub urzędnika,

ponieważ trzeba coś robić, cierpliwie gromadzić ideały i pieniądze i czekać, czekać, czekać,

choćby na sam potop radioaktywnego pyłu!

Juliusz przypatrywał się jego urodzie sytego pyknika, w której jak w pękniętym zwierciadle

odbijało się układowe cierpienie epoki schodzącej w swoje ostatnie

trzydziestolecie olbrzymich

nadziei i ostatecznych rozczarowań. Z takimi ludŹmi mijamy punkt polubownej małej stabilizacji, myœlał. Z takimi ludŹmi trzeba rozpoczeć budowę wolnego królestwa powszechnego

braterstwa. Ale gdzie, gdzie leży ich prawda, gdzie leży ich przeklęta, capiooka wielkoœć, Źebym siê mógł zanurzyć jak ptak oceanu w ciemnŹ głębię horyzontu.

Historia

œwiata zna godziny ikarowskich lotów, ale tutaj, w tym kraju, który kryje w sobie tyle tajemnic

i w którym ziemia jest jeszcze drogocennym skarbem Źywego słowa, czy tutaj będę mógł

wydrzeć drapieŹnej ciszy wszechœwiatu swojŹ człowieczŹ racjê? Ja, ptak oceanu.

Chciał

odejœć, ale Ryszard chwycił go za ramiê i wycedzi tym swoim głuchym sympatycznym głosem:

– Dziad był takim samym idiotŹ jak ty. Mitoman i karykatura człowieczeñstwa.

ZresztŹ nie

chcê juŹ ruszać trupa. Ale tobie przydałaby siê poglŹdowa lekcja. Oj, przydałaby siê.

– I jakaŹ to lekcja? – zapytał z niechêciŹ Juliusz.

– Lekcja pokory, mój drogi. Zwyklej skromnej pokory, w którŹ zostaliœmy wyposaŹeni po wygnaniu z raju.

– Ach, to.

– Oczywiœcie, Źe to. Cóż mogłoby zastŹpić ten instrument poznania samego siebie?

Nie

powiesz, Źe doktryna czy jakakolwiek słuŹba jakiegokolwiek sprawie. Tu nie chodzi o cieniowanie

znaczeñ. Ludzie czêsto wyobraŹajŹ sobie, Źe powinni stać siê politykami, poniewaŹ

kaŹdy przedmiot i kaŹdy podmiot znajduje siê pod presjŹ historii,



w zwiŝtku z czym naleŝy

bronici autonomii jednostki poprzez wliŝczenie się w nurt kontestacji czy podobnych sztuczek,

które mogŝ podkopać autorytet realnych polityków, ale nigdy nie spowodujŝ zasadniczych zmian w naturze ludzkiej.

– A rewolucje?

– Rewolucja to nie kontestacja. Rewolucja to negacja, czyli absolutne dobro.

Wiesz przecieŝ

o tym doskonale, bo jesteœ leniwym, inteligentnym chłopcem, którego wzorem osobowym

jest chyba nadal Che...

– Ach, biedny Che. Nigdy nie traktowałem go powaŝnie.

– Kłamiesz jak twój dziad, który genialnym instynktem prymitywa wyczuł, ŝe fałsz rŝdzi

œwiatem wartoœci, nasz stary teŝ ma coœ w sobie z tego przeœwiadczenia, w ogóle wszyscy

Widokowie kochali się w kłamstwach i szlachetnej podłoœci. Jest to obrzydliwe i sam siebie

często nienawidzę. Tak. Nienawidzę.

– Nie wierzę ci – powiedział smutnie Juliusz. – Nigdy ci nie wierzę. To dziwne.

Ryszard zaciemniał się głoœno, spazmatycznie, otworzył szerokie usta i lŝkał zdrowe powietrze

jak pływak, który dotarł wreszcie do upragnionego brzegu i będzie łaskawy dla minionej

samotnoœci.

– Tak. Oczywiście – mówił dalej głuchym, niezmiennie sympatycznym głosem. – Nie wierzysz

mi, bo ŝyjemy w czasach niewymiernych miernot, sŝ to czasy zadziwiajŝcych przeskoków

od optymizmu do pesymizmu i odwrotnie, jesteœmy ciŝgle zmuszani przez niezaleŝne od

nas siły do wyboru okreœlonej lub nieokreœlonej drogi ŝycia. Nie

jest, to rzecz jasna, miłe i

budujšce i stšd ta absurdalna płachta zamiast odstraszać, służy za  
poślanie bytu. Lekturę Pascala

zaleciłbym każdemu człowiekowi, który przeszedł cielecš  
œpišczkę ducha, ponieważ jest

w tym drażnišcym Francuzie pewna tajemnica, od poznania której  
można mówić, że poznało

się własnš ułomnoœć i pokorę. Duch przecież może się kiedyœ  
zmaterializować i ukazać się

naszym zaolepionym oczom jako państwo, w którym łaska  
majestatu uskoczyła za wzgórze

nieładu. Podobnie się stało w starożytnym Rzymie, co powinno  
nam wystarczyć za wszelkie

ontologiczne spekulacje i być lekcjš wielce pouczajcš. Terencjusz  
powiada: Davus sum, non

Oedipus, majšc na myœli niezmiarzone obszary ducha  
prostaczków, dla których królewska

mšdroœć jest niezrozumiała i podejrzana. Jeżeli jednak byœmy  
dłużej zatrzymali swójš lotnš

myœl na wyrażeniu: jestem prostak, i poddali cały kulturowy  
balast smętnym dociekaniom,

których nie możemy wymagać od Terencjusza, bo i dlaczego, to  
zdawać się nam mogłoby, że

złapalicemy Opatrznoœć za piętę i jesteœmy tak szczęœliwi jak  
heglowski niewolnik pod batem

dziejowego pana. W samej rzeczy jednak jest to złudzenie naszego  
wadliwego rozumu, ponieważ

człowiek kieruje się instynktem prostoty nie dlatego, że nie  
rozumie otaczajšcej rzeczywistoœci,

ale dlatego, że jest to jego naturalne, przyrodzone prawo, które  
omija zręby systemu

myœlicielea jak statek lodowš górę. Prostakiem był Einstein, kiedy  
stał na dziedzińcu

Uniwersytetu Cambridge i wpatrywał się w koœcielny zegar nie  
mogšc odczytać jego czasu,

prostakiem jest każdy szlachetny homo i każdy wielki mit, jakim w ostateczności jest król

Edyp.

– A jednak ci nie wierzę – powtórzył uparcie Juliusz. – To nie o to chodzi.

– Mój drogi – rzekł Ryszard zataczając ręką wspaniałą łuk wolności – twoja przekora zadziwiłaby

Sokratesa, że poprzestanę tylko na tym genialnym gadule. Ale do rzeczy. Nie wierzysz

mi, ponieważ uważasz mnie za małego technokratę, któremu nisko wiesz silne namiętności

czy co w tym stylu. Po prostu filister, czyli mieszczanin w grotesce. A tak, jestem

mieszczuchem, ale nie inteligentem o rodowodzie mieszczańskim, gdyż u nas nigdy nie było

mieszczaństwa jako klasy i dopiero nasze dzieci będą mogły się uważać za rdzenny kwiat

saloonu, bo tylko taki współczesność istnieje. My, Widokowie, jesteśmy ciśnie chłopami i to

dziedzictwo jest do zniesienia. Zauważ, mój drogi pętku, co ludzie wyprawiają w tej

Wsi. Aby stać się piekielnie nowoczesnym rolnikiem, taki chłopina kupuje samochód, instaluje

w mieszkaniu WC, w którym wstydy się głośno pierdnąć, bo go oniechęla łeńśca biel

muszli, więc po kryjomu i tak chodzi do starej wygodki, ale nikt nie zarzuci mu, że żyje jak

bydlę, choć trudno powiedzieć, jaka jest różnica między życiem naturalnym a użyciem konsumpcyjnym,

ale dla postępu to przecież jest bez znaczenia. Zasadą cywilizacji była zawsze walka z boskim porządkiem, a wynik jest taki, że raportu Klubu Rzymskiego słucha się jak

krwawej, pouczającej bajeczki. Nie, mój drogi pętku, ja nie neguję cywilizacji i staram się

służyć jej w granicach moich skromnych możliwości. Niestety

tak.

– Ależ przejmujšca cisza – powiedział Juliusz. – To nie do wiary.

– Polska jesieñ, pętału – odparł Ryszard, plujšc uważnie w przestrzeń. – Otóż ta wiara włączenie pozwala człowiekowi mieć złudzenia, że nie jest zerem...

– Każda religia jest absurdem – przerwał gwałtownie Juliusz. – Bardzo cię proszę, abyœ o tym pamiętał.

Tamten umilkł i w powietrzu brzęczał tylko odległy jęk traktora, który niezmordowanie

kroił ziemię lub coœ podobnego. Wskazał mu rękš bar i ruszył szybkim zdecydowanym krokiem.

Ale Ryszard stał nieporuszony i tępo spoglšdał w rozległš perspektywę pól.

Kretyn, pomyœlał Juliusz. Normalny kretyn, który wszystko potrafi przepieprzyć. Ale cisza cudowna,

cudowna, nieomal jak sen. Znał ten bar bardzo dobrze i nieœmiertelny bufetowy przywitał go

bez zdziwienia. Był stary i niewštpliwie dobry. Postawił przed nim piwo i zagłębił się w gazety.

Pusta obskurna sala. wchłaniała œwiatło dnia jak jamochłon. Wypił i wyszedł na wolnš

przestrzeń. Ryszard cišgle stał przed domem z tępo rozanielonš minš tęgiego intelektualisty.

– O, Chryste – powiedział Juliusz – cóż za nędzny, obrzydliwy widok. Zbiegł z szosy na

polnš drogę i wysoko unoszšc nogi zaczął iœć w stronę szernialego od nienawiœci płaczyboga. Festina lente, myœlał. Festina lente, ty głupi. egzystencjalny psie. Nie masz tam nic do

szukania. Idziesz, bo ci się wydaje, że mógłbyœ nie iœć. Cha! Cha! Tysišclecia pracowały nad

twoim wszechstronnym umysłem, tysišclecia i bicz boskiego przypomnienia, po co i na co

został stworzony. O, rozpaczliwa rzeko nicooci, w twoich  
obojętnych nutach topił się niejeden  
bezański ośmiałek, twoje brzegi wybiegały im na spotkanie, żeby  
zrównać drogi powrotu.

Ale nie mnie, nie mnie, który nie cierpi na poetyckie halucynacje.  
Mnie nie weŹmiesz

nigdy, nigdy. Już ja cię wyzwolę i stłamszę, już ja udowodnię, że  
jesteś tylko metaforą i dlatego  
masz takie straszliwe macki otchłani. Mnie nie weŹmiesz. Nigdy,  
nigdy.

Wiedziała mu w oczach, w których nie było żadnej utopii,  
biegła po jego lewej ręce rozciślona  
jak wąż i pełna tej, przejmującej ciszy, ludzie kopali ziemniaki,  
podnosili zasłonięte

głowy, patrząc z powagą na jego sztywny bezcelowy marsz,  
niektórzy z surowym uśmiechem

pozdrowiali w nim dziada Widoka, ale tych było tak niewielu, że  
ginęli w kurzu ziemi, i wyobraŹnia

Juliusza z bezwzględnie siłą narzucała mu dalszą drogę do miejsca  
tego szerniałego

od nienawici płacząboga, za którym miał się znajdować pewny,  
cmentarny spokój.

Z nagłą,

bezosobnie nadzieję zobaczył wille przy ulicy Sępa, jak nabierała  
ociele przystawalnych znaczeń,

opięta bujnie zielenie i zdrowie atmosferze określonych ideałów, jak  
rozrastała się w jego

życiu logicznie, matematycznie i socjologicznie, jakby nie była  
pustynią małego księcia i

czegoś trudno przyswajalnego, bo choć zawsze kładł się spać  
zaraz po dzienniku telewizyjnym,

to miał dziwnie, bezosobnie nadzieję, że kiedyś stanie w drzwiach  
cicho i tajemniczo i

pocałuje go na dobranoc, i on powie: dziękuję ci mamó. Dziękuję.  
Ale czekał

daremnie. Matka  
również pracowała nad sobą, usilnie starała się zrozumieć czarną,  
kosmiczną jamę swojego  
niebytu, w której została strącona przez bóstwo swego życia, ale  
strącona nie tak jak zbuntowani  
aniołowie, wręcz przeciwnie, z bezwłasnej chęci i wielkiej, dumnej  
miłości do rzeczy  
zasadniczych. A rzecz było wszystko. Od bajek Andersena do  
rozpraw o grawitacji wszechświata.  
Wszystko, nawet znikające marzenie pocałunku, za którym co  
wieczór tęsknił jak zagłodzony  
wilczur za łaniami. Ale daremnie tęsknił. Ostatecznie noc musiała się  
skończyć i wstanie  
taki sam, w ogóle nie zmieniony, pewny swojej znakomitej  
chłopięcej żywotności, z którą  
walczyć będzie musiał za parę lat, lecz wtedy kwestia walki nie  
wchodziła w rachubę, nie  
licząc, rzecz jasna, uczniackiej szarpaniny, na którą mu pozwalano  
z braku zwykłego zainteresowania  
dla jego osoby. I to było dobre. Twarze kolegów przeszły  
zadziwiająco metamorfozę,  
nie poznawał tych rozognionych, daleko przyjacielskich chłopców  
w szlachetnie poczciwych  
studentach, ich minimalizm przerażał go, frazeologia mieszała,  
upadek moralności  
kwitował obojętnym gestem, ponieważ mówienie o moralności w  
czasach dosłownego rozsypania  
grzechu wydawało się absurdem. Ale to było dobre. Zasmucające  
powroty do domu ze Wzgórza Miłości, na którym można było  
zobaczyć najbardziej filmową scenę i najbardziej  
nieżyciowych kochanków. Chodzili paczkami, której prowodyrem  
był Ramzes –  
Psychiczna  
Równowaga o powolnych, groźnych ruchach tyrana. Oczywiście  
znacznie później to przezwisko

stało się symbolem minionej oświetności, wtedy Ramzes był tak samo bity jak i każdy i jego groŹba, że wysadzi ten owiat w powietrze, napawała rozkosznym optymizmem.

Wycieczki

na Wzgórze Miłoci zaczynały się w maju i trwały do wyjazdu na wakacje; były to godziny całkowitej wolności i pysznej zabawy podyktowane przebiegłš chytrościš grupy jako

grupy, żadne wkroczenie realnych sił nie mogło zakłócić tej harmonii, ponieważ siły te nie

miały nic do gadania w gšszczu zaroci i drzew, między którymi migały białe uda kobiet i

silne, namięte łapy mężczyzn. Każdego dnia można było podpatrzeć to dzikie tokowanie,

skradać się jak na ociężce wojennej, porozumiewać się indiańskim urywanym okrzykiem,

który szybował prosto do nieba, dać się możliwie najciszej podejść przez goršczkowš myć,

że ležš niemal pod nogami szepieni w żelaznym ućcisku, zobaczyć przez chwilę wilgotne,

rozkołysane wargi i z ich krwiożerczym obrazem wycofać się w bezpieczny zakštek.

Milczenie,

które ich ogarniało, było podobne do ciszy tego grzesznego miejsca, podniecenie dławiło

ćmiech i przeżycie, unikali swojego wzroku, który mógłby spopielić bolesne wrażenie, nieuchwytny,

lekki taniec lioci rozcišgał przyjemny niepokój w nieskończoność. Nikt nie mierzył

czasu i gapišć się w błękit ostrzelony obłokami mieli prawo myćleć, że sš połšczeni żelaznym

ućciskiem z obrazem ustawicznego kuszenia i pramrocznym dudnieniem bębnów w ogóle

niezmyćlonego owiata, który z ociężałym zdziwieniem wracał do swego punktu. W

nocy, kiedy  
sen spadał o wiele szybciej, niżby każdy z nich sobie życzył,  
Wzgórze Miłocęci budziło się  
ze swego pozornego bezwładu, ziemia pękała i z niesamowitym  
rykiem pochłaniała spodlony  
rodzaj. I to było dobre. Juliusz w kilka lat później wziął pod siebie  
Wzgórze Miłocęci łącznie z  
dziewczyną, której ciała nie mógł zapamiętać ani przybliżyć do  
głębi swego serca. I to już  
było bardzo złe.  
Szedł sztywno, pewnie, polna droga skrętoległa i czuła  
prowadziła go jak owieca pierwszej  
komunii w bramy tabernakulum życia i prochu, słońce miał za  
plecami duże, przeklęte,  
nienawidził tego ostrego światła, które zniszczyło niejednego mit i  
niejedną filozofię, zresztą to  
było nieważne, kiedy szedł sztywno i pewnie, pewnie i sztywno,  
czołem wiara, mówił generał  
Krukowiecki do głodnych obdartych powstańców, a jego  
diabelskie oczy świeciły mocniej od  
gwiazd, ponieważ generał to nie było co (jasne dziadku), generał  
jest generałem zawsze, czołem,  
odkrzyknęli spragnieni bitwy żołnierze, zwijamy sztandary,  
powiedział przeto generał  
Krukowiecki grubym basem i tutaj nijak nie trafił w pragnienie  
żołnierzy, którym umierać nie  
jest obojętne, to dobre, zaczął się żołnierz chłop w chłop, nasz  
Kruk nie traci humoru, to  
bardzo dobre, nie gadać, wiara, rzekł wściewie generał, moje serce  
wodza nie pocie was na  
pewną jatkę, kiedy można wyjść z tej hecy z godnością –  
powiedział z godnością, szuja (Jasne,  
dziadku) – gardła, krzyknął wtedy zamazany łach żołnierski i  
generał Krukowiecki zbladł, gardła, powtórzyły groźnie szeregi i  
generał Krukowiecki wbił diabelskie oczy w ziemię,



bo musiał wbić, precz ze zdrajcš, krzyczał dalej łach żołnierski,  
niech żyje wolna Polska,  
niech żyje, powtórzyły szeregi i generał Krukowiecki został  
œcišgnięty z konia, do Rzšdu z  
nim i na latarnię, powiedział łach żołnierski i cały odżył, i nad  
głowami wszystkich pojawiła  
się złota aureola, bo musiała się pojawić (jasne, dziadku), i szli  
przez jęcžšć stolicę jak  
skrzydlate rumaki, i nikt nie był już żołnierskim łachem, a lud z  
płaczem wycišgał pięœci i  
błogosławił czoła swoich synów aż do samej siedziby Rzšdu, który  
w milczeniu słuchał brzęku  
bronii, oto zdrajca, powiedział ten, który ich przywiódł, niech  
szlachetni panowie rozstrzygnš  
generalskš winę, ktoœ ty, rzekł jeden z nich, że œmiesz mówić o  
generalskiej winie, Anzelm  
Widok, padła odpowiedŸ, żołnierz i obrońca narodu, niech  
szlachetni panowie rozstrzygnš  
jednak generalskš winę, rozpatrzymy, rzekli panowie, będzie  
wisiał, hurra, wrzasnęli żołnierze  
i w oczach zajaœniała im wolnoœć. Hurra!  
Bardzo dobrze widział tę wolnoœć w dużych, czarnych jak smoła  
oczach, słyszał  
dokładnie  
głos Anzelma Widoka, który przenikał jego dziada z nieopisanš  
žarliwoœciš, upojenie i łaska,  
to przecieŸ jasne, jasne. Stał przed cmentarny bramš i nie mógł  
przekroczyć jej zakłętego kręgu,  
dosłownie nie miał siły dojœć do tej œwieŸo uklepanej mogiły,  
oparł się o silny druciany  
płot i z bólem drgajšcych od zmęczenia Ÿrenic wpatrywał się w  
potulne nagrobki, w swoje  
puste słowa, z których nie udało mu się zedrzeć maski. To ludzkie  
życie, myœlał, ma tak niewiele  
patoŸu w swej ziemskiej podróŸy, tak niewiele momentów łaski,

obojętnie jakiej, że

jego ostatnia droga jest mu całkowicie obojętna. I to jest straszne.  
Bo przecież musi być w

tym naszym określonym przez nieokreśloną godziną  
wzniosłości, ta obawa –

jak

mówi Hamlet – czego poza grobem, obawa tego obcego nam  
kraju, skąd nikt nie wraca, musi

wyzwolić jakś czystą ludzką chęć stworzenia samego siebie nie  
na to banalne podobieństwo,

ale na coś w rodzaju tytanicznej rozpaczy i gniewu. Może się  
mylę? O, Chryste.

Czy na

pewno się mylę? Wszystko co robimy, czy to będzie świadome  
historyczne działanie, czy

zwyczajna orka własnego zagonu, jest podporządkowane temu  
górnemu znaczeniu, któremu

na imię wspólnota, mój los w twoim, ale twój w moim, i tak dalej.  
To chyba nie mogę się

mylić, w żadnym wypadku nie mogę być pomyłką tak jak  
Raskolnikow, nie, nie, na pewno

nie mogę. Czas wreszcie ujrzeć swoją naturalną wielkość w  
powszechnym tłumie, to przecież

logiczne, kiedy się popatrzy na to istnienie, w którym  
indywidualny szpikulec żłobi pasmo

jakiejś absolutnej demokracji, to przecież logiczne, logiczne. O,  
Chryste. Jak bezwzględnie

logiczne.

Ale nie wszedł na pole garncarzowe. Wycofał się za szosę E-12 i  
łukiem prostopadłym do

zachodu słońca, który omijał Wieś, lecz nie omijał jej zaplecza,  
czyli pięknych, dorodnych

ogrodów, zaczął iść w głąb horyzontu potykając się jak  
ochwacony koń, na ecianie lasu niebieszczała

smuga dymu, wpatrywał się w ten zamglony, niemal morski

pejzaż, rozbiegane myśli próbował skupić na jego znaczeniu, lecz to  
było bezcelowe, wszystko się rwało, ginęło  
w niezmierzonej ciszy polskiej jesieni, wbił oczy w wieżę  
kołociała, jakby mogła go ukołysać  
do snu, być może, oddaliłby tę posępną pieczęć jego serca, dzień  
wspaniałego zwycięstwa, kiedy  
ujmie w swe niedoskonałe dłonie zręby Genesis i wykuje własne  
przeznaczenie, które zatrzyma  
rzekę nicości, uczyni to z woli nieśmiertelnego ducha, ponieważ  
będzie jego jedynym  
prawodawcą, ten dzień zerwie z krwawą, przebrzmiałą historią,  
może jest już bardzo blisko,  
może już się zaczął w momencie, gdy nie wszedł na pole  
garniarzowe, ten dzień, myślał, dogłębnych  
możliwości i nie utulonej w słowie rozkoszy. „O radości, córko  
bogów, gościu, elizejskich  
stron”. Powtarzał to coraz szybciej, ogłuszony metalicznym  
brzmieniem frazy i genialnym,  
stwórczym bezwstydem istnienia, śmiał się zwariowanym  
chichotem, który uciszyło dopiero gardłowe przekleństwo, zdumiony  
przetarł oczy i zobaczył rozwalonych na ziemi  
mężczyzn i butelki mętnej wódki. Patrzyli na niego z pijacką  
groźną powagą, szczęściu lub  
siedmiu, jednakowi w granatowych, kombinezonach i  
bezwzględnie równi w silnych tępych  
szczękach, którym trudno było dać jakiegokolwiek indywidualne znamię.  
Juliusz uśmiechnął  
się tym  
swoim naiwnie zaskakującym uśmiechem i powiedział  
przepraszam, odwrócił się i Wściekle wybiegła  
mu na spotkanie zwarta zabudowa, poczuł na plecach tę jednoką,  
cyklopiś dobroć i  
gorący bezwolny pot oblał mu ciało. Wracił prędko, cały  
wypełniony milczeniem nieba.

## II

Klasycznš mamy dzie pogodę.

Profesor Jan Maria Widok powiedział to z gorzkim uœmiechem  
wielbiciela bogini Mnemozyny,

który znalazł w ustach grudkę wymarzonego złota i nie wie, czy  
œmiać się, czy płakać,

czy po prostu wyrzucić to za siebie i dalej iœć drogš niezłomnego  
ducha.

Spojrzał jastrzębim

okiem na żonę i synowš, które w prostych, nieomal naturalnych  
pozach siedziały przy pustym

stole i patrzyły w czysty zaokienny pejzaż. Oczywiście milczały  
zgodnie z prawem domu

żałoby i Profesor pomyœlał, że zasadniczo jest w tym wielka siła  
szacunku dla najbardziej

nędznego żywota. Człowiek jest powołany do patetycznych gestów  
i jeżeli zatraci ich wielki

okreœlony wymiar, jego możliwości zostaną zaprzepaszczone.

Wierzył w absolutnego ducha,

który rzdzi dziejami, i ze stoickim spokojem obserwował rozwój  
naszej burzliwej epoki.

Jako socjolog uznawał pewnš stałš społecznš, która powodowała  
zmienny i przemienny ruch

w tyglu ludzkoœci. Ruch ten nie tylko zmieniał oblicze ziemi, ale  
coraz bardziej zbliżał się do

nieodgadnionej dziury wszechœwiata. Lšdowanie na księżycu  
przyjł z pewnš chłodnš rezerwš,

ponieważ uważał zdobywanie satelitarnego trupa za nonsens. Dla  
Profesora prawdziwa

kosmiczna odyseja zaczynała się dopiero od Marsa i wydawanie  
takiej iloœci pieniędzy na

drobiazgi potwierdzało jego ugruntowanš przez wieloletniš  
obserwację tezę, że człowiek nie

pozbył się jeszcze swej poetycznej, artystowskiej natury, która  
nigdy nie liczy się z najbardziej

miarodajnymi kosztami i jest irracjonalna dla twardych,  
nieustępliwych rycerzy szerokiej  
myśli. Przyznawał jakś tam rację tego pokroju osobnikom,  
których rozpaczliwe wołanie  
o dehumanizacji sztuki i stosunków międzyludzkich było wręcz  
niesmaczne, ponieważ aby  
mówić o tego rodzaju zagadnieniu, należałoby zebrać  
niepodważalne dowody empiryczne i  
dopiero – jak najbardziej dopiero – ostrożnie rozjaśnić obraz.  
Niewstępliwie obraz ten nie był  
doskonały, lecz można z wyrozumiałym ucemiechem zapytać, czy  
kiedykolwiek miał  
być doskonały?

Czy kiedykolwiek Opatrzność starała się o inny, bardziej  
prometejski wewnętrzny ogień, który spaliłby względnie udusił Zło?  
Banalność tej oczywistości utwierdziła Profesora

w przekonaniu, że krzyk rozpaczycy jest jeszcze jednś z tysiśca  
oprawś literackś, która powinna  
umilić zapracowanej jednostce czas. Jego jastrzębie oko tkliwie  
objęło kobiety i ich milczenie  
wydało mu się mśdrościś Pallas Ateny. DŸ wignśł swoje  
masywne wybudujące ciało i wyszedł z  
izby w słoneczny œliski dzień. Zniszczone zabudowania w całej  
swej okazałej ruinie domagały  
się rozliczenia. Jego starszy syn stał jak słup totemiczny i obojętnie  
gapił się w przestrzeń.

„ IdŸ do kobiet, powiedział z gniewem Profesor. Wiœ nie lubi  
nonszalancji po stracie

bliskich. Proszę cię, Ryszardzie” . Syn skinśł głowś, ale w jego  
marźcych niebieskich œlepiach

zapalił się ów zadawniony niszczycielski blask, którego Profesor  
nie rozumiał.

Biedni

ojcowie, pomyœlał. Biedni, zawsze samotni ojcowie, którzy nigdy  
nie sś pewni ojcostwa, ponieważ

sš tylko narzędziem w ręku niewidzialnej siły. Czyżby moja krew  
była mojš nicoœciš?

To niemożliwe, niemożliwe. Wyszedł na szosę i ruszył w tę  
dzwonišcš ciszę, o której często

myœlał jako o zjawisku, to znaczy, starał się mieć złudzenia, że  
jest to przejœciowy stan, ów

ryk cywilizacji, który go przeraził w Paryżu, tej stolicy  
niegdysiejszych œniegów i błogosławionej

miłœci, bœdšcej ustawicznym flirtem z niewinnoœciš,  
oczywiœcie Paryżu w jakieœ

sposób

i polskim, ponieważ uroda życia rodaków spełniała się tylko w tym  
mieœcie.

Patrzył na

ten ul zimno, bez żadnych ubocznych naleciałœci typu Balzac  
czy Proust, był

uczestnikiem

Zjazdu do końca pobytu w tym niby uroczym piekle, który go  
tylko denerwował

nachalnoœciš

jarmarcznych rozrywek i chamstwem ludzi. Luwr uważał za pełen  
radoœci labirynt, którego

Minotaur był usłuznym błaznem na usługach gawiedzi, Madonna  
Baldovinettiego, która głęboko

zapadła Staremu Poecie w abstrakcyjnš przestrzeń pamięci,  
przypominała anemicznš szwaczkę, przed geniuszem Leonarda szeroko  
otworzył oczy, ale nic, nic, normalny, legendarny

uœmiech znany z tyłłocnych reprodukcji, który nie miał w  
sobie zbyt wiele tajemnicy.

Był zdruzgotany. Ten uœmiech zwracał mu matkę, dalekš  
wołyńskš wieœ rzuconš w las jak

żydowski chałat Chagalla na nierealny czas spełnienia, zapach  
drzew mocny, uzdrowicielski,

pierwszš tragicznš miłœć, z której nigdy się już nie wyleczył,  
narodzenie i œmierć jeszcze

przed jego zmyśleniem zakazanego potomstwa, zakazanego  
kulturowo i wyznaniowo, bo ta  
ciemnooka dziewczyna była czymś więcej niż kobietą, jakimś  
wiekowym przeżyciem bezpieczniejszej  
pokory, która wbija w plecy nóż za skradzioną nadzieję,  
zapadaniem się w soczysty  
dotykalny grzech, który był bezgrzechem, rozległa,  
wszechobejmująca troska o płomień w  
jego oczach, który był oddaniem. Ten legendarny ucemiec trwał i  
trwała jego rzeczywistość  
męka. Bo coś zostało z tego stwórczego oddechu Wielkiej  
Emigracji, z tych rozpaczliwie  
goniących wolność myśli, z tego objętego zimnym brukiem  
konania niepospolitych synów  
Polski i ludzkiej ojczyzny? Oto na pchlim targu spotkał ułana,  
który w teatralnej pozie prezentował  
ciemność polskiego oręża. Zastanawiał się, czy spadkobierca  
Kozietulskich uważa pałkowate nogi za czerdek świata. Oczywiście  
pałkowate nogi może mieć każdy poczciwy  
mieszczuch, który uwielbia konne wyścigi i za wiele nie myśli.  
Sytuacja jest odwrotna, jeżeli  
idzie o okrutny sentymentalizm faceta w ułańskim czako. On  
myśli, można powiedzieć, meandrycznie  
i rozlicznie i w obywatelu Czarnieckim widzi znakomitego rębajłę  
plus historię nowożytną, której ton i wielkość nadali Jagiellonowie.  
Ironia boska jest jednak bezgraniczna!  
Najbardziej zbabiały Piast był potęgą przy tych stepowych  
marzycielach, których córki ukrólewiły  
pół Europy. Ta królewskość przetrwała w ciemnych,  
idiotycznych pozach ludzi, którym  
kultura szlachecka wyryła na czołach stygmat winy i duchowego  
rozpasania.  
Profesor  
zawsze myślał, że jako syn chłopca jest poza kręgiem tej kultury.  
Ale widok ułana na pchlim

targu był wstrząsem zbyt silnym, żeby myśel o jedności okazała się blefem. Zbyt długo bat

garbował skórę jego przodkom i zbyt duża była nienawiść, aby nie został

udaremniony zachwyty

paryskim brukiem. Z niecierpliwością czekał na koniec Zjazdu powtarzając bezsłownie

gorzkie słowa mistrza, że obowiżkiem ambitnego narodu jest wyrwać się spod kurateli Paryża.

Raz tylko trafił do katedry Notre– Dame. Spotkanie z absolutnie skończoną chwałą pozostawiło

w nim trwałe ślad. Stał „ wyszydzony i opluty wśród poczwarych rozdziawionych deszczem”

i myślał, że stary poeta był sprawiedliwy jak ostrołuk trafiony w niezłębiony lazur.

Stary poeta był również przerażony – dobrze pamiętał ten wiersz – i przez dwadzieścia lat nie

mógł sobie poradzić z tym gotyckim tańcem, wracał ku tej nieobjętej wysokością chimerze i

z chłopskim uporem wyrywał z serca nabrzmiały, czysty zachwyty. Być może jego siwe włosy

burzył artystyczny nieład budowniczych, że dojrzał ich praktyczne zamysły, aby żaden śmiełek

nie ważył się krzykiem otworzyć strzelistych głązów, tylko on jeden, przybysz z zamglonej

doliny nadwiślańskiego kraju, tylko on mógł całść tę skończoną chwałę „ odejrzeć” , zatopić

w opróżnionej z blichtru kadzi dziedzictwa. „ Milion złożonych do modlitwy palców” . Stary

Poeta stał pod krzyżem i powtarzał to z żarliwą tkliwością. Paryż zatruty spalinami pod kopuły

Panteonu przestał dla niego istnieć.

Spokój Wsi. Profesor rozumiał i cenił. Och, nie chodziło o namiastkę słońca i szczęścia,

które daje zdrowe powietrze. Uchwycenie drższej struny światła



jest takš samš trudnoœciš jak  
wyjæcienie powstania Źycia na ziemi. Być moŹe, i nawet na  
pewno, wszystko opiera siê na  
reakcjach chemicznych i nauka jest tutaj zasadniczš prawdš. Zbyt  
drogo kosztuje los i tym  
podobne historie, kiedy zwycięza irracjonalne gremium mistyki.  
Profesor jako bezwzglêdny  
optymista odrzucał tego rodzaju przeŹycie. Bezwzglêdny  
optymizm wymagał  
absolutnego  
posłuszeństwa dla œwiatopoglšdu, w którym nie było miejsca na  
katastroficzne wizje. Wynikało  
to nie tyle z indywidualnej przekory, ile z pewnej atawistycznej  
cechy gatunku, która  
głosi: przez poznanie siebie do poznania kosmosu. Kartezjusz  
kłaniał siê tu poprzez poŹogi  
wojen i knieje zagubionych wštpliwoœci, w których Profesor  
odnajdywał przerwanš niê tradycji.  
Z tradycjš były juŹ powaŹne kłopoty po pierwszej wojnie  
œwiatowej, ale dopiero druga  
zniszczyła całkowicie jšdro moralnego promieniowania i  
niewolnik Borowskiego przestał  
nawet wierzyç w racjê Źywych, nie mówišc juŹ o jakimkolwiek  
wyzwoleniu, które byłoby i  
tak powtórzeniem krwawego szaleństwa. Dlatego docišgnšc owš  
nitkê do wêŹła swojego ja  
było gladiatorskš odwagš, ale o zwišzaniu jej z nim nie było juŹ  
mowy i Profesor tego zresztš  
nie pragnšł. Bezsprzecznie lubił chwile szerokich rozmyœlañ i idšc  
przez Wieœ, której uroda  
nie była urodš jego dzieciñstwa, z luboœciš zgłêbiał naleciał  
sprzecznoœci burzliwej epoki.  
Byłby tak zgłêbiał do samej bezgłêbiny swojego bytu, gdyby nie  
mocny chropowaty glos,  
który wołał go po imieniu. Rozejrzał siê prawdziwie po

profesorsku, lecz w obrębie dwudziestu

metrów nie dojrzał nikogo. Niezdecydowany ruszył dalej, ale głos z ostrą niecierpliwością

powtórzył jego imię. Płynął z góry i teraz jastrzębie oko uchwyciło zarys sylwetki. Siwy

człowiek mniej więcej w jego wieku wychylał się z okna solidnego domu i gestem przyzywał

go do siebie. „Nu chodŸ, chodŸ, powtarzał niecierpliwie. Na pozycje okop! Nie poznał czy

jak. Ot, na tobie. Nie ociągaj się jak baba i właŸ na górę” .

Profesor szukał tej twarzy w paśmie

przeżytych metrów, ale nic konkretnego nie wynurzyło się spod tytułu przebrzmiałych lat.

Wszedł na podwórze i wąskimi schodami zaczął się na piętro. Tamten czekał

na progu

niedużego pokoju z uśmiechem, który nie był ani pobłażliwy, ani sympatyczny. Był

to

uśmiech pacjenta, który zna rewelację własnej ośmierni i obojętnie słucha kłamstw najbliższych.

W pokoju ubogim w sprzęty i aktywne życie czuło się zapach zależanej ośmierni i tej

niecodziennej, drażniącej atmosfery zwietrzałych lekarstw. Stał przed nim w niebieskim drelichu

i grubej jesionce, mocno obejmującej rozłożyste ramiona. „ Nu siadaj, siadaj, zagadał

silnie schorowanym chropawym głosem. Ot i nie poznał. Ja wiedział, że ty nie poznasz. Tyle

lat! Co, Jaćku? Dobijamy do krechy, ha?” . „ Tak. Oczywiście – rzekł z profesorską. – Ciężko

sobie jednak nie kojarzę” . – „ Cha! cha! cha! Ty Widok jak cholera, Jaćku. Nie kojarzy sobie.

Boże drogi! On nie kojarzy sobie Michała Gienzy! Nu Jaćku, ja rozumiem, ale żeby aż tak.

Widzisz co ze mnš. Nawet goœciny nie mogę dać, tak jak tam my dawali, w Sarnówce. Pamiętasz

Sarnówkę?” . ., Tak. Oczywiście – powtórzył cicho. – Sarnówka to coœ więcej niŹ tylko

goœcina. Coœ więcej” . ., Źycie, powiedział twardo, chropawo tamten. I goœcina. Ja nie rozpaczam.

Na pozycję okop! Nie rozpaczam. Trzydzieœci lat gospodarzê na tej ziemi i co, i co?

Do piachu. Od wojny, Jacêku, dzieñ w dzieñ i na co. Bo od piachu, bracie, nie ma odwołania.

Ot i twój ojciec – dobry odpoczynek racz mu dać Panie – jak mucha. A zdawałoby się wieczny.

I teŹ poszedł. Czegoœ tu nie przyjeżdŹał, ha?” . ., Nie składało się – rzekł cicho.

– Oczywiście.

Nigdy nie składało się” . ., Sarnówka, co? Pewnie, pewnie. Pomnę te wszystkie wspomnienia

i zdrowie z miejsca polepsza się. Bo i co nam brakowało, Jacêku? Lasy, woda, powietrze.

Ej, mój BoŹe, mój BoŹe!” . Michał Giemza, pomyslał Profesor. Jeden z najbogatszych

gospodarskich synów. Wódka, kobiety i œpiew. Sceny jak z Reymonta. Pewna przyległoœć

uczuc do œmigłookiej Pełci, którš widział juŹ tylko w zarysach. Była, zdaje się, piękna. Tak.

Niewštpliwie tak piękna, Źe kawalerka Sarnówki szła na noŹe. Co znaczy ta mitologia? JeŹeli

chłopczy szli na noŹe to nie dla jakiejœ tam kresowej jagody. Raczej fantazja i biegunowy zryw

ku męskim przeŹyciom. Bo lasy były nieprzetarte, ogromne. CiŹgnęły się jak ogon komety od

krańca horyzontu do końca ziemi, który był znany tylko nielicznym. Z lasu Źyła Sarnówka,

cały œwiat. Z lasu wychodzili w różnych okresach jednakowi ludzie z orłami na czapkach o

zabójczym, czerwonym kolorze i na oczach wsi kładli się pokotem pod całunem oemierci.

Chłopi z wœciekłoœciš œcišgali z nich przekrwione łachy i Bóg, który rozumiał

umęczonych,

œmiał się w swój brudny od gliny kułak. To było bardzo dawno temu, nie za jego szczeniackich

lat, które spędził na leœnych łškach w towarzystwie łaciatych krów i gniadych koni.

Można mówić o dzieciństwie z nabożnym skupieniem lub trudnym smutkiem i będzie to zupełnie

w porzšdku. Wszystko to w pół wieku póŸniej i tak staje się rozpasanš mitologiš, która

w najpiękniejszy z możliwych sposobów ukwieca doœwiadczenie losu. Bo wie na pewno, że

lasy były nieprzetarte, ogromne. Słyszysz podstępny wilczy bieg ku Ÿrebięciu; które niebaczenie

zbliżyło się do zarœeli. Widzi ojca w cerowanych gaciach i z zamilkłš w oczach legendš. Trochę

drobnych dalekich ucieczek od pracy w polu w gšszcz nieprzebytych marzeń, z których

jedno pamiętał doskonale. Było to marzenie oczywistej podróży do kresu tego lasu, za którym

musiały wreszcie leżeć jasne przestrzenie. Być może i inne rzeczy, ale jasnych przestrzeni

pragnł jak najdosłowniej i pojętej wolnoœci od jarzma rytmicznych wschodów i zachodów

goršcego dnia. Dawno już odbył podróż, a las trwa, roœnie jak Makbetowi w obłędnych

oczach, to tu, to tam, staje się na powrót swoim poczštkiem i nadal jest nieprzeparty, ogromny.

Giemza z napięciem wpatrywał się w jego suchš białš twarz i Profesor rozumiał go bardzo

dobrze. Michał Giemza, lapis loquitur, buduje ostatni promień, którego już nie ma. A czy w

ogóle był? Jeżeli coś jest trwałego w tym najbardziej nietrwałym  
cennie życia – to wtajemniczenie  
miłości, tego nieustępliwego żywiołu dostępnego Naturze i jej  
dwunożnemu tworowi.

Człowieka uszlachetnił ogień skradziony bogom, lecz wysubtelnił  
napój służebnicy, jasnowłosej

Izoldy. Bo robić miłość, jest rzeczś wymiernie dobrś, ale  
wyprowadzić z niej miarę

czynów ludzkich, to wysiłek równy stworzeniu siebie na nowo. To  
podstawowe prawo wolnego

umysłu jest, być może, tylko iluminacjš nad œwieciem technologii i  
metodologii. W

takiej

perspektywie œmiglooka Pełcia gubiła swój prymitywny witalizm  
i zaczynała pełnić rolę moralnego

lustra, w którym przeglšdał się gimnazjalista œwiadomy  
podniosłych wyrzeczeń wszystkich Widoków, jacy kiedykolwiek żyli,  
żyjš i żyć będś. Ten narcyz napelniał go leniwś

rozkoszś, dokładnie wykreœlał bieg pragnieñ, w których  
dziewczyna zatracala swe wdzięczne

rysy i pchana odœrodkowś siłś tuliła jego młodzieñczś twarz do  
dorodnej jak wicenia piersi.

Widokowie zapadali w mroku milczenia, ich jazgotliwy  
pañszczyŹniany płacz znikał

w zaciętym

uporze, z którym walczyli o godne przeżycie i podle bogactwo  
utraconego raj.

Oczywiœcie Pełcia kochała go na swój sposób, ostatecznie nie był  
sokołem i traktował jej

współziomków z nie ukrywanś pogardś, za którś w dwa lata  
póŹniej trzeba było zapłacić

najwyższś cenę, ale te dzikie chwile kładły swój różnobarwny szal  
na najbardziej miarodajñś

przyszłoœć, poniekdś przetrwały i wojennś požogę, i  
współrytmiczny czas odbudowy, i powolny,

nudny okres naukowej kariery. Wydawało mu się to jak  
najbardziej zgodne z powołaniem  
ludzkiego marszu ku jasnym przestrzeniom i ku rozkołysanemu  
morzu oświatłego rozumu.

Bo i cóż można przeciwstawić tej nadświadomości, w której  
odkładajś się nieprzebyte  
warstwy odpadów niewinności, pierwotnego grzechu,  
magiczne właściwości syberyjskiego  
kwiatu? Niewiele niestety. Kultura Europy – racjonalna i  
antropocentryczna –  
jest przejrzysta  
jak newska noc i wyklucza ze swego klasycznego kręgu  
przebóstwienie drogi człowieka, która  
jest tak szlachetnie dopowiedziana w buddyzmie i która  
chrześcijaństwo zamknęło szlabanem  
zbawienia, uniemożliwiając w ten sposób wzniosłe pośczenie się z  
wyobrażeniem własnej  
nicości. Bo jak już to wiadomo od męża z Ur, zejście z tego  
oświata jest samotną rozmową  
z wewnętrznym strażnikiem przeszłej i przyszłej drogi i biada  
zadufanym, którzy jej nie ufają.  
Proch z ich nóg zostanie strząśnięty przed Czasem. Z drugiej  
strony cywilizacja i jej wychylony  
w kosmos kadłub były przecież dziełem krusznych dzieci tego  
padołu i Profesor tłumaczył  
to stoickim paradoksem, iż statyczność religii jest namiętnością  
podróży w nieznane.  
Wszelako podróż w nieznane może mieć określone cele i wtedy  
naskórek namiętności staje  
się grubszą skórą konieczności, oświat z niezmiernych błoni  
powraca w równoległe koryta,  
dzień jest przekleństwem czarnej pracy i świadomości zagubionej  
jednostki jest wprost proporcjonalna  
do poglądu zero, który szuka swoich właściwości w wytworze  
też czarnej pracy.

Zasadnicze zadowolenie, które ogarnęło Profesora nieodgadnionym fluidem, spłynęło na naprężone usta Michała Giemzy, który zaczął ubolewać nad kompletnym brakiem zdrowia i niewdzięczności swoich dzieci wychowanych ostatecznie po katolicku, że trudno jest wręcz pojąć tego rodzaju postępowanie. Był to smutny potoczysty monolog serwowany każdemu wolnemu słuchaczowi i Profesor pomyślał, że nie ma w nim za grosz prawdy, po prostu obrzydliwe zrzucanie winy na tych, którzy z obowiązku krwi i dziedzictwa muszą być nienawistni.

Pamiętał przecież młodego Giemzę. Pijanica, warchoł i zawołany bójkarz, do samej wojny jego pazur orał plecy wybranym delikwentom, był oczywiście bezkarny, bo nikt specjalnie nie zabiegał o sąd, Sarnówka leżała zbyt głęboko w niepamięci państwowej administracji, żeby wiejski zabijaka mógł obudzić ją ze znamienitego snu. Pełcia zniknęła całkowicie w przepastnym chutorze i tylko zapach jej mocnego ciała prześladował go przez długich kilka miesięcy. Później przyszli Niemcy i trzeba było jechać w głąb tłustej, rozjuszzonej Bawarii, Giemza uciekł do partyzantki, chciał również, ale ojciec pięścią wybił mu to z głowy.

Wtedy po raz pierwszy poczuł wściekłą chęć zniszczenia tego człowieka, był to niesamowity, zimny brzeg rozpaczy, który próbował ominąć przebiegając po kładce nabytej kultury, zatopić się w mglistym pejzażu unoszonego w pamięci lasu, w którym posepna pieczeń żołnierzy dawała rękojmię wolnego życia. To wolne życie wyobrażał sobie jako niezmordowanie okrutną walkę już nawet nie o ojczyznę, ale o godne umieranie, o tę odrobinę patosu, z jaką ginie każdy rzeczywisty ideał, którego trwałe okruchy przenosi historia na ręce

wnuka. Lecz nawet i to

zostało mu odebrane. Bo chciał zabijać. O, to była prawdziwa  
męska przyjemność pójść w

oelady szlachetnego łotra i błogosławić powietrze pić z  
rozpłatanego tułowia krew, myśleć o

własnej wielkości, pracować nad jej wszechziemskim wymiarem i  
być, tylko być.

Wojna z

tlustej, rozjuszanej Bawarii nie wyglądała wcale groźnie, wręcz  
przeciwnie, to zgniła niewolnicza

wegetacja była ohydny konaniem, nie wojna, która prowadzi ku  
jasnym przestrzeniom,

niedozwolone w granicach prawa zabijanie. Podniósł dłoń i  
zobaczył, jak w bezbarwnych

oczach Gienzy zaszklily się łzy. To przykre, powiedział. To  
bardzo przykre. Ale tamten

milczał i Profesor nie wiedział, czy rozumie go zgodnie z jego  
wyobrażeniem mędrca, czy

tylko z torem chaotycznych myśli biegnących po cięciwie  
zaprzeczonych zdarzeń.

Fakt, że w

tej Wsi, do której przez trzydzieści lat nie zaglądał jako syn tego  
dumnego starca z zamilkła

legendy w oczach, który wydawał się wieczny, co jest przecież  
zaprzeczeniem męskiego porządku,

ponieważ wieczność wymaga rytmicznego dojścia własnego  
kresu, fakt, że on w tej Wsi odnalazł żywy oelad przebrzmiałych lat, był  
podwójnie bolesny. Z jednej strony zasadnicza

wiara w pozytywnie zamknięty życiorys jest przywilejem ludzi  
oewiatłych, co nie znaczy,

rzecz jasna, że furman może być jej pozbawiony. Często bywa  
odwrotnie. Właśnie oewiatłych

ludzi ogarnia przed zamknięciem kalendarza zniechęcenie,  
szpitalna apatia rozmywa wielkie i

małe osiągnięcia, bilans wydaje się zmarnowanym możliwościami i



inteligencja z podniesionš

temperaturš zaczyna szukać egzystencjalnej, sartrowskiej dziury.

Ale œwiatły człowiek jest i

tak wygrany, ponieważ podstawš całych tych czasoprzestrzennych poszukiwań jest wyzwanie

œwieconego humanisty, który nieubłaganie powtarza wytarty jak kinowy fotel frazes: „, nic co

ludzkie nie jest mi obce” . I rację mająš prostaczkowie w rodzaju Joanny D’Arc czy szewca

Kilińskiego, kiedy za wiele nie mycełš nad sensem własnych czynów i idš za poczuciem przynależnoœci

plemiennej albo za tak zwanym élan vital, który ich pcha w sam œrodek kredowego koła historii. Powtarzana przez najtęjsze umysły prawda, iż wiedza nigdy nie daje optymistycznych

odpowiedzi, zawiera w sobie ten załšzek twórczego niepokoju, o którym Stagiryta wyrażał się z greckim umiarem jako o przerażajšcym milczeniu gwiazd. Dlatego œwiatła

istota ma zawsze w zanadrzu oczywiste argumenty, którymi obudowuje swš rozlałš rzeczywistoœć.

Z drugiej jednak strony Profesor mógł myœleć o normalnym szczœœciu spotykajšc Giemzê żywego i całego, któremu ani w głowie nie było zmyœlać cokolwiek, choć ten jego

placzkliwy ton zupełnie nie licował z podejrzliwie nieufnš chłopskš godnoœciš.

Mówił kamieniami

na swoje potomstwo z zasady, bo tak mówili dziadowie i ojcowie, i gdyby spróbował

odrzuć kamiennš miłoœć, znalazłby się w gšszczu papierowych myœli, które by go wykończyły

w parę dni. Wszelako godnoœć oraz potomstwo nakładały się na siebie jak zręby ponurej

wyobraŹni i Profesor z całym doœwiadczeniem socjologa mógł ręczyć za zgodnoœć tych

ułamków. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, iż taki układ martwych słów nie pozostawiał

żadnych obciśzeń moralnych, syn spokojnie czekał na kamień,  
który wprawi w niezmienny  
ruch przekleństw z takš samš siłš odrzutu jak odeszłe pokolenia.

Kiedy wstał, aby stšd wyjœć, usłyszał, że jest człowiekiem tak  
wysoko kształconym, iż

trudno prostemu chłopu mówić z nim mowš ojców. W ogóle mowa  
ojców zanika i nawet ci,

którzy orzš ziemię, pieszczš słowa na wzór telewizyjnych lekcji  
rolniczych.

Giemza otulił się  
szczelnie jesionkš i zaczął sprowadzać go na dół, kiwajšc smutno  
siwym łbem. Na podwórzu

zatonął rękš szeroki łuk i Profesor ujrzał oœlepiajšcy pióropusz  
domowego ptactwa. Był to

widok zaiste cudowny i fala wspomnień napłynęła jak jštržšcy  
zapach poziomek.

Gładka daleka  
skóra młodoœci zawirowała mu w oczach i jego wewnętrzny rys  
pękł jak złamany patyk.

Wszystko było rozbite na detale głodu, nędzy i przypadkowej  
œmierci. Nawet podniosły nieodpowiedzialny

zryw ku wiedzy nie miał w sobie nic z całoœciujšcych przesłanek.  
Ale czy w ogóle była możliwa jakakolwiek indywidualna całoœć?

Przecież płaszcz wojny nakrył i żywych

i trzeba było zmartwychwstać nie w radosnym ryku anielskich tršb,  
ale panujšcych wszechziemsko dzieł, oglšdać bliŹnich, jak wychodžš z  
lochów ciemnoœci, i myœleć o nowym

wcieleniu słońca. Ten obóz w tłustej, rozujszonej Bawarii trzymał  
go w swym obwodzie od

trzydziestu lat i często budził się pod górš ziemniaków, która  
przywalała go swym niebotycznym

cieniem. Bo pracowali w fabryce kartofli, nie odginajšc karku i nie  
stanowišc żadnej

masy, bezkształtny twór płowej bestii, który ćwiartowano tak  
umiejętnie, że koœciec moralny

czy idealny przypominał zatopiony wrak. Zresztś nie było mowy o idealizmie pod surowym spojrzeniem ojca, który kazał pracować uczciwie i rzetelnie i często wyręczał kulawego dozorcę, i łopatś liczył koœci, co niech mu nie zostanie odpuszczone nigdy, ponieważ robił to z zamilkłś legendś w oczach i bez żadnego dobrego słowa przebacząjścych. Stary dureń – myœlał Profesor bardzo po profesorsku. Zniszczył mi najpiœkniejsze marzenie. Trudno nawet mówić o żalu, kiedy był tak siepacko prymitywny i zwierzęco okrutny dla własnych przecieź dzieci. Zastanawiajśca jest ta bezwzględnocœć u dawcy życia. Można w tym widzieć poczśtki wyzwalańia się spod matriarchatu, kiedy myœliwy przejrzał œwiat zwierzśt i zdumiony stwierdził, iź władzś jest tam ta częcœć, która częcsto staje na tylnych kończynach i uderzeniem przedniej kładzie pod sobś rozbieganś sforę. Taka hipoteza jest do przyjęcia i jako znawca krystalizacji społecznych autorytetów sśdził, że niewśtpliwie kult plemiennego wodza rozpoczśł się od fizycznej przewagi bardziej rozwiniętego cwaniaka. Obecnie, gdy wszystko staje się instytucjś, dobry dzikus ubrany w hippisowskś blużę wychodzi na ulicę nakrytych smogiem miast i przepasza, że żyje. Nie przeszkadza mu to pluć na dobra konsumpcyjne, które zniewalajś wyobraŹnię i osobowocœć. Choćby i Juliusz. Nie hippis, ale i nie porzśdny student. Krnśbrne, opętane naiwnś filozofiś dziecię, które rozpaczliwie pragnie rozbić szybę znieczulicy. Nie on pierwszy i ostatni. Społeczeństwo to nie piecœń o kajdanach. W żadnym wypadku

nie piecǣń. Róźnie interpretowano ten interesujšcy twór zwany narodem. Cycero mówił republice rzymskiej prawdy szlachetne i mšdre. Machiavelli nie piecǣcił swoich współczesnych żadnš utopiš i spoglšdał na człowieka jak na narzędzie okreœlonej, władczej siły władzyki.

Metternich był jeszcze bardziej cyniczny. Im bliżej dwudziestego wieku cynizm staje się uhonorowanš

broniš dyplomatów i tych, których platońska przenikliwość nazwała tyranami.

Naród

przeobraża się z niesfornej sfory w rozwarstwiony klasowo kocioł, w którym dziejš się

dziwne rzeczy. Oto pogardzany tłum podnosi swój lwi łeb i zaczyna biec ku kochance swobody.

Ludzie chcš być synami œwiatła, czyli jasno widzieć swojš rolę w zegarze społecznym.

Oczywiœcie majš prawo do realnych marzeń. Oczywiœcie. Wybuchajš wojny i rewolucje.

Wali się stary porzšdek, a na jego miejsce wchodzi nowy. JeŹeli dany naród przeŹył tylko

rewolucjǣ pałacowš, w jego duchowej strukturze niewiele się zmienia. Klasycznym przykładem

moŹe być tu Japonia, której skok od feudalizmu do kapitalizmu jest czymœ

niesamowitym,

poniewaŹ został wykonany w cišgu kilkunastu lat. Europa potrzebowała na taki sam skok dobrych kilku wieków i do dzisiaj jej monarchiczne głowy sš traktowane z estymš, Źeby

nie powiedzieć z oddaniem. Japonia nawet pod tym wzglǣdem pozostaje przykładem.

Cesarz

nie jest boskš istotš, choć jest narodem. Najbiedniejszy wieceniak ludu Yamoto wie, iŹ cesarz

na dziedzińcu pałacowym ma poletko, na którym celebryje uprawǣ

ziemi i tym podobne rzeczy.

W takim wypadku władza została mu przekazana od jakiejś siły stwórczej, która na pewno

jest dobra i oświecona, i trzeba jedynie rzetelnie pracować, aby zdobyć miejsce w jej kołowym

cieniu. Przekonanie wieśniaka jest, oczywiście, nie do obalenia, ponieważ jest on narodem,

czyli cesarzem, a cesarz sam siebie nie może wyzyskiwać, więc kapitalizm pozostaje dla niego

pułk nazw lub nieszkodliwym szumem młodości. Ten paternalizm nie ma nic wspólnego

z religią, bo Budda czy Konfucjusz to zupełnie inna para kaloszy. Duchowa struktura

tych filozofów cięgle budzi zdumienie Europy. Rzecz jasna jest to tylko przypuszczenie, ale

im więcej przepustów ma nasza oświeconosc, tym bardziej nieobliczalne są kroki w stronę

zbawienia, które może być społeczne lub wieczne. Bo i cóż wreszcie kryło się za tym oświeceniem,

którego doznał przy trumnie tego znieawidzonego człowieka i który zdeprawował

mu

dziecko tę zamkniętą legendę w oczach? Pytania cisnęły się na usta w rozdzierającym krzyku

umysłu i czuł, jak pięści unoszą się w mimowolnym ruchu i chcą popieścić żylaste ciało.

Opanował się jednak i pomyślał szczerze, prawdziwie po profesorsku, Stary Dureń.

Zniszczył

mi najpiękniejsze marzenie. Ale to nic nie szkodzi. Racja i tak jest po stronie moralnego heroizmu.

Niestety tylko moralnego.

Podał rękę Głowi, który tamten pochwycił z nieznaną mu skwapliwością i po raz kolejny

zaczął przeproszać za brak ludzkiej staropolskiej gościnności, słyszał

ten chropawy mocny głos

jeszcze na szosie i nie mógł w nim odróżnić drwiny od pocziwoœci. Nie ulegało wstpliwœci,

że Giemza sklasyfikował go na in minus, ostatecznie żył na szczytach jego wyobrazenia mędrca

i zejœcie w objęcia padołu musiało mu się wydać sromotnš kapitulacjš. Jeœli w ten sposób

potraktował to spotkanie, to zmiany w strukturze duchowej wiejskiej ludnoœci były bardzo

głębokie. Bioršc pod uwagę działanie telewizji oraz prasy można wypocerodkować realnš

linię przebiegu pomiędzy zakrytym ja a otwartym my, co nie znaczy, że uzyska się odpowiedŹ

zadowolajšcš, ale szansa na zrozumienie tego zjawiska jest doœć duŹa, tym bardziej, że

zjawisko samo w sobie jest jego przeciwieństwem, czyli następstwem rzeczywistoœci, która

nigdy nie zaskoczy rasowego naukowca. Jest prawdš, iŹ Wiœ modernizuje nie tylko pracę,

ale i œwiatopoglšd, który coraz szczególowiej analizuje opłacalnoœć egzystencji na iluœ tam

ha. Bo przecieŹ praca w przyrodzie nie musi być katorgš, to zwykle terminologiczne nieporozumienie

i trzeba to uœciœlić stwierdzajšc, iŹ największym robotnikiem jest państwo, które

swym konsekwentnym ramieniem obejmuje najbardziej wysunięte cyple nieużytków i zamienia

je w kwitnšcy pszeniczny łan. Wychodzšc z takiej pszenicznej oazy widać wyraŹnie logiczny

łańcuch, który wiœze działanie produkcyjne z płynnš sferš duchowš. OtóŹ człowiek (w

tym wypadku chłop i jego nasienie) działajšc nie lubi za duŹo mówić i mówišc nie lubi za

duŹo działać. O tym kaŹdy socjolog doskonale pamięta, gdy przystępuje do syntezy ruchów

migracyjnych i tym podobnych spływów w określonej klasie,  
którymi urozmaicona jest każda  
solidna mapa społeczna. Żmudny proces wykluwania się z tego  
sprężonego ruchu nowej  
psychicznej postaci jest równie bolesny jak poród awangardowych  
myśli czy mniej awangardowej  
rzeczywistości. I tej właśnie rzeczywistości, która unosiła się  
nad dachami Wsi, nie  
wolno było przegapić, i Profesor to rozumiał na swój idealnie  
empiryczny sposób.  
Zgadzał się  
też ze smutnym okrzykiem Gjemzy, że i tak pójdziemy do piachu,  
choć na temat śmierci miał  
raczej przemyślane zdanie, i w skrytości marzył o wylewie krwi  
do mózgu, który przerwałby  
natychmiast mniej lub więcej ważny czas nieudanych wlotów ku  
gwiazdom. W innym wypadku  
zalecał apollinijską ironię i platoński spokój o stężonym,  
druzgocącym obuchu, który  
rozbiłby fałszywą rozpacz rodziny. Nie znaczyło to, że nie kochał  
swoich najbliższych.  
Oczywiście kochał. Ale przechylał się do zdania Buddy, który  
powiedział, iż ostateczny koniec  
powinien nastąpić w obliczu naszego własnego wizerunku, który  
lekką mknie na fali  
nirwany, i trzeba go w tym jednym błysku wszechludzkiego  
szczęścia zatrzymać i opromienić  
gaszącym wzrokiem. Stary Poeta pisał podobnie i Profesorowi te  
dwa autorytety wystarczyły  
do coraz częstszych rozmyślań o kole wieczności. Tym bardziej  
że gwałtowne klucie serca  
było poważnym ostrzeżeniem początku końca. Zdawał sobie  
poniekąd sprawę, iż to wszystko  
co zrobił i robi, nie jest takie ważne, że gdyby do dzisiaj orał  
ziemię, ten drobny wycinek

nauki w najmniejszym calu nie odczułby jego braku, może nawet bardziej byłby błogosławiony u siermiężnych Źródłał wszystkich Widoków, jacy kiedykolwiek żyli na tej rozkosznej ziemi, która była ich przekleństwem i chwałš. Patos tej nagłej myœli rozciœgnł mu usta w dobrotliwym uœmiechu i Profesor z westchnieniem ruszył w stronę zrujnowanej chałupy swego ojca, którš kompletnie zapomniał zaofiarować Gieizie jako nieruchomoœć do nabycia po cenie zrównoważonej wartoœci. Miał jednak nadzieję, że Wieœ nie pozwoli mu wyjechać z nieuregulowanym garbem materialnej koniecznoœci. Zastanowił się nad okreœleniem „ materialna koniecznoœć” , dostrzegajšc w nim nie tylko pieczołowicie wytargowany zysk, ale siłę pewnych moŹliwoœci estetycznych. Otóż suma pieniędzy, która wpada do kieszeni jako niespodzianka, może być wydatkowana na cele sztuki bez oglšdania się na Źołšdek. Sztuka zaœ kształtuje wraŹliwoœć, czyli człowieczeñstwo, i pozwala na szersze widzenie przyczyny i skutku. Profesor miał tu na myœli nie wyrafinowany geniusz Paula Cezanne’a czy Picassa, ale bezforemnš pop– sztukę Sama Francisa, Jacksona Pollocka czy Franza Kline’a. Oni to odchodzšc od osobowoœci, czyli stylu, budujš nowš wraŹliwoœć z dwudziestowiecznej rupieciarni. Ich płótna były dla niego nieosiŹgalne, miał kilka jednak rzeczy wrocławskich malarzy, którym płacił od objętoœci, co doœć duŹo go kosztowało, poniewaŹ ci mocni w reklamie chłopcy potrafili machnšć „ obraz” na kilkumetrowym płótnie, tłumaczšc potencjalnym nabywcom z brutalnš powaŹš, że nowa wraŹliwoœć nie może się rozpraszać na skaŹone rzemiosłem drobiazgi



typu Rembrandt czy Monet i czas wreszcie skończyć z  
fachmaństwem w dziedzinie tak  
subtelnej jak malarstwo. Profesor nie był snobem, ale człowiekiem  
swojej burzliwej epoki,  
która za dziesięć tysięcy dni miała powitać wiek XXI całkowicie  
inna, trudno, nawet powiedzieć  
jak inna, kiedy przecież nie zobaczy tego łagodnego przeskoku i  
dlatego ze smutnš determinacjš  
wpatrywał się w seryjny kociokwik pop– sztuki, taktownie wierzšc  
w jej dominujšcš przyszłooć. I w tej materii zupełnie nie rozumiał  
Starego Poety, którego zachwył wielkš  
duchowš kšpielš wyrył trwały œlad na jego twórczoœci. Być moŸe  
winna była tutaj gałŸzka  
kwitnšcego migdała van Gogha, która pozwoliła mu ujrzeć na  
nowo œwiat.  
Profesorowi to  
byłoby w zasadzie obojętne, ponieważ zawsze i wszœdzie widział  
tylko biblijnš belkœ, a przecież  
niepokoił go ten migdał przez dłuŸszy okres jak Ÿadne wyznanie  
Starego Poety.  
Primo: Stary  
Poeta był intelektualistš duŸego formatu i musiał wiedzieć, Ÿe  
delektowanie siœ muzealnš  
ciszš jest anachronizmem, narzucaniem sobie sztucznej modlitwy,  
w której przejmujšcym  
słowem wcale nie była radoœć z realizowanego dotyku Nike, ale  
„ sprawdzony szeptem wyraz  
ostatni” . Nie ulega wštpliwoœci, Ÿe natury artystowskie, i to  
takiego kalibru jak Stary Poeta,  
który chodził głowš w chmurach, nie potrafiš zdobyć siœ na  
dystans do jakichkolwiek marzeń  
ludzkoœci, a juŸ w tych, w których kielich cykuty byłby przez  
chwilœ równy kielichowi ambrozji,  
sš gotowi siœ ukrzyŸzować lub spalić w słońcu. Jest to najbardziej  
tajemnicze doznanie,

które ciŝgle wymyka się obiektywnemu poznaniu i wyglŝda na to,  
że nigdy nie zostanie wyjaœnione

w granicach naukowego rozsŝdku. Bo czymże w ostatecznoœci  
byłoby takie wyjaœnienie?

Profesor bezradnie ruszył zuchwŝ i ostroŝnie kierował myœl w  
stronę opętanych mistyków.

Szkopuł był jednak w tym, że Stary Poeta tłumaczył kaŝdy  
olœniewajŝcy zachwyt językiem

podmiotu lirycznego i wszystko stawało się tak piekielnie proste,  
że normalnej istocie

pozostawało jedynie bezwładne krŝzenie po trajektoriach jego  
artystycznej wizji.

Jednak istniał

jeszcze czarny kwiat egzystencji i w jego cieniu próba całoœci  
zaledwie majaczyła. A

więc secundo: Stary Poeta przez całe ŝycie był pastuchem swej  
rozognionej pamieci. Paryŝ

nie podjŝł tego wezwania, które mu rzucił z myœlŝ o  
przekroczeniu samego siebie.

To znaczy

nigdy się do tego oficjalnie nie przyznał, ale w „Katedrze  
Notre– Dame po latach”

pulsuje

zniechęcenie i niedbały ukłôn przechodnia, który przypomina  
sobie miejsce zadawnionej

walki bez drżenia serca. Profesor sadził, że Paryŝ był dla Starego  
Poety bolesnym doœwiadczeniem

człowieka wykształconego na klasycznej kulturze, którego drugie  
ja – jakby powiedział

psychoanalityk – ukształtował widnokres rodzinnej wsi. Trudno  
wyrokować arbitralnie,

czy tak było na pewno, lecz wstrzemięŝliwość póŝniejszych  
wypowiedzi lirycznego podmiotu

dotyczŝcych tej kolebki sztukmistrzostwa wydaje się  
symptomatyczna. Przy całej elokwencji

i wyrafinowanym smaku Stary Poeta pozostał oraczem nie tylko  
słowa, ale i świadomości  
bujnej pierwotnej siły, której oddał hołd w przejmujących  
wierszach. Jego dramatyczny  
światopogląd i solaryczna filozofia istnienia zerodkowały się  
wokół człowieka–  
słońca, tego  
rówieńnika jutrzeńki i wiecznego wędrowca, który przekraczając  
niezliczone umieranie żyje,  
którego narzędzie ze światła jest dźwiękiem i spojrzeniem, liniami i  
myślimi, który robi świat wiedząc,  
że tylko wszechświat mówi pierwsze słowo. Człowiek– słońce  
jest znany ludowi pod postacią czterdziestu męczenników,  
zmodyfikowany genialnie, ale już nie tak genialnie wyznaczając  
jego miejsce w układzie społecznym tak mało awangardowej  
rzeczywistości.

Rzecz jasna, Profesor nie miał mu tego za złe, lecz jako socjolog z  
nawyku badacza chciał  
mieć wszystko przejrzyste i logicznie prawdziwe. Wydaje się, że  
na paryskim bruku mogła  
się pojawić w napiętej wyobraźni poety matka ze śmiertelną  
koszulą w sękatych rękach i mogła  
mu przypomnieć winę, którą nosił na jasnym czole przez całe  
życie. Była to wina ujarzmionego  
ognia, morderczej, robionej za niego roboty przez tę jedyną w swej  
dobroci chłopkę  
i jej przedwczesne zejście, które opromienił ciemny wiersz syna. Z  
tego trójką było już tylko  
wyjście do słonecznego koła wewnętrznej jedności z klasą  
przemienionych kołodziejów i  
oraczy w świadomych bojowników o własną historię i inną,  
wycenioną pod krzyżem Polską.

Profesor będąc w młodości pod silnym wrażeniem rachunku  
prawdopodobieństwa zakładał,  
iż konieczny przypadek jest bezwzględnie potrzebny do

osięgnięcia średniej przeciętnej.

Ludzie przeciętni, jak wiadomo, stanowił określony wielkość fizyczny oraz ośrodek działania

ludzi genialnych, którzy rodzą się na kamieniu w odstępach jednego wieku i są twórczym

motorem postępu. Pewnik ten coraz bardziej przypomina również pochyłość, ponieważ demokratyzacja

życia uniformizuje osoby i spłodzenie niewymiernej osobowości stoi pod znakiem zapytania. Profesor w takim koniecznym przypadku powtarzał nieodmiennie swój ulubiony

paradoks, iż tam, gdzie następuje kres możliwego, niemożliwość staje się realizmem. Miał

tutaj namacalny dowód w postaci swoich synów. Ryszard był kresem możliwego, opartego na

twardym gruncie realizmu, natomiast Juliusz ufilozoficznając każdą poszczególną niemożliwość

traktował realistyczny grunt wymiennie. Była to sprzeczność, która życie codzienne pod

wspólnym dachem przeobrażała w piekło już nie Dantego, ale św. Augustyna.

Profesor zachodził

w głowę, dlaczego jego krew z tej samej matki wytwarza takie horrendalne przeciwności,

i nie umiał na to odpowiedzieć żadnym rozsądnym wyjaśnieniem. Gdy tylko zorientował

się, że Juliusz przypomina w najdrobniejszym szczególe dziada Widoka, wysyłał go do

niego jak niepoprawną duszę do czyśćca. Skrycie marzył nawet, iż dziad wpoi mu miłość do

pracy na roli i Juliusz nagle przeobrazi się w zafrasowanego chłopka, który nie ma na drobiazgi

czasu. W zasadzie nigdy nie lubił tego chłopca i wyrzucał to sobie z okrutną determinacją,

ponieważ czuł się głupio w roli ojca spod ciemnej gwiazdy i za żadne czułości nie chciał w

oczach krnšbrnego dziecka za niego uchodzić. Ale brak tych  
czułości i mimowolne obrzydzenie,  
które odczuwał dotykając jego cieniadej skóry w chwilach lekkiego  
podochocenia alkoholem,  
powodowało opłakane w skutkach konflikty między nim a żonš.  
Występował tutaj klasyczny  
wyróżnik na dzieci bliższe i dalsze własnemu sercu, choć żona  
starła się temu najusilniej  
zapobiec, lecz postronnemu obserwatorowi z miejsca rzucało się w  
oczy, iż flegmatyczny  
Ryszard jest ulubieńcem ojca. Zresztš Profesor sam to podkreślał  
na różne sposoby, od  
drobnych upominków ofiarowanych im w dzieciństwie do  
pogardliwego tonu w wieku dojrzałym,  
z jakim traktował namiętnš ciekawość Juliusza. Był w tym  
całkowity brak logiki, gdyż Juliusz bił o pokolenia Ryszarda  
rozumieniem swojego czasu i wrażliwością na ludzkie  
zapędy tragedii. I może właoenie ten brak logiki był logicznym  
następstwem niechęci Profesora,  
który bardzo nie lubił zmieniać swych iocie profesorskich  
sentencji. Wszelako cierpiał nad  
tym, że impotencja intelektualna starszego syna nastšpiła w  
trzydziestym roku życia i tłumaczył  
to ogromem informacji, której żaden rozsšdny człowiek nie  
traktuje poważnie.  
Absurdem  
jest mniemanie, że duża wiedza daje dużo szczęścia, zwykł  
mawiać w willi przy ulicy  
Sępa. Nowoczesny naukowiec to masa komputerów plus grono  
asystentów, którzy nie mają  
złudzeń, że wszystko toczy się po torze rywalizacji. Czasy  
oloeniewających odkryć mamy już  
dawno poza sobš. Obecnie marzeniem rozsšdnego specjalisty jest  
niedopuszczanie do siebie  
krzyżujących się informacji, które pokrzyżowałyby mu robotę i

drogę do kariery.

W tym wypadku zamykanie się w domenie A, która wyważa wrota zwstpień domeny B, jest jedynym wypłynięciem na szerokie wody uznania. Czy program kosmiczny Apolla zostałby wykonany w stu procentach, gdyby osoby odpowiedzialne za jego realizację z ołówkiem w ręku przekonywały

siebie nawzajem o wyższości własnych koncepcji? Przenigdy. Wrota zwstpień należš już do prehistorii żywej myœli i daj Boże, aby ich powrót nie zaskoczył

ludzkoœci w momencie zdobywania wszechœwiata, bo wtedy cały wysiłek ważyłby tyle co sikorka, czyli wielkie

nic. Profesor oczywiście nie zapomniał dodać, że sikorka jest miłym ptaszkiem, z którego

pożytek w rolnictwie jest niewymierny do jego wagi. W ogóle lubił sobie pogadać na tematy

dalekie i bliskie w trakcie jakiegoœ głupawego programu telewizji, którą cenił

jako œrodek masowego urabiania œródmoŹdza, ale w której nie lubił występować, gdyż jako socjolog i

specjalista od krystalizacji społecznych autorytetów był przez telewizję wręcz przymuszony

do wygłoszenia swojej opinii o zmiennych społecznych lub stałych rewolucyjnych.

Te szczególne uwagi Juliusz kwitował drwišcym ucemiechem i w takich chwilach Profesor miał

ochotę wyciŹgnš z niego bebechowate bebecchy, jak powtarzał to za Witkacym z pieczołowitš rozkoszš.

Prawdziwym myœlozercš swobodnych refleksji Profesora był za to Ryszard, w którego

niebieskich œlepiach (z wyjŹtkiem tego dziwnego

niszczyielskiego blasku) paliły się ognie  
uwielbienia. I tak kiedy Profesor mówił o Paryżu jako o mrocznym  
kultury i kapitału, a rewolucji  
z 1789 roku przyznawał tylko prerogatywy swobodnego terroru,  
Ryszard brał to dosłownie  
i z jego szczupłej piersi wydobywał się piskliwy okrzyk: Niech  
żyje o mroć! Gdy Profesor  
mówił o słowianofilstwie, które miało wyrwać Europę ze szponów  
konsumpcyjnego diabła,  
Ryszard z gorliwš bezwzględnoœciš wpatrywał się w biblioteczne  
półki, jakby chciał spalić  
zakurzone bogactwo myœli, a na ich zgliszczach zbudować  
wiecznie o wieże bogactwo przeżyć.  
Gdy Profesor powtarzał wyo wiechtany łaciński komunał: esto  
quod esse videris, Ryszard  
przestawał go zupełnie rozumieć i szedł na brydza. Jednym  
słowem chodziło o jak najwięcej  
słów, w których zawsze się znajdzie ziarno prawdy i Profesor  
musiał wystrzegać się swego  
klasycznego umiaru jak Stary Poeta wydeptanych przez masę  
towarówš o cieżek do Nike Samotrackiej.  
Lecz Stary Poeta miał jeszcze wybór Basenu z goršca duchowš  
kšpielš, czego nie można powiedzieć o Profesorze, który bezapelacyjnie  
wykluczył mieszczański ducha z  
rewolucyjnej drogi i z niecierpliwœciš oczekiwał na wydarzenie,  
które będzie miało swój  
poczštek w naturze i dla natury. Jak na razie wydarzenie spało w  
tajemnym o nie omotane ironicznš  
nitkš historii.  
Profesor spoglšdał w głšb pól przyległych do zabudowań Wsi z  
trudno wyrażalnš radoœciš,  
która balansowała na krawędzi jego rzeczowego optymizmu jak  
równomierna amplituda  
drgań zdrowego serca. Słoneczny wrzeœniowy dzień w  
zniewalajšcy sposób wróżył

klasycznš  
pogodę na czas nieograniczony i Profesor z przyjemnoœciš  
myœlał o willi przy ulicy Sępa, w  
której pozostawił nie doczytane (który to juŹ raz!) dzieło  
Znanickiego. Był  
zadowolony w  
dwójnasób. I z udanego pogrzebu, który wycisnšł z mieszkańców  
Wsi szczery zachwyt, i z  
ostatecznego rozwišzania tych wszystkich spraw, które stały  
kołkiem miêdzy nim a ojcem.  
Delektował siê chwilę materialnš czšstkš słowa „kołek” , jego  
silnym znaczeniem słuŹszym  
zjednoczeniu mniej œwieconych braci, którzy rozbieganš czeredš  
szukajš swej Ultima Thule,  
zasadniczš sprawš jakš był dla niego absolutny duch dziejów, oraz  
szerokim, nieziszczonym  
kołem wiecznoœci. Wewnętrzny spokój kołysał jego sylwetkš jak  
morze œwiatłœci zagubionym  
okrętem rozumu. Cieñ zrujnowanej chałupy objšł go delikatnie i  
mšdrze i poczuł  
siê  
naprawdę szczęœliwy. Był przecieŹ w domu.

### III

Ziarnista sieć łagodnoœci rozpięta nad moŹliwym spełnieniem,  
dalekozmyœlny ucemiech,  
który zastygł w poŹgu jej skamieniałej twarzy, rozległa  
przyległœœć milczenia miłœci, jej  
objawiona łaska, jej uniesiona ręka w strunie bezœwietlistego  
œwiatła, dajšca siê policzyć bezsłownoœć  
jej słów, zapach tych słów, mišsz tych słów obejmujšcych eony  
nieskończonoœci i œlepych na jego bezutopijne oczy, na tę  
wymordowanš z najgłębszego wšwozu duszy powœcišgliwoœć  
serca, badanie nieba, rozpacz nieba przebitego dzidš snu  
surrealisty, jej powtarzajšca



się gotowość wejścia w ten sen, który był, który jest, który  
będzie, Adonai i miecz,  
wieczna przemienność zmienności i ruchu w stronę niezakrytego  
wzroku, możliwe spełnienie  
siebie w prauścisku cierpienia, nie w gśszczu rozbawionych ulic,  
nie na krawędzi zasypanej  
przepaści, nie w uskrzydłonym biegu w cień drzew, ale w  
zrujnowanym obrzeżu tej chałupy,  
tego prześwietnego w łaskę domu, policzonego jak każdy ukryty  
sens, jak każda zadawniona  
rana, z której œluzowaty strumień zgnilizny wpada do Ÿródła,  
brzeg tego Ÿródła oczyszczony  
ze wstydu błyskawicš maczety, czas jego dokonania burzy  
bezbrzeżnych myœli, bioršcych i  
dajšcych, waźnych i niewaźnych, lepkich jak złoto mowy i brud  
milczenia, ponadskończona  
głębia tego czasu, w którym zanurzam swój udaremniiony zachwyty,  
jeden z wielu, jeden z  
ilości nie rozliczonej, pomazany oliwš jedności, zachwyty  
skopany przez swójš ofiarę, przez  
swojš waźnš niecodziennosc, przez prześwietność tego domu,  
który jest mój i nie mój, każdej  
uczłowieczonej istoty, zrujnowana czelność jego urody, ta  
bezzwiedła œwieżość szorowanych  
kurzem podłóg, na którym wybijał rytm niezliczony marsz bosych  
stóp, swoich i obcych, polskich  
i niemieckich, uwięzionych w cięzkich butach i całkowicie  
przewiewnych trepach, marsz ku swemu okreœlonemu działaniu, ku  
własnej nicości, wieczny i niezmienny, zmienny i  
chwilowy, czasem omal niesłyszalny, roztopiony we własnej  
niesłyszalności, zmierzajšcy do  
poznania oczywistego rytmu, który był, który jest, który będzie,  
wibrujšcy zasłowem jak  
prze– stworzona etiuda, osiŸgalna w jednym zamilknięciu, w  
jednym bezradocie wielkim

zamilknięciu każdego słowa, wymodlonej przez pokolenia  
praciszy, rozprzestrzenionego na  
ocean ciemności widocznego żalu, otulonego siepackš dłoniš  
zbrodnicoœci, niepowrotnego i  
niepowołanego, oczyszczonego z dalekomyœlnych uœmiechów  
żywych kamieni, z bezcielesnej  
martwicy, z czegoœ tajemnego i jednocześnie nienawistnego,  
które powinno zaistnieć,  
które istnieje w nadœwiadomym bezruchu tych ludzi, odbitych w  
jego bezutopijnych oczach  
jak Słupy Herkulesa, zapomniany występ œmierci, jeszcze tak  
niedawno, jeszcze jej przeœlizgły  
bezwietrzny wiatr w nozdrzach wydechajšcych parę smutku,  
jeszcze to zafałszowane w  
ucieczkę zdumienie, z którego nie mogš otrzšsnšć się psim  
wstrzšsem, jak to boli, jak to nierozważnie  
uważnie boli, że szczęki zwierajš się jak zawiasy, nie, nie, nigdy  
nie zobaczy w nich swojej złudnej dobroci, zawiany œlad uwolnionych  
niewolników, zasypane dno bezpieczeństwa  
panów, upojony wielkoœciš œwiat i On przeciw jego mszczšcej  
sile. Tak, Juliuszu.  
Nie,  
Juliuszu. Och, ten œmiech, to rozkoszne odpręzenie przed  
wejœciem w bagno zgnilizny, mój  
spokojny, cierpliwy gest, moje życie odległe w teraŹniejszoœci, w  
zachodni wiatr, który silnym  
podmuchem wyrywa mi z pamięci częœć Jego diamentowej  
twarzy, idę po tych zawianych  
œladach, błšdzę po tych bezlicznych œladach, szukam zasadnoœci  
naszego wnętrza na  
ziemi i w ziemi, w niebie i w piekle, w perle œmiechu, który  
zanika w zwycięstwie klęski.  
– Dobrze – powiedział Ryszard. – No dobrze.  
– Co? – mówi ona. – Nie rozumiem.  
– Źe przyjechał – uzupełnia z tym niszczycielskim blaskiem w

niebieskich œlepiach. – Źe

zjawił się w tym przeklętym domu, który mnie nie obchodzi i męczy.

– Cicho – mówi ona. – Proszę cię, bŹdŹ cicho.

– AleŹ mamó. PrzecieŹ ja nie krzyczę.

– Tak – powiedział Juliusz. – On nie krzyczy. Taka szmata moŹe tylko rozdzierać głóś na œwińskie kawałki.

Trzyma przy nim swoje galaretowate pięcici. Chłópcy, mówi ona. Och, chłópcy.

Nierozważni

i nieustępliwi jak wszystko, co jest skazane na ból. Siedzi w olœniewajŹszej czerni przy

poharatanym stole, który móglby być księŹŹ œwiata, niezakrytŹ księŹŹ spokojnych ludzi, zjawiskiem

poœredniej bezpoœrednioœci tego samego zejœcia, które nie tylko Źe nie uwiera, ale

jest czystym wspaniałym haustem zdrowego powietrza. O, tak. Bezapelacyjnie tak.

Ale poniewaŹ

siedziała w tej olœniewajŹszej czerni albo raczej tkwiła między stołem a synami i tŹ

niemiłosiernie chudŹ dziewczynŹ, którŹ Ryszard poœlubił po ukończeniu trzydziestki, czyli

mniej więciej dwa lata temu w końcu paŹdziernika, który był wyjŹtkowo brytyjski w ustawicznym

dŹŹeniu do pokrycia tego skrawka odzyskanego lŹdu mgłŹ i deszczem, i œlub dlatego

przypominał zamokły wypad turystów, którzy kochajŹ nie siebie, ale własne odbicie w

połyskliwej tafli kałuz, dlatego ona, ich matka i jednocześnie Źona geniusza i brata bogów

musiała wydzielić z tej miłosnej szkatuły odrobinę niebiańskieŹ muzyki i dla niej, swojej powołanej

do milczenia synowej. Był to zresztŹ jej drogocenny przywilej, Źe

tym swoim niewidzącym

wzrokiem obojętnie przebiegała po ludzkich postaciach, cała  
zatopiona w swej chemicznej

ekstazie, w swej materialnej i w jakimś sposób interesującej pracy  
w laboratorium fabryki

włókien sztucznych, o której bezgłocenie mówiły jej wąskie żabie  
wargi, że jest dobra i

szlachetna. Oczywiście ona widziała już inaczej, trochę z boku od  
ubitego traktu tych współczesnych

dziewcząt, którym wydaje się, że mają na kiwnięcie palca  
szczęście i pieniądze, trochę bliżej nie kończących się mokradła  
gorzskującego umysłu i jeszcze bliżej tragicznej

maski arlekina. Bo nie ulegało wątpliwości, że tym chudym lub  
bujnym pannicom, które mogła

obserwować na ulicy, w salonie fryzjerskim, w różnorodnych  
filmach lub sztukach, które

wyobrażała sobie w ramionach własnych synów jak spustoszony  
przez ogień pas niegdysiejszej

ziemi, brakowało kobiecej zachłanności wszystkiego, co nie było  
wyważoną oczywistością.

Albo czymś jeszcze gorszym, czego nie potrafiła nawet nazwać.  
Gdyż Teresa Zenobia

Widok, pierwsza i ostatnia żona Profesora, męskiego, wybujałego  
człowieka o omalże rzymskim

profilu, który całkowicie wyzwoliłby go z pewnych rzeczy, gdyby  
nie drobny feler tak

zwanej historycznej ironii, która go usidliła przez sam fakt  
narodzenia pod hulajścą samopas

wiechcą swoją niewybaczalną przewrotność, otóż Teresa Zenobia  
Widok właśnie tę przewrotność

nie tylko ceniła, ale wręcz uwielbiała jej lekkoność  
sprawiedliwość. Ta pewna wiara

w katharsis przewrotności nie nastąpiła tak nagle jak zły omen  
przeznaczenia w nie przeznaczonych

dla nikogo książkach, które w pewnym czasie pochłaniała z

zabójczš odwagš, ale w spokojnym cięciu na sztuki zasłony losu, w zaskoczonej intuicjš prawdzie, że moralnoœć

fatum leży w przysłowiowej głupocie kobiet. Oczywiście przysłowiowa głupota kobiet jest retorycznym pewnikiem i Teresa Zenobia Widok zgadzała się z tym najzupełniej.

Może nie tak się zgadzała, jak oddawała temu nieugiętemu zdaniu lekkoœni sprawiedliwoœć.

Jej siedemnaœcie lat bez słońca i nadziei, gdy razem z fałš niewolników Tysiœcletniej Rzeszy

została wyrzucona na brzeg rampy miasteczka Begraben i w karnym szeregu sprowadzona

do œwietlistych od mrozu baraków, w których tłoczyła się różnojezyczna masa, gdy za niš

została krwawa pożoga rodzinnej wsi, zatrzymany w pamięci jęk mordowanej rodziny, ponieważ

ona miała tyle szczęœcia, że tej nocy przebywała poza jej terytorium, i dopiero ocalała

z pogromu wieœć zwała jš z nóg, tak że ta grudniowa noc 1941 roku trzymała jš w swych

szponach przez kilka dni i obcy zupełnie ludzie spoglšdali na niš z bolesniš ztratš własnej

œmierci, jakakolwiek by ona była, aby tylko nie w płomieniach i nie na oczach swego potomstwa.

I ten przymusowy wyjazd w głšb Reichu został przyjęty z rykiem zadowolenia i przypieczętowany

kopniakami, które nie były ani na jotę gorsze od tych, jakimi częstuje pijany oblubieniec oblubienicę, tym bardziej że w grudniu 1941 roku żaden oblubieniec nie miał

czasu na bawienie się drobiazgami i ona, rzecz jasna, doœwiadczyła tego na własnym brzuchu

w sposób jak najbardziej gwałtowny. To kiedy zapakowano ich do tych bydlęcych wagonów,

które w grudniu 1941 roku były o wiele bezpieczniejsze niż własny

dom, ponieważ własny  
dom był skazany na zagładę, więc jak ich już zapakowano i  
transport ruszył, groza tych głosów  
została nagle przerwana i na beznamiętnych twarzach osiadł jakiegoś  
cudowny pył  
błogosławieństwa. Pył ten jeszcze przez parę tygodni utrzymywał  
się w lagrach Begraben, póki nie  
starły go żelazna rękawica głodu i dwunastogodzinny czas  
niszczenia w fabryce kartofli.  
Zniszczona. Nie było sensu wierzyć w jakkolwiek wiosnę,  
jakkolwiek wiosna mogła  
przyjść w środku zimy, nawet było to o wiele  
prawdopodobniejsze, że pojawi się w kolejce po  
kartkowy chleb jak rechantanie nażartego dzika, że nawet tłuste  
Niemry zaskoczy obrzydliwś,  
bezowietlnś radości i stanie się ciepło, i będzie można zrzucić  
ciemierzśce łachy, wyciśgnść  
sflaczałe ciało w głśb tej bezowietlnej rozkoszy, czekać na dotyk  
ze sprężonym w sobie  
dreszczem, którego nie zadusi żaden but ani najboleśniejczy bicz,  
że nie tylko zrówna tęsknotę  
róžnojęzycznej masy, ale jeszcze zawezwie jś do szaleńczego  
plemiennego tańca.  
Gdyż  
Polacy i Rosjanie, Francuzi i Serbowie, Belgowie i Czesi, i kogo  
jeszcze ta ponura ziemia  
wydała na pastwę zabójczego czasu wierzyli w tę biblijnś  
prajednię, w której wszyscy sś  
braćmi. Każdy życzył sobie takiej prajedni przed zaocněníem i  
zanosił modły do Dobrego Pasterza,  
który i tak miał swoje zamiary. Ona nigdy nie przypuszczała, że  
były to zamiary całkowicie  
sprzeczne nawet niewolniczym wyobrażeniem jakiegokolwiek  
wiosny. Dlatego jej słowiański smutek uczynił z niej dziewczynę tak  
cichś i pokornś, tak zasłuchanś w tamten

nieumilkły jęk mordowanych rodziców, braci i sióstr, tak  
bezwiednie dzikš w swojej nieprzystępnoœci,  
že człowiek, który by wyrwał jš z tego zaklętego kręgu, mógłby  
uchodzić za cudotwórcę.

I kiedy wreszcie znalazł się ów œmiałek, bezwzględnie taki, jaki  
być powinien, bezwzględnie posłuszny tej chwili, w której wypadły z jej  
skostniałych ršk potężne grale i on

zaczšł ze zdwojonš szybkoœciš przewalać pryzmy ziemniaków,  
aby uchronić jš przed biciem

dozorcy, przed miłosiernš izolacjš szpitala, z którego można było  
wyjœć tylko nogami do

przodu, wtedy jej przecišzona słowiańskim smutkiem cisza  
zwinęła się jak spirala przeznaczenia

i instynkt wybranki bezgłœœnie powiedział: Tak. To jest dobroć.  
O, tak. Ale nie chciała

jej, wręcz przeciwnie, zaczęła mu wyrywać grale, które uniósł na  
wysokoœć ramion i twardo

powiedział.

– No zostaw. Porobię, żeby kulawy Hanz miał spokój. To zostaw.

– Nie, nie – rzekła cała w goršczce i dreszczach. – Oddaj, ja  
sama, sama.

– OdejdŸ kobieto – powtórzył. – OdejdŸ, słyszysz?

Zacemiała się nieopanowanym, chorym œmiechem, bo napięta  
twarz chłopca wydała się jakby wygarbowana z dowcipnego snu, z  
całego milczenia równo pracujšcych ludzi, że mogła

zrobić tylko tyle, co tak twardo powiedział, nie mniej ani więcej,  
ponieważ było to rozsšdne,

rozpaczliwie rozsšdne, oddane w pacht niezwyklej dobroci, której  
nie mogła sponiewierać

žadna krwiożercza siła, żaden realny cel różnojęzycznej masy,  
która w lutym 1942

roku nie

mogła mieć żadnego innego celu, prócz przeżycia własnego  
niszczenia, tylko to mogła zrobić

klęczšc przy nim i zsuwajšc pod miarowy ruch grali kartoflanš

zmarzlinę, słyszeć jego zmęczony

oddech, kochać go jeszcze nie kochajśc, żyć w nim nie żyjśc w  
sobie, wierzyć będśc

całkowicie ponad jakkolwiek wiarš, odejœć wreszcie na wieki od  
tamtego jęku, rzucić się w

morze tego czekania, którym falował każdy barak, każda żyjšca  
teraŸniejszš przyszłooeciš

istota, każdy stęzony w oczach zew zemsty, zobaczyć wreszcie  
niebo i gwiazdy, złšczyć z

nimi jak doskonały bezmiar, który jest, który był, który będzie,  
dotknšć rozpalonš piersiš

wiecznoœci i żyć w niej bez brzemienia swej œmierci, bez dumy  
okrutnego losu, wierzyć w

góry, lasy i wyzwolenie, zaufać temu zmęczonemu oddechowi na  
ostatni błysk œwiatła, przytrzymać

go w czerwonych, beczuciowych łapach, aby krzyk przestał być  
krzykiem, aby gniew przestał być gniewem, aby nicoœć przestała być  
nicoœciš, aby ostatni błysk œwiatła nie

był ostatnim ani pierwszym, aby trwał zawsze i wcišz  
niezmiennym płomieniem, to nie jest

marzenie, och nigdy jej dzień nie był marzeniem, nigdy jej noc nie  
była realnoœciš, zapatrzona

w chrapliwy pokot ciał nie widziała ciemnoœci, nie słyszała  
odległego pukania policyjnej nocy,

nawet tu, w Begraben, jaskini lwa nie mogła sobie pozwolić na  
sen, słyszała swój niesłyszalny

płacz, swój nie dajšcy się uœpić ból, rozwinięte w bezmiar  
cierpienie umierało w realnej

jasnoœci i tylko niewypowiedziana cisza, tylko wypełniona  
słowiańskim smutkiem pieœń

pokory mogła poruszyć tę kartoflanš zmarzlinę, przewyciężyć  
goršczkujšcš nienawioœć, umęczony oddech tego chłopca, który był  
niemal starczym rżeniem, zniknšć w jego nierzeczywistej

odwadze, stopić się w woli życia i być dokonaniem. Tak. To jest  
dobroć. O, tak.



Zniszczona. Kiedy w dwa miesiące później przyprowadził ją do  
baraku i powiedział  
do

majaczących w mroku postaci – To jest ona. Słyszycie? –  
wiedziała, że nazywa się Marian

Widok i nigdy już jej nie opuści. Wiedziała już to nie poprzez  
instynkt wybranki, ale poprzez

tajemny dotyk jego skóry, poprzez spierzchniętą powagę jego  
warg, którymi zdejmował z jej

twarży ceglane plamy gorączki, poprzez wychynięte z najgłębszej  
wiary znaczenie nie wypowiedzianych

słów, które nie mogły być wypowiedziane w żadnym miesiącu  
1942 roku, nie mogły i nie chciały łączyć wyobrażeń dwojga  
zawszonych kochanków, te znane słowa przekraczające

własną urodę, to ujarzmione w piersi technienie szczęścia, które  
nie mogło być objawione.

I kiedy światło powoli wydierało z mroku nieruchome postacie,  
jej ujarzmione szczęście zaczęło się topić jak garść cienia, uciekać w  
nagłym bólu widzenia wyszarzałych

od męki twarzy, na których wykwitł upiorny uśmiech, chytry  
uśmiech prostolinijnych w

podłogi ludzi, wyroczonych nad własny podziw nawet tu, w  
Begraben, wypełnionych swoją

zapekłą dumą, która wilczo żarzyła się w wychudłych oczodołach,  
by jeszcze bardziej stłamsić

jej pokorę, udaremnić jakikolwiek człowieczy gest, przekłść z  
chwili wejścia w krąg ich

światła i oddalić, wykreślić, zapomnieć. Och, to było straszne tak  
na nich patrzeć, czekać na

słowo powitania żyłastoliniałego ojca, mierzyć się z bezdenną  
obojętnością jego braci, uśmiechać

wybiegając ramiona do spalonej gniewem kobiety, która rodziła  
ich w przekleństwach,

kochała ich przekleństwem, zaciskała pętlę wokół własnej szyi w  
plugawym grymasie, to

było nie do zniesienia tak czekać w niekończącym się milczeniu i gwałtownym skrętem ciała

cofnęła się do wyjścia, ale Marian Widok był szybszy i w żelaznym uchwycie zaprowadził ją

na wyznaczone przez siebie miejsce, i powtórzył głuchym, wściekłym od bezdusznoci głosem.

– To jest ona. Słyszycie? Słyszycie?

– Nie – powiedział żylastoliniały ojciec. – To nie jest ona.

– To ona – rzekł z rozpaczliwą zgodą na siebie, na jej skute w oczach przerażenie. – To

tylko ona. Tato!

– Uciszyć się, synu. Uciszyć. Trzeba zmówić pacierz. Nadeszła godzina. To ucisz się i klękaj.

Dobry Pasterz widzi i rozumie, i może przyzwoli, aby to była ona. Może przyzwoli.

Widziała, jak klękał i głos jego rozplątywał się w jednogłośnie wzywaniu, w jednogłośnie

zarywie ukojonej boleści, w którą wbiła się jej silna, coraz silniejsza myśl.

Oddalić, wykreślić,

zapomnieć. Zapomnieć, wykreślić, oddalić. I myśl ta jak słowiański smutek zaczęła wypełniać

ją całą, rozmywać nieokreślone mglistości klęczące sylwetki, przechodzić w bezczas

istnienia, żłobić w bezforemnej ucieczce koleiny wolnego życia, walczyć o to realne światło

bezniewnych słów, na które była skazana, wzniosłych i przyziemnych, zamaskowanych i

nagich, okrutnych i szlachetnych, współtworzących każdą jednostkowość, każdy dotykalny

pień ludzkości, ujmujących w swój niewymierzalny wymiar przetworzone człowieczeństwo,

przetworzone boskości nędznego narodzenia, dziękczynny wygłos modlitwy, dudniące wieczności

tych słów odnawianych przez najbardziej ponure wargi, zaległe

rozległość dalekich pól,  
ich bezcienistš przejrystość, w której zatopiła kraj lat  
dziewiczych, nie poznajšcš juŹ samej  
siebie w Źadnym zbliŹonym zŹudzeniu, w Źadnej wyobraŹonej  
zieleni, samotność i noc, ból i  
ucieczka, och, gdyby mogła jeszcze tam powrócić, dotknšć  
zmarszczonym czołem progę rodzinnego  
domu, bieć zielonym morzem pędziej niŹ galopujšcy tabun  
gniadych koni, zawisnšć w przestrzeni na kształt jastrzębiego lotskoku,  
wyćcisnąć cień pierwszego pocałunku, ach,  
gdyby mogła to wszystko oddalić, wykreślić, zapomnieć, umknšć  
tej zapoznanej sile milczenia,  
na którš została skazana w niezliczonym przebiegu nierozważnych  
słów, traktujšcych  
intymny bezruch, zabijajšcy miłosny poryw, wydajšcy jad  
wściekłości, gdyby mogła ostatecznie  
zaniknšć w swej wychudzonej cielesności, BoŹe wiekuisty, zlituj  
się nad nami.

Ach,

gdyby mogła!

Była wybrana i znaczyło to więcej niŹ policyjne psy Begraben, niŹ  
oboŹetność jego rodziny,  
niŹ dobrotliwy bicz kulawego dozorca, który zaskakiwał ich  
trzymajšcych się lekko za  
ręce i który mniej więcej po dwóch dniach tego publicznego  
afiszowania się przeniósł Mariana

Widoka do maszynowni, do tego podpiwniczzonego piekła, w  
którego przeraŹliwym łoskocie

łamano niepokornych. Mogła go więc teraz widywać póŹnym  
wieczorem, gdy lagerfirerka

Meibritz niosła swe tłuŹte ciało do stołu sytości i dziewczęta  
mogły na dwie godziny sobie

poluzować, to była nieomal juŹ wolność, poniewaŹ dwie godziny,  
to jak sześć dni stworzenia

dla stworzeń będszych tylko bezforemnš masš, przychodził

związczały, ledwie trzymajśc się  
na nogach i brał jš w jakioœ ciemny kšt, w którym do upadłego  
można było wšłuchiwać się w  
powolne bicie serca. Pozwalała mu brać w zasmarowane ręce  
zatrzymane w rozkwicie piersi,  
pieœcić to kojšce poczęcie, na które rzucał się z psiš żarliwoœciš,  
zadawać sobie i jej ból ani  
na jotę nie rozkoszny, bo i dlaczego miałaby być ta wyrwana z  
beżżycia miłoeć rozkoszš,  
dlaczego miałby nie wierzyć pejczowi lagerfirerki Meibritz, który  
mógł jš w kaźdej chwili  
pchnšć w bramy koncentracyjnego obozu lub po prostu zakatować,  
co nawet było pewniejsze  
w bliskoœci jego nadkrólewskiego panowania. Kochała go więc  
jeszcze nie kochajśc, wierzšc  
bez jakiejkolwiek wiary w ponadczudowny wysiłek jego ramion,  
które nigdy jej nie opuszczš,  
uczyła się krótkiego gardłowego jęku, kiedy wchodził w to kojšce  
poczęcie pod otwartš na  
ciemnoœć œcianš i zespałał się z jej złożonymi na krzyż dłońmi,  
które wynosiły ich nad to  
ziemskie bagno jak zaprzeszły czas wykreœlony z młodoœci  
firmament. Naprawdę można było  
kochać jeszcze nie kochajśc i on to zdaje się rozumiał na tyle, aby  
żyć. Zdaje się, że nawet  
rozumiał więcej, choć nie powiedział na ten temat nic  
konkretnego, poniewaź niepotrzebne  
gadanie mogło być wręcz ubliżajšce dla tych zdradziecko  
wyrwanych godzin, w których postanowił  
uczynić dla niej ofiarę z własnej rozpaczy i z własnej bezsilnej  
œwiadomoœci, która  
na krok nie mogła wybiec na drogę przyszłoeœci. W tej sytuacji  
przyjęła na siebie rolę wróźšcej  
przemiennoœci miejsca i czasu, z którego wyruszš na spotkanie  
wycenionego punktu nieba

na ziemi, punktu znanego jej z opowieści odległych żebraków  
dziewiczego kraju, będącego i  
boskim urojeniem, i niezatarciem ludzkim znaczeniem, dostępnym  
jak najbardziej dotykowi  
łaknących ciepła ręki, które będą wtedy białe od męski wielkiej  
prawdy, od przedwstępnego  
przymierza z obliczem zwyciężonego losu, od niezakrytej  
otwartości szlachetnych gestów i  
od wielu innych spraw wróżących znośne zapomnienie. Mniej  
więcej w połowie kwietnia  
wiosna zaczęła się na dobre nawet w Begraben, tej jaskini lwa,  
który sennie spoglądał w wody  
Izary i na wychudłych ludzi przemykających się do światła ponad  
jego złowróżbnym cieniem.  
Dzień był na tyle długi, że można było się wycisnąć w soczystej  
trawie i normalnie  
pospać w gasnącym słońcu. Oczywiście oni sobie na to nie mogli  
pozwolić, ich wygłodzone  
ramiona karmiła celina pocałunków, trawa miłości przypominała  
upragnioną matnię, z której  
nie ma i nie powinno być wyjścia, musieli się spieszyć, ponieważ  
ich czas był  
czasem śmierci  
i dążąc do życia zostawiali jej koszyki ułamek na mglistym  
brzegu letejskich wód. Prawdopodobnie  
nie mówili już o tym wyznaczonym punkcie nieba na ziemi, nie było  
to aż tak ważne w okresie miarodajnej nadziei, że zostanie im darowany  
i udrapowany niezwykły chwalebny,  
niewstydliwie to się dało jako wypowiedzieć, ale nie widzieli  
potrzeby cięgieł powrotu do  
tego, ostatecznie on miał dwadzieścia trzy lata i trzymał się  
dzielnie nawet w tym podpiwniczonym  
piekle, w tym przeraźliwym łoskocie, który łamał niepokornych.  
Być może ona przywykła do pokrytego smarami ciała, chyba tak, chyba  
jako pogodziła się z tym, że na

dwanaście godzin znikał z powierzchni ziemi, czasem chwycił jś  
określony, głupi strach, który  
ocinał jś z nóg i całkowicie traciła rozeznanie miejsca i czasu, bo  
to było jak obłądny taniec  
szaleńców, to ich nienasycone trwanie, to ich bezbłędne wyczucie  
własnych potrzeb, sobie  
tylko wiadomych chwil, które odgradzały ich od różnorodnej  
masy, od anonimowości  
końca, jakikolwiek by on był, aby nie w bezkształtnej zataczeni  
własnej godności, aby nie pod  
ciosem lagerfirerki Meibritz. Nie chodź tam, mówiła w matni  
soczystej trawy.  
Boję się. Poproś  
kulawego Hanza, żeby dał cię na dwór. Może zechce. Poproś  
tylko. Uderzył jś wtedy  
niemocno, ale poczuła, jak ciemność gwałtownie przenika jej  
głowę, i przypomniała sobie  
nagle, że nazywa się Marian Widok i nigdy już jej nie opuści.  
Lecz to było kłamstwo, normalny  
pogwizd Dobrego Pasterza, u którego chciała wymodlić  
przychyłość dla swej zawszonej  
miłości, nie tego się spodziewała po tym przeogromnym morzu  
dobroci, nie tego krzyku, który usłyszała w dwa tygodnie później z tego  
podpiwniczzonego piekła i który wytrścił  
jej z ręk gwałtu, cały niedorzeczny poblask ciepła, całś niedorzeczność  
podróż do punktu nieba  
na ziemi, która wyrzuciła wreszcie na powierzchnię szerniałe od  
ukropu ciało.  
Wszystko  
to było kłamstwo, ponieważ opuścił jś ostatecznie i na wieki.  
Zniszczona. Teraz ten trudny do zrozumienia stan odrętwienia  
znikł i spazmatyczny  
ciemiech, który ogarnia jś jak płaszcz Klitajmestry ciasno, realnie,  
niemal lubieżnie, który zaczął  
denerwować nawet kulawego Hanza, nie mówić o

współtowarzyszach niedoli, spowodował  
to, o czym wiedziała, że musi nastąpić. Ale to już nie było ważne,  
to właściwie od samego  
początku było nieważne, gdyż udręczona żywotność nie uznaje  
narzuconego przez konieczny  
przypadek utożsamienia z cierpieniem, nie uznaje żadnej namiastki  
nie sprowadzonego  
do przeznaczenia życia, nie uznaje i wielu innych spraw, o których  
nie mogła przecież  
nawet myśleć, bo nie po to została wybrana, aby myśleć nad  
swoim osobistym doświadczeniem  
jako sensie fatalistycznej pełni. Nie, w żadnym wypadku nie po to.  
I gdy stary Widok  
stał wreszcie przed nią (bo spodziewała się go od godziny tego  
straszliwego krzyku, od  
rozbagnionej wiosennej ulewnej ziemi, w której został wrzucony jego  
pierworodny, jego pierwsza  
i ostatnia zamknięta radość, jego wielkie, półsenne  
przypomnienie i zapomnienie, owa  
ojcowska całkowitość złożona w jedynym podobieństwie,  
dobrotliwa dziękczynność kielicha  
wspólnej krwi, bezrozkwitły kwiat żalu, który rozdziela i łączy,  
jego po prostu syn) ze zdruzgotaną  
bezwinną w siwych oczach, wiedziała, że nic nie będzie  
usprawiedliwione. Mogła sobie  
darować ten spazmatyczny śmiech, ten nierozważny bełkotliwy  
rozstrój umysłu, zasadniczą  
prawdę, że jest winna tej śmierci i pozostanie dla nich, Widoków,  
dozgonnym nosidłem  
nieszczęścia. Ale jeszcze czekała na ten gest, który wyłuszczy ją z  
ich kręgu, z ich uformowanej  
na bezkliwość ciszy, z tego rozległego pola niedocieczonej łaski,  
która będzie musiała znienawidzić  
i przyjść jako szydercze wybaczenie, jako usankcjonowane prawo  
bezwdzięczności, kolejne następstwo tego upodłego czasu, który

daremnie próbowała zrozumieć, ponieważ  
czasu nie można zrozumieć, jest się w nim albo nie jest, ginie się  
albo zwycięża, tak, tak, bezsprzeczne  
i pewne tak rozdygotanego od spazmu ciała. I gdy usłyszała, że  
będzie żonś młodszego  
i ten będzie jś brzuchacił do złamanej koœci i urodzi to, co stanie  
się zaprzeczeniem  
upodłonego czasu, ponieważ on, ich ojciec i życiodajca od  
prapowstania do prakońca dopilnuje  
już tego, aby na pewno było to zaprzeczeniem, zrozumiała nagle,  
bezwzględnie, że udęczone  
żywotnoœć będzie dla niej wybawieniem. Lecz jeszcze miała  
nadzieję, że ten gest nastšpi,  
jeszcze mogła mieć prawo do takiej nadziei. Jeszcze ta oczodenna  
rozpacz nie była  
konkretnym wskazaniem winowajcy, siłš kształtującš cel, który od  
momentu tamtej œmierci  
nie był już tylko przeżyciem, nie był nawet mœciwoœciš,  
ponieważ ten żyłasty chłop nie wyrażał  
sobš żadnej prawdy i żadnego przeznaczenia, czuwał jedynie nad  
biegiem wypadków, których koniecznoœci nie mogła ani pojšć, ani ich  
sobie podporzšdkować.  
Ostatecznie była  
sierotš i nikt w jej sprawie nie kiwnšłby palcem, nie mówišc już  
nawet o wyraŸnej nienawiœci  
lagerfirerki Meibritz, która w swym zbrodniczym umyœle widziała  
jš jako potencjalnš ofiarę  
œwiętego porzšdku, niemieckiego porzšdku, niepłynnego i  
masywnego, porzšdku uporzšdkowanego  
już przez niezłomnego Almartyka na chwałę swych rozjuszonych  
współplemieńców, och, cóż mogła wiedzieć o płowej bestii, o mieczu  
Zygryda i włosach Brunhildy, co mogli  
wiedzieć ci ludzie przypędzeni z niezmiernych przestrzeni w  
bagno zgnilizny, zapomniani  
przez własna pamięć, oddaleni przez własnš mowę, rozbrojeni z.



przyodziewku swej skóry,  
zdani na mechanicznš modlitwę, na mechaniczny cios dnia, na  
drobiny skaleczonych spojrzeń,  
w których błyskawica wolnego snu rozjaœniała mrok baraku, ci  
ludzie prawie niesłyszalni  
w pomruku grozy, prawie niewidoczni w jej ogromnym cieniu,  
bêdšcy całoœciš w swym rozbiciu, żywotnoœciš w swej nicoœci,  
koronš wiecznego bezkrólestwa, z którego ich  
zapiękły ból wyrugował piekło i niebo, œwiat i wszechœwiat,  
zostawiajšc jedynie doczesnš  
skrzynię popiołów, doczesnš garœć ziemi œœwietlonš błyskiem  
szczęœliwoœci wspólnego oddychania,  
wspólnego wymodlenia dziêkczynnej wytrwaœoci, wszyscy jak  
jeden ukołysani nadziejš, i Polacy, i Rosjanie, i Francuzi, i Serbowie, i  
Belgowie, i Czesi, i kogo jeszcze ta  
ponura ziemia wydała na pastwę zabójczego czasu, ukołysani  
tęsknotš ku zespoleniu z płomiennš jednoczesnoœciš winy i kary, ciosu i  
miecza, piękni w tym pragnieniu jak každy niewolnik,  
jak každy imienny zbawca swoich nieszczęœć, widziała przecieŹ,  
czuła przecieŹ bezpoœrednioœć  
tego ogromu rozŹalu łez, rozŹalu krwi przeciw tym, których  
mienili braćmi, którym  
zdejmowali z nóg proch na chimerycznym nieboskłonie swoich  
marzeń, obojętni w swej  
dobroci, szlachetni w swej podłœoci ludojady largów Begraben,  
och, widziała, czuła to przecieŹ.  
– Tak – powiedziała. – Dalej nie trzeba.  
– Co? – rzekł on.  
– ChodŹmy. O, BoŹe.  
– Ha – powiedział. – Z polskim ksiêdzem. Dobry Pasterz nie  
przyzwoli żyć w grzechu.  
Nigdy.  
O, mšdri i przebiegły, waŹny i bezwaŹny ojciec swego syna  
wydanego jej postêpujšcej  
brzemiennoœci, jej wychudłemu łonu łšczšcemu rozłšczonych i

osamotnionych, znanych i

nieznanych, których bezbrzeżna cierpliwość była nagrodą  
rozkoszy. O, taki mądry i taki przebiegły.

Ale to już nie miało znaczenia, kiedy padło sprawiedliwe  
chodźmy. O, Boże, chodźmy

wreszcie w beztępią ciszę Widoków. Oczywiście ten gest nie  
nastąpił i pomyślała, że on,

zylastoliniały człowiek i życiodajca tych trzech zamkniętych w  
bezuścieniu chłopców, z

których już jeden dokonał swojej części mimo dokładnych  
dwudziestu trzech lat, którymi

chciał omotać los, przeznaczenie czy fatum i które zdrwiły sobie  
z niego w sposób wcale

niegórnołotny, ponieważ człowiek nie może przekroczyć  
nakreślonej przez siebie linii i on

zesłany w to podpiwniczone piekło przestał automatycznie się  
liczyć w swej własnej walce,

jakkolwiek by to nazwać w poniewczesnym porywie jadu życia, to  
i tak pozostało jeszcze w

zapasie dwóch silnych bezwzględnych następców, z których jeden  
był jej ofiarowany na podbudowanie

znaczenia pierwożytu. Stary Widok po tajemniczej rozmowie z  
kulawym Hanzem znikł na jeden dzień z placu fabryki, żeby po  
zachodzie słońca pojawić się w progu baraku z

posiwiatym mężczyzną, który trzymał w prawicy mały, ozdobiony  
anielskimi okuciami kuferek

i z którego wyciągnął stulę, krzyż i brudną komżę. W uroczystej  
ciszy stary zbliżył się do

zniecieruchomiałych podścian chłopców i wbił te swoje  
zdrzutgotane bezwinne oczy w ich zastygłe,

półotwarte usta. Ona nie patrząc widziała, jak jego wolno  
uniesiona ręka pominęła

rozłożystą pierś silniejszego z wyboru i lekko uderzyła w pustą  
klatkę słabego z konieczności,

z której wydobył się nieartykułowany dźwięk, co na kształt

uderzonego obuchem psa, i natychmiast

zgasł ucięty nożem spokoju. Teraz już szybko, bez ociągania się została dopełniona

reszta i ksiądz metalicznym głosem połączył w nierozzerwalny węzeł to, co i tak było rozwiązane.

Obrączka tej milczącej kobiety, która przez nakaz chwili stała się jej matką, powędrowała

na jej palec, aby w następnym ruchu bezwładnie zawisnąć na ręce jej syna, który w

zdławionym „tak” oddał złoto swego ojca wykonane ćwierć wieku temu przez rosyjskiego

kupca za pożółkły kawałek słoniny. Jeszcze tej samej nocy Jan Widok szerokochwytnymi

drewniakami zbił ją do nieprzytomności, ale tego przeraźliwego krzyku barak nowej rodziny

nie słyszał.

Mniej więcej w osiem miesięcy później, to jest w grudniu 1942 roku, kiedy kamienne oblicze

Barbarossy jaśniało niezłomnym przekonaniem, że Cesarstwo Œwiata zostało już zniszczone,

w lagrach Begraben Teresa Widok po normalnym, dwunastogodzinnym porodzie wydała na Œwiat dziecko, któremu dano na imię Ryszard. Chłopiec wrzeszczał zgodnie ze swym

obowiązkiem i nie ulegało wątpliwości, że wybranka zrozumiała dokładnie intencje już dziada

Widoka, który wpatrywał się dość długo w foremny bezkształt, aby nie mieć złudzeń co do

jego miejsca w rodzinnym układzie. Również jego syn i jej mąż uznał wijszy się w powietrzu

wrzask za siłę charakteru, który musi mieć każde dziecko spłodzone w chwilach walki. Wsz

czasu nie jest wcale groźny, gdy mu się przyjrzeć uważnie, z odrobiną pokory i zrozumienia

dla przemienności istnień ludzkich, z którymi ma do czynienia w swej bezksiężycowej wędrówce

do wodopoju absolutnej duchowości i absolutnej stałości uczuć  
potrzebnych technologii  
narodzin i śmierci, potrzebny szlachectwu rodzaju, które zostało  
utracone poprzez  
zbrodniczość i wszechrozległość krwiożerczych zamysłów  
odbierających mu potęgę ułomności, zanikającego zdania nieugiętej  
tajemnicy, wyrzuconej przed siebie pochodni procesu Nicości,  
która go oczyści z wszelkiego prawdopodobieństwa każdej  
możliwości. Dlatego ona w  
nagłym porywie obrony utraciła resztę szacunku dla tych  
zamkniętych w sobie ludzi, dla tej  
stałości gniewu i głuchych przekleństw obejmujących coraz to  
dalsze połącze wewnętrzności,  
coraz to dalszą beczasowość, w której już nic nie miało być  
usprawiedliwione. W  
dwa lata  
później, kiedy Amerykanie wkroczyli do miasteczka Begraben i  
kulawy Hanz został  
powieszony  
na rzemieniu własnego bicia, i akt wyzwolenia stał się  
trzydniowym faktem, w którym  
każdy mógł się rozliczyć z tą resztą jaskini lwa, jak tylko umiał i  
potrafił, a umiał jedynie za  
pomocą noża, który palił się do czerwoności i dorzyniania, ona  
nie była już nic dłużna swej  
ufajszej brzemienności i sama włożyła mężowi do ręki ów palący  
się nóż.  
Zapatrzona w jego  
widzialny dreszcz, w usłyszalny wreszcie jęk nocy, w zadawnioną  
bezbieżność tego pierwszego  
skowytu, który uczynił z niej kompletnie opuszczoną, kompletnie  
zanikłą istotę cienia,  
udostojnioną przez niezliczone uderzenia bicia dozorczy i pięści  
wspólniekochanego, współwinnego  
jej unicestwieniu, jej skazaniu na tamte odległe słowa już

zniszczone i odrzucone, w

    samym swym poczuciu chore i bezapelacyjne œmiertelne,  
    bezczeszczone karmš strachu, zamilkłe

    na postępujścš ciekawoœc dziecka, coraz głoœnieniejszš, coraz  
    daremniejzš w swym pieszczotliwym wygłosie, w swojej rodzšcej się  
    jaskrawoœci, która osaczała, dzwoniła w bezsłyszalnym

    uchu swójš rwšcš się do zycia potoczystoœciš, swójš sytoœciš  
    odwetu, który poprzez

    pałajścš modlitwę został nareszcie wymodlony, dany jak  
    powietrze, rozplanowany jak

    rozkosz cierpienia. O, tak. Tylko tak tego obłędnego serca, które  
    nie kochało kochajśc, wierzyło

    nie wierzšc, żyło szczštkami tych uczuœ zanzurzonych w bezœwit  
    rwšcych namiętnoœci,

    w bezbrak wolnych myœli, to ziemskie bytowanie w rozkisłym  
    pejzażu Begraben, to dalekorzutne

    rozpaczanie chorych miesięcy, w których spróchniał się jej  
    umiłowany stopieñ œwiadomoœci,

    jej przyległa do pustki miłoœc do cienia anielskoœci, który miał jš  
    przecieŹ otaczać, a

    nie otaczał, który miał jš przecieŹ uchronić, a nie uchronił, który  
    miał jš przecieŹ prowadzić

    w œwiatło wiekuiste, a nie prowadził w zaden kršg œcieniowanej  
    œwietlistoœci.

    Więc tak juŹ

    miało pozostać? Więc nic juŹ nie można było uczynić lepszego nad  
    to kalekie bytowanie? O,

    bezimienna potwornoœci zasypanych przepaœci, o, realna  
    zdradzieckoœc zbolalych nocy, ty

    niekoñczšcy się wieku poniżeń i kłamstwa, ty przekłête wino  
    naszej rodzajnoœci, ty udręczona

    ziemio, której jesteœmy złotym ogniem. O, nigdy.

    Oczyszczajšca doczesnoœc krwawego odwetu skoñczyła się nagle  
    i bezpowrotnie.

    Ludzie

wreszcie nakarmieni, pozbawieni pracy i codziennej walki  
włoczyli się sennym nieużytkim  
krokiem oczekując wydarzenia, które przejmie za nich rolę  
wyznacza losu.  
Rozpoczął się  
handel wszystkim i wszystkim. Stary Widok zaczął pędzić  
bimber i choć Jankesi pod karą  
ciemierci próbowali zapobiec rozprężonemu pijaństwu, w lagrach  
Begraben szalał  
mord i  
uciecha. Załatwiono osobiste porachunki szybko, beznamiętnie.  
Bandy młokosów wymykały  
się do miasta i plądrowały mieszkania. Wartość rzeczy była wręcz  
żadna (z wyjątkiem złota i  
biżuterii), jakby życie człowieka kończyło się z nastaniem  
ciemności, jakby bezduszne oczekiwanie  
wyzwalało przymus jednorazowości, jakby konkret ludzki  
rozsypany w ludycznym upojeniu. Stary bez przerwy dostarczał  
ognistą wodę, miało to w sobie coś ze świętej pasji,  
ponieważ robił to nie dla zysku, ale jakby chciał napoić trucizną  
cały rozległy świat, można  
było zobaczyć w mdłym świetle karbidówki jego zły, szaleńczy  
uciemiech, kiedy przelewał z  
potężnej wanny do oczekujących baniek szatański eliksir, z tej  
samej prawdopodobnie wanny,  
z której został wylany ukrop na głowę jego pierworodnego,  
ponieważ ktoś  
życzliwy, którego  
nie złamała maszynownia, w dwie godziny po wkroczeniu  
Jankesów wskazał staremu człowiekowi,  
który kazał jego synowi dokręcić zawory i który, zdaje się,  
doskonale wiedział, że  
chłopak ten nie rozumie nic ze łeńskich zegarów, w każdym  
razie to zupełnie wystarczyło  
staremu, aby zacząć szukać tego niemieckiego majstra w całym

Begraben i okolicy i przypomnieć

mu w dobrotliwym ciosie, że drwić z ludzi nie należy.

Prawdopodobnie przypomnienie

to zostało dopełnione, ona nie wiedziała na pewno, to był zupełnie inny wymiar, który jej nie

obchodził, nie dotyczył tej głębokości idącej wzwyż ostatecznego zapomnienia. O, wszechrozległy był czar tej wolności, wszechrozległy jej ślepy sztylet zatrzymany w ostatnim

pchnięciu, który dokonał nie dokonanej części wyboru, przycisł mord i wskazał

wschód i zachód.

Było to mniej więcej w połowie lata, kiedy na rampę kolejową Begraben podstawiono

dwa składy wagonów, z których jeden był skierowany w stronę Ameryki i Kanady, a drugi w

stronę Polski i jej odzyskanych równin. Stary Widok kazał spakować naszabrowaną istotę

rzeczy i z ponurą determinacją wprowadził ich na peron, przy którym stał

transport idący na

zachód. Ten cichy, silniejszy z wyboru syn wskoczył do wagonu i wyciągnął rękę po walizki.

Stary stał jak skamieniały, chyba nawet nie słyszał jej nagłego płaczu, który zaginął w rozwrzasku,

ważył w tych siwych oczach jakś całość, zuchwy pracowały równomiernie i beczuciowo,

i pomyślała, że Oni są nie do pokonania i wtedy on powiedział: – Zawracaj!

– Co tatu? – rzekł tamten.

Ale już przechodził na stronę transportu, który szedł do Polski, z jeszcze bardziej ponurą

determinacją, z jeszcze wyraźniejszą całością w siwych oczach, że ludzie pokornie uskakiwali

na bok przed tym żyłastym chłopem o falujących niebezpiecznie ramionach.

– Tatu – krzyczał tamten ostro, wysoko. – Do komuny. I po co? Tatu!

I znów stanął jak uderzony obuchem i ona pomyślała, że jest o wiele przebieglejszy nad cały ten świat, i z rozpaczliwą beznadziejnością chwyciła uchwyt wagonu, ale on tego nie widział i powiedział mocno, bez pamiętliwie.

– Zawracaj!

Uczuła silny, targający ciałem ból, to mężczyzna kopnął ją w brzuch i zmusił do szybkiego kroku w kotłując się przed wagonami ciżbę, na której jasnowłosi Jankesi pluli ze wspaniałomyślnym rechem. Ten cichy, silniejszy z wyboru syn ciągle wyciskał rękę i z bezwzględnością zwycięstwem rozcinał zdmuchnięte przestrzenie.

– Dziecko – powiedział stary.

– Nie!

Ale to było bezsłyszalne i zobaczyła jak ta milcząca kobieta, którą nazywała matką, podała

rozpłakaną maliznę i on zaczął zdecydowanie iść w kierunku transportu, który skierowany był

w stronę Ameryki i Kanady. Krzyczała, lecz jej krzyk był bezsłyszalny, jej wściekłość była

niewidzialna i dopiero jak stanął, mogła dopaść jego piersi i całą żółć gniewu, całą wewnętrzną

zgorzkniałość udręczenia wypluła mu w siwe rozbiegane ślepy. Ta wyrażona całość przez chwilę zupełnie się nie liczyła, ponieważ transport gwałtownie ruszył i ten cichy, silniejszy

z wyboru syn z ręką rozcinając umykając przestrzeń krzyczał ostro, wysoko.

– Tatu. Do komuny. I po co? Tatu!

– Zawracaj – powiedział on cicho, najciszej. – Zawracaj, przeklęty.

I dopiero jak minął ich ostatni wagon transportu skierowanego do Ameryki i Kanady,



transportu huczšcego od marzeń przyszłego rajy i ona oœmieliła  
się spojrzeć w to wyleniãe  
oblicze, w tã, być moŹe, unoszšcš siã nad jej głowš piãœc, która  
przypomni o odwiecznym  
męskim porzšdku, o nieodkrytym dokonaniu i jawnej stracie, w to  
bezrozumne, kotłowisko  
wzgardy, kiedy oœmieliła siã to uczynić, on nadal stał skamieniały  
z dzieckiem w drŹšcych  
łapach i odpoznanš całoœciš w siwych oczach. Tylko poprzez tã  
odpoznanš sprawiedliwoœc  
płynęły grube ziarniste łzy.  
O, szlachetnoœci ludzka, pojawiajšca siã w chwilach  
œródmiogocšcej łaski, œródmiogocšcego  
płomienia serdecznoœci, w którš zanurzamy siã zwycięsko i lotnie  
odnajdujšca, zagubione  
œlady boskiego podobieństwa, boskiej przemiennoœci w gestach  
sobie podległych, tych wykazanych  
po stokroć chwil naszego znojnego chleba, naszej znojnjej  
daremnoœci, naszej chwalebnej  
miłœci ku ojczystym równinom i górom, ku ojczystej głãbi  
cierpienia poznanego owocu,  
poznanej czšstki pradziadów i praojców, synów i wnuków, tego  
chwalebego spoczęcia w  
cierpliwej ziemi na ksztãt wielkiego łuku, który jest, który był,  
który bãdzie, zadaszony przez  
własne powieki, odkryty przez własnš nieodkrytoœc, wielki łuk  
mšdroœci, wielki łuk orlego  
lotu miãdzy słońcem i oraczem, odwilgły i skazany na pastwã  
naszych pragnieñ, wykazanych  
i zakazanych, skończonych i nie skończonych, zapoznany dla  
doczesnej okresowoœci działajšcego  
człowieczeństwa, dalnie zmierzonej poznawczoœci swojego  
wyjœcia, swojego Genesis,  
bãdšcego nadpieœniš, nadwãdrówkš, nadzasadš rozsypujšcego siã  
œwiatła, tej zanikajšcej

zdrożności umysłu, który chce przeniknąć popioły, uwewnętrznić  
zewnątrzność, uświetnić  
przejętność, zadawnić teraźniejszość, iżby móc narzucić  
jutrzenność przyszłości, jutrzenną  
długą wigajskiej pradymy, z której wyszliśmy i do której dążymy,  
jakiż to cel ogromny, jakaż  
rozważna nierozważność móc się z nim stopić, przeniknąć siebie  
dla oznaczonego nieba, o,  
jakiż to bezliczny stopień naszej prawdomówności, naszej  
nieoznaczonej ciekawości bezmiaru  
niepokonanych sił, które nas długą wigaj i łącz, udaremniaj i  
wyrażaj, przybliżaj nam  
doczesną szczęśliwość w jednostkowym porywie, w  
jednostkowej przemienności upojenia  
bezkresem możliwego, tej zasadniczej pracy nad złudną dobrą, iżby  
móc być w jego jądrze, w  
jego wiecznym zdziwieniu, które stanowi podstawę wszelkiej  
określoności, wszelkiej rozległości  
młodego spojrzenia na żywotność i umartwienie, na grzeszność i  
bezgrzeszność, na lity  
stopień świadomości człowieczych zapędów, człowieczej  
nieprzymierzalności do sercowej  
jawności, do owej boleści ramion obejmujących wysuszone  
koryto marzeń, czy aby nie prędko  
jest ten odwrót, czy aby nie zacierniony własną krwiożerczością,  
odwrót w popękane bruzdy  
życia, w powtórzoną po raz wtóry cierniowość jawy, w  
zasadniczość nieogarnionej bytowości,  
w nieodłżczne myślenie własnej pomyślności, o, jakiż to cel  
ogromny móc wreszcie osiągnąć zranioną ręką duszą światła, jakiż to  
przepiękny odzew światowej harmonii, jakaż  
ujmująca radość być nadal tajemniczą i spełnieniem, dumą i  
marzeniem, prawdą i wiecznością.

#### IV

Chudy, naziemny kadłub Cisawego przysunął się do okna i na szybie spoczęła gładka cieniolutna

twarz, w której jarzyły się bezmyślne skorupiaki Ārenic. Badał wnętrze izby z niezwykłym

ciekawościami i spokojem, który przypominał słodką rozkosz kocura, całkowicie pochłoniętego

łamaniem kości wymarzonej myszy, że matka krzyknęła ostro, strachliwie i Juliusz gestem wskazał mu wejście. Cisawy kilkakrotnie skinął głową i znikł na schodach walskiego

się ganku. Otworzył drzwi i z pokorną czołobitnością pochylił wygolony kark.

– To jest Cisawy – powiedział Juliusz. – Kumpel i człowiek.

– Bardzo nam miło – rzekła ona. – Niewymownie miło. Co?

– Nic – powiedział Juliusz. – Po prostu Cisawy.

– Juliuszek mnie lubi – powiedział on. – Jeszcze za dziada...

– Cicho, człowieku – rzekł Ryszard. – No, cicho bądź.

Cisawy uśmiechnął się z łapczywym rozrzutnością, ale w jego bezmyślnie zgubnych oczach

blęsnął czarny promień i zgasł tak szybko jak wyobrażony smutek tej rodziny.

Obraża, pomyślał.

Za wczecenie obraża moje życie. Czy ja nie wiem po równo z telewizją, co jest nad tym

światem? Przecież wiem. Westchnął i powiedział.

– Jak? Czy ja dobrze słyszę? Co pan chce przez to, żeby być cicho?

– Ależ człowieku – rzekł Ryszard.

– Chłopcy – powiedziała ona. – Och, chłopcy.

– Mama przecież widzi – powiedział Juliusz. – Nic mu się nigdy nie podoba. To mało.

Zawsze chce pouczać ziemskie istoty, jakbyśmy nie dysponowali własnym rozumem.

Przecież

mama widzi, nie?

Teresa Widok podniosła bladą, wymasowaną twarz i jej szlachetny

profil przebił

ocieniowanś

œwiatłem przestrzeń jak dziób wysłużonego okrętu zatokę  
spokoju. Paliła łapczywie, z

pewnym ukojeniem, które błyskawicznie oplśtywało ramiona  
siedzjących w izbie ludzi, przybliżajśc

ich ociężałoœć do granicy zastygającej formy, że Profesor w  
zdziwieniu podniósł

swe

krzaczaste brwi i spojrzał zdumiony na żonę. Był w tym spojrzeniu  
utajony wyrzut, iż zaskakuje

go czymœ nieodzownie prawdziwym, czymœ oczywistym dla  
przebiegu złączonych lat, ale w tej izbie i wœród tej ruiny okazanie tego  
jest co najmniej niesmaczne.

Siedział przy stole

i przyglądał się Cisawemu, którego ceniolubna twarz wzbudziła w  
nim odrazę i pogłębiła

jeszcze bardziej rodzinny smutek.

– Pan jest rolnikiem – zapytał bardzo po profesorsku –  
nieprawdaż?

– Tak, szanowny panie – odparł szybko tamten, z chichotem. –  
W zasadzie synem rolnika,

ponieważ rodzic mój jeszcze żyje i orze.

– Ale przejmiesz pan gospodarstwo po œmierci rodzica,  
nieprawdaż?

– To się wie, szanowny panie. Gospodarstwo nasze jest o dużej  
wydajnoœci kwintalnej i

pozostawienie go odłogiem byłoby złym uczynkiem. Rodzic w  
tym względzie jest bezwzględny

i zabrał mnie nawet ode szkół, aby nie zmarnować dobra. Czy to  
Ÿle, szanowny panie?

– Och, to zależy – powiedział z ucemiechem Profesor. – Zależy  
w jakiej szkole się pan

uczyłœ?

– W zawodowej, szanowny panie. Jakżeby inaczej?

– To Ÿle. Rolnictwo potrzebuje ludzi wykształconych. Stoi przed wami ogromne Ÿywienie.

Czytaœœ pan o tym moŸe w gazetach?

– Ja nie czytam, proszœ pan – rzekł z dumš Cisawy. – Mnie Juliuszek powiedział

niejednš

prawdœ i tak sobie kapujœ, Ÿe sš to prawdy najwaŸniejsze.

– Ach, tak – mruknš Profesor z nie ukrywanym, profesorskim Ÿalem. – I jakieŸ to prawdy

pan poznaœœ z ust mojego syna?

Cisawy zaœemiał siœ beznamiœnym dŸwiœcznym œmiechem i chytrze spojrzeł na Juliusza,

który obojœtnie słuœał nerwowego dialogu. Był zmœczony i senny. Cisawy pochylił

swój

podgolony łeb i powiedział z gardłowym rozlazłym uczuciem.

– Ja tam jestem prosty chłop, szanowny panie, i wiem, Ÿe koza nie zwierzœ, sołtys nie włada.

Ale kapujœ sobie powiedziane jak naleŸy. Juliuszek mnie nieraz upominał, jeszcze za

szczeniaka i w obecnoœci swego dziada, Ÿe muszœ zdaœ siœ na wspólnœ Ÿycie na ziemi, bo inaczej

niczego serdecznie nie poznamoœ. Ty Cisawy, powiedział Juliuszek, nie musisz byœ

wcale takim chłopakiem, któremu postœp ma dopiero otworzyœ oczy na wlasnš wielkoœœ.

Kołodziej jesteœ, powiada, Polak jesteœ, powiada, i rób swoje w imiœ Boga albo diabła, bo

inaczej mnie zdenerwujesz, i zrobiœ z ciebie miazgœ. I dalej mówi, Ÿe musimy odkupiœ

grzech, który nam siœ wymknš, ale nie przez miłoœœ jak taki ruski Ruskalnikow, ale przez te

nasze wspólnœ Ÿycie na ziemi, i wtedy wszystko serdecznie poznamoœmy, co mnie siœ bardzo

spodobał, bo faktycznoœœ w tych słowach jest wielka jak rzadko.

I teraz, szanowny panie, jak

oglądam coraz mocniej i telewizor albo objazdowe kino, to cięgle mam w pomyślunku ten

grzech nie odkupiony i tak mnie on męczy, że czasami stoję przy robocie i jak głupi patrzę przed siebie.

– Ależ człowieku – rzekł Ryszard – to przecież brednie.

– Ha – powiedział Cisawy – jak tam komu po myśli. A pan obraża moje życie i to mnie się nie podoba. Pan i dziada obrażał, któremu ja tylko sąsiad, ale uczciwy, uczciwy sąsiad. I tak

sobie kapuję, że dla Juliuszka to nie jesteście pan ani bratem, ani swatem. Bo wiadomo mnie i to

jeszcze, że jak jednostka zechce działać w sprawie dobra, otrzymuje kopniaki i dlatego musi

złuszczyć wszystkich do kupy, aby każdy dostał swoje. Nie ma lekko Polakowi, kiedy koza nie zwierzę, sołtys nie władza. Nie ma lekko.

– Rzeczywiście tak mówicie? – zwrócił się Profesor do Juliusza. Jego duże, rybnie oczy krewały

znak klętwy. – Rzeczywiście, kochany?

– Dlaczego mówisz do mnie kochany? – rzekł Juliusz z ironicznym grymasem, który w

mdłym świetle izby wyglądał jak upiorny makijaż. – Dlaczego w ogóle cię to obchodzi? Nie

jestem twoim studentem i sobie nie pozwolę. Zresztą wszystko mi jedno.

– Jesteście moim synem – powiedział smutnie Profesor. – Albo może się mylę. Może synostwo to tylko kwestia umowy. Stary Poeta był innego zdania.

– Ależ ojcie – powiedział gwałtownie Ryszard. – Nie wiem, co masz na myśli, ale wiem

dobrze, co myśli nasz Juliuszek. Anarchia i śmierć. Czy to nie zabawne?

– Cicho – rzekła ona. – Och, cicho.

Tak. Bezsprzecznie sprzeczny układ, który nie jest układem.  
Oczywiście, że tak.

Miałem

tylko do powiedzenia, kiedy tu jechałem. Czyżbym naprawdę nie  
widział nic na dwa kroki od

siebie? Czyżbym rzucił się w zasypań przepaść jak nieodrodny  
czarodziej Sfinks?

Mój ojciec,

ten geniusz i brat bogów, ta nędza udaremnionej władzy nad sobą  
nad wszystkim. I on

ćmie kopać mnie w zęby swym greckim sceptycyzmem? O,  
bogowie, jak to boli. Jak to bezsennie  
niesennie boli!

– I czego jeszcze dowiedziałeś się pan od Juliusza? – zapytał  
Cisawego z profesorską ciekawością

Profesor. – Wyjaw pan to w szczerości serca swego, wyjaw.

– Chętnie wyjawię, drogi panie. – rzekł z godnością Cisawy i  
zachichotał jak zwykle. –

Chętnie to zrobię, męczy mnie bowiem to nieodmiennie i  
powoduje, że staję się całkiem nie

do życia. Ja, szanowny panie, byłem w szkołach cztery lata i w  
zasadzie wiem po równo z

telewizją, co jest nad tym światem. Wiem to i jeszcze z takiej  
przyczyny, że jak byłem na

nauce podstawowej i kierownik brał nas na cały dzień do zbierania  
własnych kartofli za dwa

cukierki, które on nazywał symbolicznymi zapłatami i jak ja  
zbuntowałem się przeciw takiemu

chamskiemu wyzyskowi, to jego syn wziął mnie w swoje ręce i  
było ze mną bardzo źle, bo

kopiść mnie w brzuch ciągle pytał, czy zawsze będę miał w dupie  
symbole, i ja musiałem mu

zaprzeczyć, że nie zawsze. I jak później ja jego dostałem w swoje  
ręce, to byłem dobrze rozeznanym

w symbolicznych zapłatach, bo Juliuszek dokładnie wytłumaczył

mi, w czym istota rzeczy, i jemu wtedy w moich rękach było gorzej niż  
Źle. To ja sobie tak kapuję, że jednostka  
ma prawo do wszystkiego, jak zgodnie działa z sumieniem i  
sumienie to jest ludzkie. Ty, Cisawy,  
powiadał Juliuszek, małowiele, a będziesz bitny żołnierz idei,  
która nazywa się królestwem  
wolności i braterstwa. Ty, powiada, jesteś człowiek urodzony do  
działania i innych  
rzeczy.

– Zamknij się – powiedział Juliusz. – Słyszysz?

– Dlaczego – sprzeciwił się Profesor. – Piękna historia.

Królestwo wolności i braterstwa.

Wręcz cudowna historia. Cha! cha! cha!

– I co w tym cęmiesznego – rzekła nagle ona. – Dlaczego cięgle  
nie potrafisz rozdzielić dobra  
i zła. Jesteś stary, wykiwany przez stado mors. Ale to już  
nieważne.

Profesor z tępym zdumieniem wpatrywał się w jej twarz. Żono  
moja, pomyślał.

Zapomniałaś

już naszej męki. O, zapomniałaś, zapomniałaś. Ale jeszcze żyję i  
to jest ważne.

Bardzo

ważne.

– Na co czekamy? – spytał Ryszard. – Mam docęć tej imprezy.

– Trzeba to sprzedać – powiedział Profesor. – Rozumiesz chyba,  
że Wiece szanuje prochy i  
musi odczekać parę godzin, aby nie sprofanować pamięci Naszej  
pamięci.

– Ludzie kupiś – powiedział szybko Cisawy.– Nawet ruinę  
ludzie kupiś. Cóż to im szkodzi

mieć w posiadaniu gniazdo Widoków, które od dawna przestało  
być gniazdem. Cóż to szkodzi?

– Zamknij się – powtórzył Juliusz. – Słyszysz?

Cisawy pokornie zgiśł kark i w izbie zaległa nieprzyjemna



drażniśca cisza.

Juliusz pomyślał,  
że on bełkoce jak raniony romantyk zanurzony w gnój Ziemi i  
Boga i z rozpaczś powiedział:

– Oczywiście. Gnój Ziemi i Boga. Przecież to takie proste.  
– Co? – powiedział Profesor. – Jak?  
– Ach, dziecko – rzekła ona – wyglśdasz jak œmierć. Możeo  
chory?

– Nie – powiedział Juliusz. – Œwietnie się czuję. Doskonale.  
– I pomazał mu oczy błotem – powiedział Ryszard. – A on  
obmył się i wrócił  
widzśc.

Ostatnio coraz częœciej myœlę o tym œlepcu i mam wrażenie,  
jakby był moim bratem. Mam  
takie wrażenie, ojcz.

– Tak – powiedział Profesor. – Jesteœmy dłuźnikami sadzawki  
Siloe. Jeden z naszych królów  
prawdopodobnie chciał się w niej wykśpać? Ale to tylko szatańska  
hipoteza.

– O kim myœlisz? – spytał Ryszard.  
– O Warneńczyku – powiedział Profesor. – W tej bitwie miał  
wcale nie zginśc.

Tknięty  
bezsensownś œmierciś kwiatu rycerstwa miał odprawić  
pielgrzymkę do Ziemi Œwiętej. Kiedy  
zanurzył grzeszne ciało w osławionej sadzawce, panowie  
krakowscy przejrzel i pewnoœc, że  
król żyje, ogarnęła ich na kształt anielskiej radoœci. Podajś, że po  
powrocie do Europy Warneńczyk  
włóczył się jako bard, bez nazwiska i przeszłœci, mniej więcej  
jak ta piramida nieszczęœcia

– Lear, i umarł w tajemniczych okolicznoœciach. Panowie  
krakowscy daremnie oczekiwali znaku od Pana. Zakpił sobie z ich  
anielskiej przewrotnœci. A Warneńczyk stał się  
o wiele szybciej legendś niż jego epoka.

– A gdyby naprawdę tak było? – zapytał Juliusz. – Gdyby naprawdę zrezygnował z królestwa i władzy. Co, tato?

– Był młody i porywczy – powiedział Profesor. – Nie ukształtowany jeszcze w męża i w świadomość ograniczonoci własnych pragnień. Gdybyemy jednak przyjęli szatańskš hipotezę,

że faktycznie przeżył i odrzucił swójš tożsamość. WyobraŹcie sobie ten szmat ziemi zwanej

Europš Inkwizytora i Karnawału. To miejsce, w którym człowiek był ponad czasem, wypełniony

ogromem tragicznej przestrzeni, uległociš niewolnika i niezwykle dumš z posiadania

rozumu. Król jadšc na Węgry był (jak mówi Sienkiewicz) basątkiem, rozhasanym szczeniakiem,

który więcej patrzył w cyniczne oblicze Oleœnickiego, niŹ skupiał się nad księgami.

A dwór węgierski na owe czasy to była kultura wysokiej klasy, to dziedzictwo Andegawenów,

Basenu Akwitanii i tak dalej. Król niewštpliwie zdał sobie bardzo szybko sprawę ze

swego niedokształcenia. A jeszcze papiescy urzędnicy, czyli zgraja uczonych mężów, którzy

twierdzili, że królestwo jest dane od Boga i musi być podporzšdkowane jego namiestnikowi,

że œwiat doczesny to marność, że człowiek to plugastwo swego odrodnego poczęcia.

Jednym

słowem ziemskość jest tyle warta, co jasne żołnierskie zakłęcie streszczajšce legendę Cambronne,

że posłużymy się nowożytnym aparatem analizy. Wyobrażam sobie, jak słuchał tej obłudnej gadaniny on, syn pogromcy KrzyŹaków, wnuk bujnego Wschodu rzucony na œliskš

œcieŹkę europapieskiej polityki, której nie rozumiał i która go normalnie nudziła. Jak kaŹde

zresztś dziecko. Oleœnicki był bardziej chytry niź mśdry i kierował chłopcem bez sentymentów.

Chciał w nim widzieć ofiarę, chrzeœcijańskie męczeństwo, rozpoznany stygmat przerażonej

ludzkiej nędzy, która staje się chwałś. Dziesięć lat to wystarczajścy okres, aby z człowieka

uczynić narzędzie. O, Oleœnicki to wielkooki temat, przy nim szatańska hipoteza wyglśda

na banalnś pokutę. Jeżeli Władysław uratował swójś głowę, to musiało wreszcie coœ w

niej pęknść, coœ takiego, co bardziej wskazywało zostać bardem niź siepaczem.

Inaczej trudno

to sobie wytłumaczyć.

– Piękna historia – powiedział Ryszard. – Jako socjolog mógłbyœ z niej wycisnść społeczne

jabłko miłœci.

– Jesteœ naiwny – powiedział Juliusz. – Miłœć nie moze być ofiarś. Ofiara to coœ nieodkrytego

w nas samych, coœ wyźszego nad te pomyłki...

– Zamknij się – powiedział Ryszard z tym niszczyielskim blaskiem w œlepiach, który go

czynił tak niepomierne sympatycznym. – O Jezu, zamknij się, bo ci dzisiaj flaki wypruję.

– Ryszardzie, zapominasz się – powiedział Profesor. – Zapominasz o miejscu i czasie naszego

pobytu.

– Oczywiście, oczywiście – rzekł szybko tamten. – Ale niech ojciec nie udaje dosłownego

œlepeca. Jestem w tym wieku, że kpić z siebie nie pozwolę. Moja żona (chwycił jś gwałtownie

za ramię i potrzśsnł jak pustym worem), która jest dla niego kompletnym zerem i która w

obecnoœci nas wszystkich wybiera milczenie, poniewaź nie moze znieœć tych obojnacych

udręk, moja praca, o której on z takš pogardš. Niech ojciec nie myœli, niech ojciec sobie nie myœli, że ja nie widzę. O, ja widzę, widzę. Nie jestem aż takim kretynem, aby nie rozumieć, że ojciec słuca tych bredni z zainteresowaniem. Nawet i tego chłopka, no, jak mu tam.

– Cisawy – powiedział z pogardliwym uœmiechem Juliusz. – Kumpel i człowiek.

– Włączenie, włączenie. JuŹ ja widzę dobrze, mój drogi pętaku.

– Cicho – rzekła ona. – Och, cicho. Głowa mi pęka.

Bezmyœlnie skorupiaki Cisawego przeœliznęły się po jej bladej, wymasowanej twarzy. Pochylił

wygolony kark i z tym gardłowym, rozlazłym uczuciem powiedział: – Pan obraŹa moje Źycie. Dlaczego szanowny pan nie uszanuje człowieka Wsi? Czy panu

tak nie w sos nasz los? Czy pan nie jest goœć kwintalny? Bo dziad mówił, że ten starszy, czyli

pan, jest stworzony do pługą i dlatego tak od niego wieje. Tak mówił.

– Pług nie jest mojš domenš – krzyknšł Ryszard. Cóż ty, chamie, sobie wyobraŹasz?

– Ale nic, nic – powiedział z chichotem Cisawy. – Ja jestem od roboty, a nie od wyobraŹania.

Niech szanowny pan daruje mnie to chamstwo, ale juŹ w tym się urodziłem i koniec.

Kiedy Juliuszek zaczął mnie uczyć poprawnego rozumowania, to moja wola okazała się nie w ciemię bita. Na przykład wyrzucam gnój i Juliuszek staje w drzwiach obory.

Cisawy, pyta, co robisz? Wyrzucam gnój, powiadam. • le mówisz, powiada on. Nie wyrzucasz, ale oczyszczasz

stajnię Augiasza z moralnych bankrutów. Ale przecieŹ to nie jest stajnia, powiadam ja. Nazwy

sš puste, powiada on. JeŹeli na łšce widzisz wołu i ten wół widzi

ciebie, to ty nie widzisz

wołu. Ale ja chcę widzieć wołu, powiadam ja. Chcieć to możesz srać, powiada on.

W rozumowaniu

poprawnym linia myœli nie może wyskoczyć z logicznych rolek.

Będę cię uczył

tych praw, które rzdźs œwiatem czystego żywota.

– Coœ niesamowitego – powiedział Profesor. – Rzeczywiœcie uczyœcie go takich praw?

Juliusz z uwagš wpatrywał się w Cisawego. Zwiŝzek myœli i niedocieczone poznanie. Jest

nieznoceny z przenikliwš bezmyœlnocœciš i za to go lubię. Nawet wiêcej. Tak. Nawet wiêcej

miœoci w nie uœpionym sercu. I ta nadzieja, że gdy czerwone plwociny starego ŝelastwa

œwiszczš dzieñ cały. Oczywiœcie pamiećtam. W błękit nieba niezmierny. Jak najbardziej

pamiećtam. Och, Juliuszu, Juliuszu. Porzuć samotne rozmyœlania.

– Zrobiœcie postępy, Cisawy – powiedział. – Doskonale.

– Pochwalił mnie – powiedział z dumš Cisawy. – Słyszał pan Profesor? Pochwalił

mnie. I

jak człowiek Wsi ma się nie cieszyć, jak chwalsš go takie mšdre ludzie? Bo przecie nie jest

lekko Polakowi, kiedy koza nie zwierzę, sołtys nie władza. Nie jest lekko. Jak œwiêtej pamiećci

dziad pił przez tydzieñ po kaŝdych ŝniwach i uczciwy sšsiad oporzšdzał tš ostatniš krowinę,

która mu została z tego wielkiego bogactwa, jakie tu było (bo tu było bogactwo o wiele wiêksze,

niŝ ma mój rodzic, który na robotę jest chytrzejszy jak mało kto i przez to ja jego szanuję

jak teŝ mało kto), to nie stał przecieŝ o zapłatę w ŝadnym względzie, tylko o zwyczejniš ludzkocœć,

która wdziêcznie jemu naleŝy się. I choć od dawna nie obsiewał

ziemi, to każdego roku  
ten tydzień musiał być taki jak w dawnych czasach i ja  
pilnowałem, żeby miał  
wszystko na  
czas. A On poprzez przekleństwa zawsze nie zapominał  
wypowiedzieć tych słów: Ej, Cisawy,  
Cisawy, czegoż ty nie mój syn? A wtedy ja mu gadałem o  
Juliuszku i On tarł oczy, bo coś go  
w nich piekielnie paliło, że wołałem zamilczeć. A przed końcem  
życia to musiałem go bacznie  
pilnować, bo brał siekierę na ramię i mówił, że jedzie do willi na  
Sępa, aby rśbać. I tak ja  
sobie kapuję, że gdybym go nie trzymał za kołnierz, toby  
wszystkich porśbał na ament. Prócz  
Juliuszka oczywiście, którego kochał i żałował.  
– Zamkniesz się, ty – krzyknęła ona. – O, Boże.  
– Nie! – wrzasnął Cisawy. – Nie zamknę się, bo mnie krzywda.

Szanowny pan Profesor  
chce sprzedać ruinę, a ja pytam jakim prawem? Jakim to ludzkim  
prawem...

– Prawem kaduka – powiedział z gniewem Profesor. – I cicho,  
młodzieńcze, cicho.

Jesteś  
tu intruzem.

– Jakże to? – zapytał z tępym zdumieniem Cisawy. – Ha! To taka  
ludzkość.

– On ma rację – powiedział Juliusz. – Jakim prawem, ojcze?

Profesor wstał i w jego rybich oczach zajaśniały srebrne punkciki  
niepokoju. Oto Jego zemsta,

pomyślał. Najbardziej idiotyczna chęć zniszczenia moich  
nieważnych marzeń. Syn i ten, którego nazywa kumpel i człowiek.

Zdeprawował młodość kompletnym pomieszaniem

pojęć dobra i zła. Jak Karneades w rzymskim senacie. Stary mors,  
wykiwany przez stado! O,

jeszcze żyję. Jeszcze mogę spopielić nikczemość. Chciał rśbać,

jakby mu było mało tej obopólnej

męki, jakby nie wiedział, że zabiorę swójś nigdy nieodkrytś  
œwietnoœć na ucztę zgnilizny.

Ale w tej chwili nie. W tej chwili bezwzględnie nie.

– Według prawa nieruchomości przypada najbliższej rodzinie –  
powiedział dobitnie Profesor.

– A najbliższa rodzina to ja. I wara każdemu. Smarkacze!

– Dobrze – powiedział Juliusz. – Rób, jak uważasz. Oto masz  
Cisawy, ich rozśdek, ich

dobrotliwy gest, który jest zawsze ciosem. O, ja byłem  
przekonany, że mój ojciec nigdy nie

zrobi fałszywego kroku. Co to, to nie. On przecież z daleka ominśł  
bagno namiętnoœci.

– Milcz! – krzyknśł Profesor. – Wyhodowałem żmiję na własnej  
piersi. Ale milcz, bo wyprowadzisz

mnie z równowagi. Kadzenie oparami bagna namiętnoœci zostaw  
dla swoich kolegów.

Jeden egzemplarz stoi tu włœcnie przed nami. I ców ty z tego  
wieœniaka zrobiłœ, chłopcze? I jakaż jego przyszłœć po tych  
„ wykładach” praw, które rzśdzś œwiatem czystego

żywota? Staram się ostatecznie zrozumieć wasz œwiatopoglśd.  
Wspólnota i jej nieustajśce

œwięto. Ależ to popłuczyny po falansterach i dobrym dzikusie.  
Może się jednak mylę?

– Czytaj Musila – powiedział Juliusz. – Ten człowiek doskonale  
rozumiał

rzeczywistoœć

tysiścletniego królestwa. I nie tylko rzeczywistoœć.

– Być może – powiedział Profesor. – Być może. Stary Poeta nie  
wspomina o tym pisarzu.

Być może rozumiał. Ale mnie chodzi o metafizycznś stronę  
zagadnienia. Mówiłœ, to znaczy

Cisawy mówił, o odkupieniu grzechu, który nam się wymknśł z  
poła działalnoœci.

Ale czy to

jest pewne? Czy nie nazbyt dosłownie bierzesz niepokój katolickich filozofów? Bo mnie się wydaje wręcz odwrotnie. Że żyjemy w grzechu tak wielkim jak drabina Jakuba.

– Czytaj Musila – powtórzył niecierpliwie Juliusz. – To jest więcej niż tragiczna przestrzeń.

Musil w pewnym miejscu pisze, że byłoby ciekawe, gdyby Jezus został dyrektorem kopalni. Na przykład kopalni uranu. Ja mycę, że to byłaby dopiero niezwykła zabawa w odkupienie i miłocć.

– Ależ człowieku – powiedział Ryszard – co ty pleciesz? Czy nie uważasz, ojcze, że pismaków

należałoby stawiać pod ocianš bez żadnego sšdu? Dlaczego ci ludzie chcš nas na wyrost uczynić doskonałymi? Ja tego nie mogę zrozumieć, co komu do tego, jak ja patrzę na

miłocć, œmierć, narodzenie. I to, ile we mnie z szatana czy anioła. Jestem szczęœliwy, że nie czytam tej makulatury, która nieprzerwanie ugniata rozgoršczkowane mózgi. Tak, ojcze.

– Raczej nieszczęœliwy – powiedział z naciskiem Profesor. – Ale to twoja sprawa.

Wszystko

jest tak pogmatwane i względne. A żyć trzeba.

– Ale jak, ojcze? Jak? – powiedział z namiętnš uwagš Juliusz. – Czy tak, jak zalecajš tablice

Mojżesza? Czy tak, jak głosi Jeszua Ha– Nocri? Ale Jeszua Ha– Nocri stał się instytucjš i

monopolistš sfery doczesnej i wiecznej. To œcierwo boskie nie tylko samotne, ale i osšdzone

przez tajemnicę, którš daremnie stara się przeniknšć. Więc to musi być pomyłka.

Rozumiesz

mnie? To musi być generalnym niewypałem, to nieustanne zabieganie o nieœmiertelnoœć i tak

dalej. Pomyłkš był również krzyk, że historia jest œlepa. Ależ ona



nigdy nie była inna. Tylko  
stała się jednym z wielu bezkarnych handlarzy zagadek, którzy  
zachwalają nam bez przerwy  
swoją nieogarnioną towar, jakim jest wspólnie zjednoczona  
przeszłość i przyszłość. Nie ma nic  
wspólnego między poznawczym działaniem a ugnojonym  
prochem. To złudzenie, że można  
zwyciężyć nicotą. Jesteśmy chwilą, ale chwila ta tworzy  
wieczność naszej wiary w humor  
istnienia. Bo chyba nie zaprzeczysz, że i kontemplacja  
tybetańskich mnichów jest ukierunkowana  
pracą na zwycięstwo nad sobą, złem lub grzechem, czy jak to się  
wreszcie nazwie, kiedy  
nazwy są również puste? Nie zaprzeczysz, prawda?  
– Ba – powiedział Profesor – sprzeczności w twoim  
rozumowaniu są niemal dogmatem,  
czyli zmierzają ku racjonalnej i politycznie jedynej prawdzie, że  
państwo to my i jakże tam  
reszta. Tylko mnie odpowiada nieugięte przekonanie Sekstusa  
Empiryka, że prawdy nie poznamy  
nigdy, ponieważ prawda jest zakrytym istnieniem naszego o niej  
wyobrażenia.  
Twoje  
wyobrażenie również podlega tym prawom.  
– Mierzi mnie twój grecki sceptycyzm – powiedział Juliusz. –  
Ale to nieważne.  
Czy ty  
przez całe swoje życie nigdy nie pomyślałeś, że mógłbyś od  
czasu do czasu poddać się temu,  
co Grecy nazywali orthos logos?  
– Ba – powiedział Profesor – czemu nie? Ale w tych dobrych  
czasach, w których byłem  
studentem, zdrowy rozum nie był potrzebny do szczęścia. Raczej  
zdrowy żółśdek. A później  
przychodzi tak zwana realna codzienność i trzeba się

podporządkować temu, co daje papu, i

temu, co jest świadomością ograniczonego ideału. Czemu nie? –  
powtórzył już szeptem. –

Często o tym myślałem. Ale ciśgle żyłem bez wiosny i po prostu  
nie mogłem. Tak zwyczajnie.

Nie mogłem.

Jego biały maskę z lekka pokrył ceglasty odcień i teraz  
niewśtpliwie był podobny do starego

morsa wykiwanego przez stado, że Juliusz pomyślał o nim z  
roczulajścym smutkiem, w

którym go wreszcie odnalazł już nie jako geniusza i brata bogów,  
ale zwykłego ludzkiego

pokurcza pozbawionego miłości i łaski. Popatrzył na nich  
zmęczonym obojętnym wzrokiem i

nieodmienne uczucie, że jednak widzi dalej niż na dwa kroki,  
złagodziło psychiczne napięcie,

w którym żył od trzech dni jak żołnierz przed ognioś próbś swej  
chwały. Chciał

i mógł jś

przeżyć oswobodzony z przeszłości, nieograniczony w swej  
wolnej woli, która w sprzyjajścym

czasie przeobrazi w czyn, w rzeczywisty konkret losu  
oznaczajścego sensowność każdego

poznania, sensowność życia z zacięniętymi pięćciami, w którym  
nieustajśce światło nie

będzie chimerś, w żadnym wypadku chimerś, kiedy trzeba za  
niego płacić psychicznym napięciem,

już tak długim i tak męcźścym, że to bliskie zwycięśtwo może być  
gorzkim zwycięśtwem,

utajonś klęskś jego osobowości, oznaczonś abstrakcyjnym  
znakiem ducha, który wzbudza wulgarny śmiech ludzi, już tak głoceny i  
tak potężny, że może wreszcie uwolni go z

żelaznych pęt samotności, z tej narzuconej mu przez układy roli  
żołnierza, który zbliża się do

szaićców wroga z rozłożonymi rękami, włacenie rozłożonymi na

kształt krzyża pieceniara będącego

starym wcieleniem nowych treści, ale będącego i wytrwałego jak jego młody pożywny organizm. Wstał tak szybko, że nawet ona (matka) nie zauważyła gwałtownego otwarcia

jego twarzy na to stare wcielenie, na ten wielki bezsens potrzebnego zbawienia, do którego

poprzez ten wulgarny ośmiech wyciśgajš ramiona i płaczš ciemnym, przeżartym podłoećiš

płaczem, i zobaczył jak ona (matka) patrzy na niego z nieobecniš bolećiš i twarz jego zamknęła

się automatycznie i beczuciowo.

– Zaraz – powiedział. – Zaraz wracam.

PóŸniej przeszedł sztywnym krokiem przez izbę i znikł w wylocie wałšcego się ganku.

Naziemny kadłub Cisawego wykonał lekki półobrót i cicho zamknł za nim i za sobš drzwi.

Kiedy znaleŸli się na omiecionym przez wiatr podwórzu, Juliusz wbił w niego zmęczone oczy

i Cisawy jeszcze niŸej niŸ zwykle schylił podgolony kark.

– Dobrze – powiedział Juliusz. – Stary ustšpi. Słyszysz?

– Co? – zapytał Cisawy. – Ach, to masz w pomyœleniu...

Wskazał rękš zrujnowane domostwo i zachichotał. PóŸniej powiedział z gardłowym, rozlazłym uczuciem.

– Muszę iœć gnój powyrzucać i zadać hodowli paszy. Chodzi o to, że chcę kupić samochód,

którym by można było podjechać pod willę na Sępa w sposób godny rolnej tradycji.

Wtedy byœ mnie przywitał naprawdę pięknie. Rodzic mi zawsze powiada: Synu, patrz na Widoków,

a zobaczysz, ile w nich hamowanej społecznie złoeci. A dlaczego hamowanej?

Dlatego,

że ludzie to wykształceni i mšdrzy i nigdy nie okaŸš swego oblicza bez uderzenia między

oczy. To ja sobie tak miarkuję, że samochód to już jest coœ. Niech mnie diabli.

To na pewno

jest coœ, bo wtedy całe niebo będę miał w piœœci. I jakby ten ruski Ruskalnikow miał całe niebo

w piœœci, toby siê nie pomylił. Co nie?

– Oczywiście, Cisawy. Zgadza siê.

– Mówiœœ, że jego siekiera ciœggle buja w obłokach. Prawda? A to przecieŹ fantazja, bo jak

siekiera sama moŹe ulecieœ nad ziemiê? Nie moŹe. To skończmy z tym gadaniem, bo muszê

iœœ gnój wyrzucaœ. Chłop ma obowiœzki nawet w dzieñ pogrzebu.

– Czekaĵ – powiedział Juliusz. – Czekaĵ no.

– JuŹ wszystko wiem – powiedział Cisawy. – Dobrze wszystko wiem. Kolektywna, spontaniczna

nieœwiadomoœœ i tak dalej. O, kurwa. Jak mnie ta wiedza przenika. O, kurwa.

– Co? – spytał Juliusz. – Gdzie?

– Jak to co? – powiedział Cisawy z têpym zdumieniem. –

Wszystko potrzebne do tej naszej

wspólnoty, która bœdzie królestwem i œwiêtem. Wszystko to wiem. Kiedy powiedziałem

to meliorantom (bo robiœ Wsi melioracjê, Źeby kwintalnoœœ roœla nieznuŹenie), to popatrzeli

na mnie z uwagš i kazali mi wypić całš szklanê wódkii, Źebym wytrzeŹ wiał. Ale ja, jak

wiesz, jestem nie pijšcy w chwilach pomyœlenia i zaczšłem im wykladaœ prawa czystego Źywota

i oni aŹ siê popłakali z radoœci. I póŹniej jeden mnie pyta, czy baby bœdš teŹ wspólne w

tej komunie, którš przywitali płaczem radoœci, i ja z miejsca zgubiłem wštek, bo ty nic mi nie

mówiœœ o babach i czy bœdš wspólne. Dlaczego?

– To zupełnie nie tak – powiedział Juliusz. – Zakpili sobie z ciebie.

– Ha! – powiedział Cisawy. – Komu kpina, to kpina. A ja i tak dobrze wszystko wiem w kwestii kolektywnej, spontanicznej nieoświadomości. A teraz gnój i hodowla.

Cześć, przyjacielu!

– Ruina będzie twoja – krzyknął za nim Juliusz. – Słyszysz?

Cisawy był już na szczycie ogrodzenia, ale z jedną nogą jeszcze na ziemi niczyjej, którą

były władca zapisał od dawna swej własnej bujności, tak że ten suchy okrzyk był

niepotrzebny

i niewskazany i Cisawy przez sekundę popatrzył na jego zamkniętą twarz, i z chichotem

zaciśnął ostrym głosem.

– Co tam ruina, Juliuszku. Co tam taka ruina!

Więc stał zdziwiony na środku tego podwórza, które już go obejmowało swą żelazną obręcz

milczenia, swoją wyopłodkowaną pełnością wiary w bezgraniczną tragiczność czystego

życia, nie objętego, lecz obejmującego ową przestrzeń, która biegła po linii horyzontu

na kształt wypracowanej wspaniałości własnego imienia, wreszcie wyrzuczonego nad jakkolwiek zasłonę, która kładła cień samotności na jego skromne poczynania, na jego szlachectwo

powołania ku zjednoczeniu rodzaju w sposób zupełnie odmienny, niż to chciał

uczynić

Aleksander Wielki, Justynian Bizantyjski, Napoleon Bonaparte, niż to chcieli zrobić ludzie

Terroru, więc spojrział w ponure milczenie nieba i pomyślał, że siwizna zniechęconego

wszechświata zostanie zniszczona i każdy znajdzie się w Czasie jawnego podmiotu albo i

poza Czasem ujawnionej tajemnicy, która przecież nie była żadną możliwością, żadną dobrą

harmoniš, kiedy została całkowicie zagrana przez swój drapieżny mechanizm, całkowicie i

ostatecznie, i on musi tylko wegetować na granicy podejrzanego absolutu. Tu wtulił twarz w

swoje brudne łapy i powiedział z bezwyrazistš, nieoddalonš rozpaczš: O, ty, pięknej matki

piękniejsza jeszcze córko ziemi. Czyżbym daremnie błdził u twych stóp? Czyż nigdy nie

dotrę do twego odrodnego poczęcia? To niemożliwe, niemożliwe...

PóŸniej wyszedł z obejœcia spokojny i opanowany, i wszedł do małego obskurnego baru, w

którym nieœmiertelny bufetowy wpatrywał się z determinacjš w gazety albo monologował na

konto Wsi, ponieważ tylko to mogło go utrzymać przy życiu i tylko to mogło zainteresować

ludzi spoza granic Wsi. Teraz również mówił do szeœciu lub siedmiu męzczyzn w granatowych

kombinezonach i bezwzględnie równych silnych szczękach, którzy popatrzyli na niego

aroganckim bazyliškowatym wzrokiem.

– Herbatę, proszę – powiedział Juliusz.

– Co? – spytał bufetowy – W czym rzecz?

– Herbatę – powtórzył Juliusz. – Angielskš.

Ale już nie usłyszał własnego głosu, tylko ryk podrażnionego po jajach satyra, mniej więcej

do tego był podobny œmiech męzczyzn, którzy w czkawkach i konwulsjach dopadali swojej radoœci i omal nie tarzali się po podłodze w lubieżnych pieszczotach.

Bufetowy bez

słowa postawił przed nim piwo i gestem wskazał kšt sali.

– Nie – powiedział Juliusz. – Proszę herbatę.

– Panie – powiedział tamten. – Co pan mnie poniža, panie!

– Dziadku – krzyknšł jeden z robotników. – Szczyn mu dajcie.

Szczyn!

Juliusz popatrzył na niego z uwagš i jednooka cyklopa dobroć uderzyła w niego fałš przekleństw.

Chamstwo, pomyœlał. Mój błšd i chamstwo. Drobiazg. Wził piwo i siadł w tym kšcie, który œmierdział pokornym upomnieniem naleŹnego miejsca. Chwilę słychać było stukot

szklanek, bełkot na zdrowie i któryœ z nich powiedział zdyszczanym zarywanym głosem:

– No, to mówię do niej, piękna jesteœ, nie? Nigdy, ona na to, nie byłam piękna, złamany

palancie. Ty chomico, myœle, piękna jesteœ i mi tu tego. A księŹyc był œwiecšcy, bardzo œwiecšcy.

Patrz, mówię, jak się łysoń byczy nie? Bez krowy się byczy, co? I staję za niš i gładę

coraz niŹej, coraz niŹej. A ona piszczy...

– Baby zawsze piszczo – powiedział z ogniem bufetowy. – Wal pan.

– I schodę coraz niŹej, mijam brzusek mijam podbrzuszek i cap za... A księŹyc œwieci.

O, myœle, jaka ty przyjemna kobieta, jak ty rozumiesz melioranta, który nie ma ni domu, ni

komu. I w ogóle idę na mać kulturę. A ta mnie nagle w ryło, ale ja nie puszczam... i szeptem

do niej królowo, królowo, do miasta cię zabiorę, tylko musisz mnie tego, królowo, i zwałam

się w żyto. A ona, bracie, piszczy...

– Baby zawsze piszczo – powtórzył z ogniem bufetowy. – Wal pan.

Robotnik wbił w niego nieprzytomne wymęczone oczy i umilkł. Juliusz patrzył na jego tępš

ziemištš twarz. Człowiek czynu. Człowiek powszedniego chleba. Czy jestem mu bliski?

Jak siostra ziemia. I dlatego œwięto, nieustanne œwięto będzie dla nich odrodzeniem. Gabrielo

M., czy mnie słyyszysz? Czy widzisz mnie na tle œcian tej Wsi, w których roztapia się moja

krystaliczna sól życia? Gabrielo M., dlaczego odchodzisz  
zwyciężona i pełna żalu? Nie wolno.

Przybyłem. Zobaczyłem. – Kocham cię. Chcę walczyć o  
królestwo braterstwa i wolności,

bo widzę, że zbyt dużo było pomyłek. Nie mówię o klęskach. O, o  
nich nie mówię, gdyż stoję

przede mną jak mara przeklęta i zacierasz ślad, który chciałbym.  
Tak, Gabrielo.

Czy jestem  
szaleńcem? Nie wiem. Straciłem cię i to boli, boli. Moje oczy nie  
płaczą.

Jesteśmy sami już  
tak długo, że czas wreszcie zstąpić w boski los pomazanych. Czy  
to rozumiesz?

Boski los nie  
jest wymysłem mistyków, jakich tam mistyków, kiedy wszystko  
rozbija się o okowy Prometeusza

i czuwanie orła jest czujnością śmierci, jest nieskończoną  
kategorią naszych cięgle

zdobywanych skał, z których spadamy w zasypań przepaść w  
śmiertelnym locie krzyża i

zdaje mi się, że wreszcie. Moje samotne rozmyślenia, Gabrielo,  
wreszcie samotne, oddalone

od ziemi życia, wyniszczone przez suszę intelektu, którym nie  
mogę rozwiązać zagadki

bytu, tej zagadki w punkcie wyzwolenia przez sensowność i  
poznawczość samej istoty zniedołężniałego

wszechświata, rozumiesz mnie przecież, choćby ledwie tlejszej  
się możliwości, że oto przybywam do Erebu i wyprowadzam  
skazanych, to przecież jest moim obowiązkiem

przybywać i wyprowadzać z kręgu nieszczęścia, oznaczać i  
przeznaczać światu wiekistej

radości, to przecież jest ludzkim obowiązkiem napędzić  
nieokreśloność bogów określoności

człowieczej cielesności, zobaczyć, jak pęcznieje to ciało nieczyste



i plugawe, wyrzeć z niego

w strzaskanš materię płomiennych żalów, dopatrzeć się słodczy  
w ich gorzkim œpiewie, rozpuœcić

ich potężny wygłos w morzu naszej winy, przejœć z pomnożenia  
w stwarzanie, odnaleŹć

się w szumie cywilizacji, to przecieŹ jest koniecznoœciš, Źe  
wreszcie. Tak, moje dziecko.

Jestem juŹ uspokojony. Jestem juŹ gotowy. Tak, moje dziecko.  
Jestem i wiem.

– Mać kultura – powiedział chrapliwie, opiekuńczo robotnik. –  
Ament. Tej, słyszysz?

V

Kiedy wsiadłem do wozu, aby oddalić się na kwadrans od ojca i  
reszty, pomyœlałem, Źe tak

nie moŹe być, tak nie powinno być w Źadnym wypadku, poniewaŹ  
ten pętał za duŹo sobie

wyobraŹa i tak dalej. Przejechałem Wiece na maksymalnej  
prędkoœci, bo lubię szybkiš jazdę, a

Wsi wręcz nienawidzę i zawsze staram się błyskawicznie jš minšć,  
co denerwuje ojca i resztę,

i muszę pokornie znosić ich głupie uwagi. Gdyby wóz był mój,  
powiadam skrycie w tej bezdusznej

atmosferze naszego Źycia, gdyby naleŹał do mnie, to natychmiast  
zamknšłbym im mordy jakimœ cudownym œliskim słowem. Ale  
samochód nie jest mój i serce moje krwawi jak

Cezarowi na widok palšcej się biblioteki. Trudno, powiadam sobie.  
Ale nadejdzie chwila, Źe

wreszcie odczepię się od was całkowicie, na amen, na ostatniš  
nieostatecznoœć, która mnie

połšczy z prawdziwymi ludŹmi.

Ta szosa E– 12 ma dobrš nawierzchnię, wóz jedzie bezsłyszalnie i  
podmucha studzi rozpalonš

twarz, która mnie pali od dawna, dawna. To jest dziwny stan,  
podobny do obłędu, ta

moja niewyraźna noc w cieniu ojca i reszty, choć wiem, że on mnie traktuje serio, ale ten pętaś,

ten przeklęty pętaś za dużo sobie pozwala i tak dalej. Ryszardzie, powiadam sobie. Pluj na

wszystko i rób swoje, nie może mieć to żadnej wartości w chwili tak poważnej jak industria

Państwa. Nie może i koniec. Ale czy kto mnie słucha? Nie widzę. Czy kto mnie widzi? Nie

słyszę. To krew mnie zalewa, bo przecie nie jestem chłystkiem i pojmuję rzeczywistość doć

dobrze. Zaraz zresztą po otrzymaniu telegramu, że ten stary lubieżnik wreszcie przekroczył

swój poetycki cień, powiadam ojcu:

„ Słuchaj. Ja nie pojedę dlatego i dlatego” .

„ Jeszcze czego, on na to. Pojedziesz, i to przy kierownicy” .

Kocham te łeńisze cacka, ale tym razem byłem daleko od swego czaru i wyróżniłem pięćciś

w stół jak nigdy, bo co to wreszcie znaczy, aby trzydziestodwuletni mężczyzna był wodzony

za nos? Co wreszcie znaczył ton ojca, to mniej więcej dobrze wiedziałem i pomyślałem, że

jednak siedzi w nim kawał chłopka, który jest moją zmorem od dawna, dawna.

Poszedłem do

mojej części mieszkalnej i powiadam żonie, że ojciec każe nam jechać nieodwołalnie i ostatecznie.

„ Nam, mówi ona. Nie rozumiem” .

Popatrzyłem na nią uważnie, zawsze zresztą patrzyłem tak, kiedy otwierała swój dziób i z

jej wskiego gardziółka wylatywał jakiś nieokreślony dźwięk, który musiałem później z wysiłkiem

określić, bo inaczej nie byłbym w stanie dostrzec jej obecności i tak dalej.

„ Żono powiadam. Żono moja. Słuchaj tu. Od dwóch lat jesteśmy małżeństwem i nie słyszę

od ciebie dobrego słowa. Co tam słowo. Nie widzę w tobie  
kobiety, która jest pełna oświadomości  
i tak dalej. Nie mówisz już o tym, że leję w ciebie masę spermy, a  
ty jesteś tak samo  
wskoramienna jak niegdysiejsze gwiazdy. To słuchaj tu.  
Rozumiesz?”

Oczywiście zaczęła płakać, bo zawsze tylko płacze, kiedy  
podniosę na nią głos i wpatruje  
się we mnie z jakimś przewlekłym zniewoleniem, że dostaje  
gęziej skórki i wychodzę byle  
gdzie. Tym razem uciekłem do palarni (solidna willa, w której  
przeznaczenie ma swoje miejsce,  
a miejsce swoje przeznaczenie), choć jestem niepalący i trudno mi  
wytrzymać w otoczeniu  
fajek i drogocennej trucizny. Ale wolę już to niż babski szloch. Nie  
chciałem nikogo  
ogłuszać, ale czy w takim domu, w którym wszystko jest na opak,  
można uwierzyć w samotność?  
Czy takie życie, nad którym ciśgłie wiszą jakieś nierozstrzygnięte  
sprawy, jest podobne  
do czegokolwiek? Widziałem już od dawna, jak ojciec z  
niewydarzoną naiwnością stara się  
rozgrzeszyć przeszłość, jakby można stracony czas  
podporządkować sobie nieszczęsnym gadaniem,  
z którego wynika pierwiastek z ja (jak to kiedyś przeczytałem w  
rozważaniach moralnych  
jakiegoś pismaka) i inne rzeczy trudno nazywane. Dlatego  
twierdę, że tego pokroju  
ludzi należy traktować z obojętną wzdarszą, ponieważ nie służą  
społeczeństwu, ale swojej  
bibliotece. Nie jestem przecież bydlę i potrafię docenić sferę  
estetycznej przyjemności, pod  
warunkiem jednakże, że jest wymierna w stosunku do moich  
potrzeb. Ale czy kto mnie słucha? Ten pętał, jak tylko otworzy swój  
sparszywał morde, od razu cichną rozmowy i bełkoczący

spleen wali w zarznięte łby jak w pusty bęben. Szczęśliwi będący  
zaledwie na drugim roku

archeologii! Czy to nie jest skandal? Ach, gdzież ten sztylet ze  
zwrócony ku mej dłoni rękojeści?

Nie mam cię, a jednak ciśgle cię widzę. Widzę!

Nie wyobrażam sobie niczego zbędnego, ponieważ sam sobie  
jestem niezbędny, i próbuję  
w sposób możliwie dokładny znaleźć się w tym stuleciu. Ale czy  
kto to widzi?

Człowiek haruje

jak pionier tego polskiego zachodu, tego, powiadam, jedyne w  
swoim rodzaju kręgu

jedynych możliwości, o których taki gołorzęsy smarkacz nie  
może mieć nawet lichego wyobrażenia

i tak dalej. Och, już ja cię znam z tej realistycznej strony, która  
zniosła wokół ciebie

wszystkie strony dodatnie i ujemne. Cóż to, nie pamiętam twojej  
zachłannej diwy, twojego

koła tańca miłosnego, w którym chciałem oczyścić się z błota  
zabagnionej egzystencji? Ależ

pamiętam, pamiętam. Nic się nie bój. Ryszard wszystko dla tej  
diablicy. I nie tylko ja. Nie

tylko moja rozpaczliwa bogonośność. Godziny udaremniionych  
złudzeń, obłądne, niszczące

godziny wściekłości, kiedy musiałem słuchać jej wolnego  
śmiechu w moim mieszkalnym

więzieniu, przy boku tego dziwnego tworu, który poślubiłem z  
boskiego porywu, ponieważ

wierzę w jego bezgraniczność i w jego niezmierność  
odkrywaną z każdym nowym czytaniem

Pascala, z tą piekielną inteligencją świadomego niewolnictwa  
nieulekłego umysłu, że

ogarnia mnie przerażenie i uciekam do oświatni pełen winy i  
grzechu. Grzechu, powiadam,

straszliwego grzechu nowego słowa, którego nie mogę i nie chcę

słuchać. Ale dlaczego? dlaczego?

O, już ja wiem dlaczego, odpowiadam sobie każdej bezsennej nocy, każdego ciemnego

dnia, już ja rozumiem takiego inteligenta spod miedzy, który szuka swej duszy w bycie

pierwotnej stałości rozumu, w zamierzonej racji mojego prześladowcy z rodzinnego listu.

„ Dziad zdrowy  
niepotrzebnie umarł” .

I znów Wiece mijana na maksymalnej prędkości i znowu ten smutny pejzaż ornej ziemi z

odchyleniem na cały horyzont sukś języka tych zaprzyszłych i przyszłych ludzi, którym muszę

zniszczyć mityczną historię, oswobodzić swój daleki cel z parszywej drobiazgowości egzystencji,

tak samo, jak to zrobiłem z diwą tego krńśbrnego pętaka, który myśleli, że zbawi ludzkość

wspólnym korytem i tak dalej. Pamiętam bardzo dobrze ten wieczór, dzień imienin ojca

w kameralnym gronie współkolegów o sfałdowanych wapiennych twarzach, którzy mają za

sobą pokorną drogę kariery i czegoś takiego, jak odzyskana widoczność swego miejsca na

ziemi, ale takiemu szczyłowi wydaje się to strupieszalną fasadą, niech mu będzie, w każdym

razie powiadam sobie, że ich rozumiem. Było też kilku wychowanków ojca, którzy jeszcze

nie mają znaczenia w oświatku nauki, lecz za parę lat kwestia ta będzie załatwiona in plus i

wtedy. Któryś z nich zaczął mówić o szatanie Baudelaire'a, widocznie chciał się przypochebić

ojcu, który pasjami czytuje poezje, być może jest to fajne w dwudziestym roku życia, ale

w pięćdziesiątym zaczyna być niebezpieczne, i ze wstydem słuchałem duszoznawczej gadaniny

starego, która podkopywała jego autorytet socjologa i tak dalej.  
Nie mogłem tego znieść  
i wymknąłem się do swojej części mieszkalnej z butelką  
wyborowej, do bezprzestrzennego  
gabinetu, który miał być dzieciennym pokojem, lecz stał się mým  
niezawinionym więzieniem,  
ponieważ nigdy nie będę miał dzieci, nigdy moja żona nie zobaczy  
w moich oczach wzruszenia  
i tej odległej reszty, która nazywa się ojcostwem lub czymś  
podobnym. Wlewałem w siebie  
alkohol miotając się jak osaczony zwierz, podnosząc za szerokie,  
stanowczo za szerokie  
łapy do góry, kląc i mówiąc przekłętą maro, która czynisz moje  
noce nikczemną igraszką  
zmysłów, zniknij, wyparuj, pozostaw mnie spalonej samotności,  
udaremnij wreszcie absurd  
mej ómiesznej wiary w bożą Sprawiedliwość. Dlaczego  
przychodzisz do tego domu co dzień  
piękniejsza, z obietnicą na pięknych wargach niezwyklej  
pieszczoty, którą ten pętał przyjmuje  
jako coś normalnego, nienawidzę cię, nędzo moich złudzeń,  
pozostaw mnie, zniknij,  
odczep się od niego, od nas, od spasowanej karty, którą gramy o  
rzeczy najwyższe. Ach,  
gdzież ten sztylet, żebym mógł nadzieć nań swoją jednorodną  
niepewność! Czy ktoś  
to słyszy?  
I tak powtarzałem to coraz bardziej pijany, przeklinając wszystko i  
wszystkich, zapominając  
o stoickim ucemiechu Pascala, choć zawdzięczałem mu niejedną  
chwilę spokoju, ale nie  
mogłem, nie mogłem opuścić swego mętnego wzroku na tę  
bezwzględną pewność wstpliwości  
i dopiero głóony ómiech tej diablidy przywrócił mi ówiadomość  
chwili. Dobiegał

zza ociany,  
z jego pokoju i pomyœlałem z tœpym zdumieniem, Œe on jest moim  
bratem, którego powinienem  
przynajmniej szanowaœ. I chciałem, o BoŒe, chciałem bieœ do  
niego z wyciœgniœtym ramieniem, z najczulszym sœowem, z pokornœ  
przyziemnoœciœ mojego serca, której siê nie  
wypieram, bo dlaczego, dlaczego miaœbym uwaŒaœ siebie za  
geniusza, nigdy nie myœlałem o  
sobie w granicach takiej niewymiernoœci, i pomyœlałem  
Juliuszku, Juliuszku, przecie jesteœmy  
z jednej matki, z jednej krwi i powinniœmy ujarzmiœ swœj czas,  
nie rœbmy gœupstw, precz z  
nienawioœciœ i tamœ gniewu, precz ze zniewolonym gadaniem,  
kiedy moŒemy Œyœ jak normalni  
ludzie, zostawmy to pismakom i filozofom, chciałem, o BoŒe, ale  
jego nagœy doœiœzny gœos  
podciœł mi nogi. Bo mówił chrapliwie i obojœtnie.  
„ Ryszard to impotent. Rozumiesz?”  
„ Bzdura” .  
„ To impotent, gœupiec i nikczemnik, który za forda sprzeda Boga i  
diabœa, jeŒeli chcesz  
wiedzieœ. Ja go znam. To czysty dorobkiewicz” .  
„ Nie gorszy od ciebie” .  
„ Suka” .  
„ Zabraniam ci do mnie w ten sposœb. Zabraniam ci” .  
„ Dobrze. Nie chodzi o niego. To pchœa. Ale twoja gra z ojcem  
mnie œmiesz.

Widzisz,  
dziewczyno, mœj stary zasœuguje na coœ lepszego niŒ bujne œono  
dwudziestolatki.

I pamieœtaj,  
jeŒeli go bœdziesz prowokowaœ...”  
„ Cha! Cha! Cha!”  
„ Stul siê. Proszê ciê. Stul siê. I nie zgrywaj siê na wampa. Istnieje  
coœ

takiego jak przyzwoitość,  
która uszlachetnia jednostki” .

„ W wydaniu twojej teorii. Być przyzwoitym oznacza cierpieć i  
przygotowywać się do długofalowych  
czynów, które będą przypominać rewolucję, ale nie będą  
rewolucją. Dziękuję. To nie dla mnie” .

„ Gabrielo, Gabrielo. Nic nie rozumiesz. Tyle razy ci tłumaczyłem,  
że rewolucja jest spełnioną  
manifestacją woli wolnego świata, natomiast każdy czyn  
indywidualny to zdeterminowana  
tyrania umysłu. Czy jesteś aż na tyle głupia, aby różnicę brać za  
sumę? Dwójka z rachunków  
kochanie” .

„ Wiem dobrze, o co ci chodzi. Elan vital kłusujśca bez portek.  
Cha! Cha! Cha!”

„ Gdzie to wyczytałas?”

„ Gdzieś tam. Pić mi się chce. Słyszysz?”

„ Wiem. Ale chciałbym, żebyś przez chwilę była czysta tak jak  
Kordelia. Moralnie oczywiście.

Dobrze?”

„ Bzdura” .

Przylepiłem się nieomal do ściany. Przylepiłem się, powiadam, do  
tych głosów jak modliszka

do samca i zżerałem każde słowo. Po prostu zżerałem. Co za  
Kordelia? Jaka czystość?

Czyż nie wystarczała mu fizyczna obecność tej dziewczyny, jej  
nie rozszyfrowane oddanie, to

znaczy, miałem nadzieję, że nie rozszyfrowane, oddanie przecie  
uwidocznione na każdym

kroku, z którego chciałem już ustrzelić dla swej męskiej potrzeby,  
nie jestem wybitnym znawcą

takich potrzeb, specjalnie nie odczuwam braku bujnego seksu,  
moja żona zaspokaja mnie

całkowicie, dajśc mi raz na tydzień po ostatnich wiadomościach  
dziennika telewizyjnego, i



natychmiast zasypia snem zapracowanej, zmęczonej Polki, co  
napawa mnie smutkiem i utajonš,  
bardzo utajonš satysfakcjš, że mam ochotę doładować jej jeszcze  
kilka lewych na szczękę,  
aby się już całkowicie utożsamiła z tš swojš niezwykłš pracš w  
laboratorium fabryki włókien  
sztucznych, więc rozumie się, że chciałem wreszcie skosztować z  
zakazanego drzewa, a będšc  
z wykształcenia biologiem widziałem bardzo dokładnie rozrodczš  
siłę mojego marzenia,  
mojej oczywistej krzywdy, którš ten pętał œmiał znieważać  
iloczynnym bełkotem słuchanym  
przez tylu ludzi z dobrotliwym wyrozumieniem, że byłem gotów  
ich powyduszać własnymi  
rękami. Bo czyż można być porzšdnym człowiekiem i żyłowanš  
gšbkš, na którš spada strumień  
œnieźnobiałej œliny chorego intelektu, intelektu wydajšcego  
siebie na pastwę samounicestwienia,  
Uznaniu Utopii za Palec Losu, w Œwiętych, Wspólnym Rozumie,  
w Narodowym Byciu Ludzkoœci i tak dalej. Czyż sš to fałszywe,  
straszliwie fałszywe mity tej zgnojonej  
przez ich brak epoki, którš ten pętał sšdzi, jak powiada, z  
ogromnym żalem i nadziejš? O, ja  
wiem, dobrze wiem, do czego zmierza to całe gadanie, ten cały  
umiejętnie podsycany niepokój  
wrażliwych młodzieńców, których oburza technokratyczny  
wzorzec ideałów.  
Pamiętam,  
jak stary kumpel ojca, profesor R., wpatrywał się w Juliusza z  
osłupieniem, kiedy wykładał  
mu prawa rzšdzšce Spontanicznš Nieœwiadomoœciš Celów, które  
pozwolš uniknš wojen,  
rzezi, dopełnienia gatunku przez realne zaprogramowanie przekazu  
rodzaju, jak okulary zjeżdżały  
mu coraz niżej, gdy ten lisek– chytrusek poczšł wtajemniczać go w

ideowe pomyłki oraz naiwne chęci pismaków, którzy nie rozumieli, na czym polega Prawdziwa Wielkość

Państwa, Solidna Nadbudowa Istnienia, Milczące Szczęście Mas, jak opadł na fotel z głuchym

westchnieniem i powiedział z nie ukrywaną odrazą. „ To znaczy, panie dziejku, że globalna

wioska. To znaczy, to i moja myśl jest nieważna, he? To jaki ze mnie będzie profesor

bez własnej myśli. No jaki, panie dziejku?”

Teraz jej niski piersiowy głos uderzył w moje uszy szybkim chaotycznym tam– tam i przylepiłem się do ściany jak karaluch.

„Tobie się wydaje, że ja twego ojca. Może i tak. Może i chcę go mieć, ale nie tak, nie tak,

jak sobie myślisz. Wszyscy jesteście zwariowani. I ty, i ten Ryszard, i tamten dziad na tej

Wsi, który mnie normalnie łapie za kolana, normalnie mnie. Co za ćwiństwo!”

„ Dziada nie ruszaj, kochanie. On jest ponad tym bagnem. Zresztą nasze sprawy rodzinne

nie powinny cię obchodzić. Wystarczy, że mnie kochasz” .

„ Nie wiem” .

„ Co nie wiem?”

„ Właśnie nie wiem, czy cię kocham?”

„ Ależ kochasz, kochasz. Jesteś teraz wściekła, ale na pewno masz mnie chociaż przynajmniej

za swego chłopca. Musisz mieć” .

„ Muszę?”

„ Oczywiście. Kiedy Ramzes– Psychiczna Równowaga polecał cię mojej skromnej osobie,

byłaś dobrotliwą kotką. A teraz jesteś groźną lwicą. Czyja to zasługa, jak myślisz?”

„ O Boże. Co za infantylizm” .

„ No, dociec tego. Wiesz, że doceniam inteligencję kobiet wtedy i tylko wtedy, gdy mają do

zaofiarowania tron lub ogród rozkoszy. Ty jak na razie (a chyba i

zawsze), będziesz miała

tylko to drugie i dlatego powinnaś gorąco pragnąć podobieństwa  
ze szlachetną Kordelią. Mój

brat i mój ojciec będą oczarowani. Będą bardzo pokrzepieni na  
swym okaleczonym duchu,

który gotuje im marną śmierć. Domyślasz się jakś?”

„ O czym ty mówisz, Juliuszu? O czym mówisz?”

„ Przecież słyszysz. Sfera fałszywych wartości. Ale teraz to nie  
jest ważne.

Chodź tutaj”

„ Nie mam ochoty” .

„ Oczywiście masz. Jesteś tylko wściewka i pocałunek  
między...”

Reszty nie mogłem usłyszeć, bo chichot i tak dalej. Czułem się  
podłe nie dlatego, że podsłuchiwałem.

Nie uważałem takiego pętaka za partnera, więc mogłem nie  
przebierać w ośrodkach.

Ale ta pogarda, ta pewność, że tylko ja, tylko ja wiem, co w  
trawie piszczy. To było nie

do zniesienia. Zniszczyć mu coś, pomyślałem nagle. Choćby to  
głupie marzenie o jakiejś tam

szlachetnej Kordelii. Choćby to. Wypiłem prosto z butelki, bo  
paliło mnie to pragnienie jak

rozżarzona stal. Choćby takie małe gówno, a będę szczęśliwy.

Zszedłem na dół.

Na tych przyjęciach ojca to alkohol był pierwszorzędny i godny  
każdej genialnej głowy, że

mogłem w zasadzie spokojnie myśleć nad tą bezmyślną historią,  
która mnie oczekuje na

przedpolach wrażeń, tak to mniej więcej widziałem, jako  
emocjonalny zew zemsty, żadne

wyrachowanie, żaden cynizm, na który mnie nie stać, nie wiem  
nawet dlaczego, chciałem

przyhaczyć ojca o pewną rzecz, ale był podpity i gadał o tym  
swoim Starym Poecie, który coś

tam miał do czynienia ze słońcem, nie interesowało mnie to i  
objałem się między zupełnie  
nieznanymi ludźmi oblegającymi bufet, nawet moja żona była  
czymś ubawiona i jej końska  
twarz nabrała rumieńców, z tęym zdumieniem pomyślałem, że  
tyle wlałem w nią spermy, a  
ona ciągle jak te niegdysiejsze gwiazdy, choć jeszcze trzy lata  
temu sądziłem inaczej, trzy lata  
temu, mój Boże, jak to brzmi, jaki ma dźwięk ta bezwzględna  
przemijalność uczuć, którymi  
mogłem obdarzyć najpiękniejszą kobietę świata w tej  
czasoprzestrzennej ufności miejsc,  
gdzie bywalimy narzeczeństwem, zaklinając swą miłość w  
porywie spełnionej wiary, gdzie  
chcielibyśmy ujrzeć zjawisko odnawianego upojenia niebieskim  
firmamentem, zdając się być  
jego twórcami, gdzie rzeka naszej bezsensownej gadaniny zbroiła  
duszę ziemi w wizerunek  
wiecznej matki, unosząc na swojej bolesnej fali rozkwitającą pieczęć  
odnalezionych rozbitków,  
trzy lata i proch, cmentarz, skończona odyseja przed wejściem na  
okręt żywiołu.  
Poszedłem  
do gabinetu ojca i tutaj natknąłem się na profesora R. Siedział w  
cieniu lampy suchy, wiórowaty,  
w ciemnych szklach, które odpychały swym zimnym blaskiem,  
podejrzewam, że lubił  
tego rodzaju rzeczy, jak Otchłań Bytu, Cyple Osobowości,  
Zdeterminowany Sens Pracy Rozumu  
i tak dalej. Chciałem zniknąć, ale powiedział chwileczkę,  
Ryszardzie. Nie bawisz się?  
Nie, odparłem. Jakoś tak. Rozumiem, powiedział. Jak twój  
przewód? Zresztą nieważne. Zaskoczył  
mnie ton jego głosu, bezosobowy, rozmyty w nieokreślonej  
gradacji smutku, że usiadłem

jak automat i wbiłem oczy w te zimne szkła. Po chwili powiedział z upiornym, drętwym

ucemiechem. Niedługo umrę, Ryszardzie. Czy lubisz swoją pracę? Tak, odparłem z wysiłkiem.

Ale panie profesorze. Cicho, uderzył niecierpliwie ręką o biurko. To nie ma nic do rzeczy.

Jestem uczonym i odpowiadam za każde słowo. Rzecz tylko w tym, panie dziejku, że byłem złym uczonym. Jego drętwy, upiorny ucemiech błędził po wskich wargach bez celu, bez celu.

A wiesz dlaczego? – zapytał nagle. Dlatego, że uwierzyłem w abstrakcję, w siłę symbolu, w to co nie ma jeszcze nazwy, ale co wpędzi to stulecie w kiel. Słuchasz mnie?

Tak, powiedziałem.

W kiel, powtórzył dobitnie. I mówi to miłośnik Conrada i więzień koncentracyjnych obozów. Czy to nie dziwne? Bardzo dziwne, powiedziałem. Ale panie profesorze.

Oczywiście, że nie od razu, mówił jakby nie słyszał mojego szeptu. Nie od razu nastąpi ten

kres, który wzdragało się uznać moje sumienie. Przy pozorach kosmicznego zwycięstwa, to

my jesteśmy zwyciężeni. My, ludzie, deptający białe włosy Boga. Nie mówię jako egzystencjalista,

nigdy zresztą nie ceniłem logiki absurdu, ale jako stary obywatel świata. Bo uczony

jest obywatelem świata, zapamiętaj to sobie, Ryszardzie. Jest jak człowiek morza, który goni

za swą poznawczą chimerą nie wierząc do ostatnich chwil w jej tragiczną maskę.

Białą tuan

w szponach tajemnicy. Czy mnie rozumiesz, Ryszardzie? Nie bardzo, powiedziałem.

Jestem

specjalistę od platanu i nie mam czasu na tego rodzaju sprawy. Ale  
wiem, panie profesorze,  
wiem na pewno, że chciałbym zrobić coś wielkiego, coś, co by  
mnie w jakiś  
sposób. Brak mi  
słów, ale włączenie w tym upatruję. Nic nie zrobisz, przerwał mi  
ostro. Liczy się kolektyw, instytucja  
i co tam jeszcze. Sędzisz, że myślemy nie próbowali? Och, to był  
wręcz wymarzony start, te zburzone uniwersytety, ten lęk przed  
ciemnicą od przypadkowej kuli, to wszystko co  
się wtedy nazywało Wyzwolenie Polski. Mijam granicę lat i widzę,  
że to cięgle początek, że  
to dopiero prosta, z której trzeba dokonać skoku w nieznane. Nie  
wiem, powiedziałem. Nie  
interesuje mnie przeszłość. Ja, panie profesorze, jestem facetem  
konkretnym i jak nie pomagam.  
I złocenie mnie czasem bierze, że nie mogę wszystkiego. Dobrze,  
powiedział szybko, ale  
już bez tego drętwego, upiornego uśmiechu. Dobrze myślisz.  
Lecz sumienie i honor to filary  
naszej poznawczości. I gdybyś zrozumiał, że nie jestem  
sentymalny i nie prawię morałów,  
że chcę cię normalnie uchronić przed powtórzonym  
doświadczeniem. Nieważne jednak. Ale  
panie profesorze, powiedziałem, ja doskonale pojmuję. Przerwał  
mi krótkim niecierpliwym  
gestem i cała jego wiórowata postać skurczyła się w kręgu  
ciemności jak, jak.  
Opuszczam go  
zupełnie ogłupiał i z tępyim zdumieniem popatrzyłem na  
rozdokazywane towarzystwo. Cholera,  
pomyślałem. Muszę coś zniszczyć, bo zwariuję. Ta Gabriela  
siedziała przy ojcu i wpatrywała  
się w jego maskę bez porównania lepiej niż Sfinks w swoje ofiary,  
choć on był

zatoniony w głocnej medytacji nie gorzej od wyznawców jogi i  
szerokš łapš zakreœlał  
centrycznš  
perspektywę tematu. Rozejrzałem się za tym pętakiem, ale nie było  
go. Moja żona trzymała  
za kark jakiegoœ cherlaka, jednego z tych licznych gniewnych,  
którzy chcš robić rewolucję w  
kulturze. Chandra dusiła mi pierœ, nieoddalona rozpacz chwyciła  
mnie w swoje kleszcze i  
ciężki, kamienny cień samotnoœci padł mi na oczy. To  
niemożliwe, pomyœlałem.  
Niemożliwe,  
abym się tak rozmazał. Przecież mam stanowisko, zdrowie i tak  
dalej. Przecież nie jestem  
romantykiem i nie dam się wziść pod włos jakiegokolwiek  
frazologii. To dlaczego, dlaczego?  
O, przekłeta maro, zniknij, wyparuj, pozostaw mnie tej spalonej  
samotnoœci, która mnie  
wreszcie przytłoczy i stoczy w metażycie.  
Zatrzymałem wóz przy jakiejœ brudnej rzeczce i ruszyłem  
brzegiem, powiadajšc sobie, Ryszardzie,  
te wszystkie wsie, które mijaleœ, nie sš warte jednej twojej łzy,  
jednej twojej rozsšdnej  
myœli, poniewaŸ brak im uœwiadomionej pełni swego losu, tej  
historii, która wyzwala klasy  
ku brzemiennej wielkoœci, brak im drogocennego przywileju  
wybrañstwa, choœ wszyscy  
jestemy nieodrodnymi pędami ziemi i moŸe dlatego tak łatwo  
niszczymy własne korzenie.  
MoŸe dlatego. Szedłem pod słońce, które biło w oczy swš  
ultrafioletowš nocnoœciš, swš  
energiš œmierci, i widzialem własny kadłub unurzany w kale  
grzechu, rozpołowiony na kilka  
zimnych punktów gasnšcych i pojawiajšcych się na powierzchni  
jak marzenia Chrystusa. Nie

opodal chłop bronował kartoflisko, siedł za końskim zadem  
krokiem holenderskiego oracza i  
mimowiednie popatrzyłem w górę, ale tragiczna przestrzeń była  
pusta i głęboko milczsca,  
zapomniana przez własną bezkonfliktowość, uciszona swą  
przedmiotową nicotą, że krzyknęłem  
z bolesnym ośmiechem. – Grecjo, Grecjo! Gdzież się podziały  
heroiczne czasy?! I poczułem  
się podle, stokroć gorzej niż po intelektualnych wymiotach,  
ponieważ jestem przeciętnym  
człowiekiem i nie mogę, siłą faktu nie mogę żyć tylko informacją,  
poczułem się opuszczony i opluty przez poczwarowego Anioła Ziemi,  
który wleje mi kiedyś w ucho czarny  
hebenon, i pomyślałem z ociężałym zdziwieniem, że nie mam  
wpływu nawet na lot komara.  
Zszedłem na brzeg brudnej niszczscej wody i przetarłem twarz.  
Miała smak nieugaszzonego  
konania.  
Ssędzę, iż to się stało bez udziału mojej woli, tak myślałem, choć  
powiadam sobie, Ryszardzie,  
nie jesteś na tyle głupi, aby nie stać cię było na drobne oświństwa,  
więc nie tłumacz siebie jako  
narzędzia Północnej Duszy, ponieważ pychami słowiańska nie jest  
twoją domeną, ale tego  
pętaka, którego mógłbyś ostatecznie. Nigdy, Ryszardzie. O, nigdy  
ten sztylet nie zniknie w  
cieniu twego wzroku. I dlatego nie mogę uważać siebie za  
winnego, bo, jak powiadam, winna  
tutaj może być jakaś Wyższa Kategoria Moralnej Przemocy,  
której nie rozumiem i nie chcę  
rozumieć. Doskonale wiem, że ojciec skończył swój gadatliwy  
medytację i przez moment  
trzymał swą szeroką łapę na udzie tej diablidy, która wręcz  
zanosiła się niskim piersiowym  
spazmem, gdyż nie był to ośmiech, w żadnym wypadku nie



przypominał ludzkiego rechotu,

stałem blisko i widziałem jej rozszerzone Ÿrenice, dławiał mnie ich zielony pretensjonalny kolor

i nie wiem, jak to się stało, że zacząłem jej wtórować, mój ryk przypominał

podrażnionego

lwa, który trwał do chwili wœciekłego szeptu ojca.

„ Ryszardzie, opamiętaj się” .

„ Dlaczego, powiedziała ona. Lubię homerycki œmiech. A pan nie?”

„ Pani, powiedział ojciec. Istnieje również i sens homeryckiego œmiechu. Ten sens można

lekceważyć, ale nie wolno z niego kpić. Pani, jestem wolnym człowiekiem i przeżyłem już

tylko rodzajów œmiechu, lecz zawsze miał on swą wagę, zawsze był, jak mówi Stary Poeta,

siłš namiętnoœci” .

„ Co ojciec przez to rozumie? – zapytałem” .

„ Wielkie mity narodów. Gilgamesz, Kalewala, tragedie greckie i oczywiście Homer.

Ale

uwaga dla czytelnika. Mity narodów niszczy kłamstwo literatury, czyli zdechłš dosłownoœć

prozy. Pani, zostaliœmy uformowani przez ich capiokš wielkoœć, która zawiera tak mało

prawdy o naszym człowieczeństwie, że nie waham się jej oddalić. I tu uwaga dla czytelnika.

Oddalam kłamstwo literatury w mrok ziemi, aby na jej prochach zakwitło nowe Słowo. Gdybyœcie

wiedzieli, jak w naszych czasach jest ono potrzebne. Stary Poeta był

przekonany...”

„ To puste gadanie, panie profesorze, powiedział ktoœ. Na hołotę potrzebny jest bat” .

„ Nigdy, krzyknł ojciec. Cóż pan sobie wyobraża, miody

człowieku? O, pani, zwrócił się

do Gabrieli M., ja nigdy nie sǳdziłem prawdy i godnoœci ludzkiej,  
ale kiedy mówiœ mi o babie,

ogarnia mnie smutek i przeraŹenie. MoŹe dlatego, Źe moja rzetelna  
chłopskoœć nie moŹe

przejœć obojœtnie nad cierpieniem, moŹe dlatego tak głęboko  
tkwiê w bycie, który nieodmiennie

wyzwała siê z logiki absurdu, moŹe dlatego chcê...”

„ Dobrze, dobrze, mój stary, przerwałem. PiŹdziesz siê, bo zaschło  
ci w gardle.

Twoje  
zdrowie” .

Był juŹ pijany i jego szkliste oczy osnuła mgła łez, płacz liberała,  
pomyœlałem, za demokracjǳ

i wyŹszǳ fazǳ rozwoju socjalizmu, a niech to diabli, do czego moŹe  
doprowadziÊ ta

przekłeta wiara w poznanie, pochyliłem siê nad jej karkiem i  
powiedziałem z siłǳ namiêtnoœci,

która jest wielkim mitem narodów.

„ Słuchaj. Chcê z tobǳ porozmawiaÊ i tak dalej. Co?” .

„ Nic, odparła. Wal” .

„ Tutaj nie, powiedziałem. Wiesz dobrze, Źe tutaj nie” .

„ Wal, powtórzyła. Albo odpieprz siê!”

„ Jesteœ piękna, powiedziałem. Ale wolałbym jednak poza tym  
domem. Słyszysz!”

„ O, pani, zaczęła parodiowaÊ bełkot starego, zostalioemy  
uformowani przez fikcjê, i tutaj

uwaga dla czytelnika, którǳ trzeba oddaliÊ. Tak, pani. Wszystko  
trzeba oddaliÊ, aby nowe

słowo zakwitło w tych sralistych czasach” .

„ Nie wrzeszcz, powiedziałem. Przyniosê alkohol. On nie  
kłamie” .

Pobiegłem do bufetu, nalałem dwie Źytnie i wróciłem do jej  
lubieŹnego spazmu, który dygotał

w zasmrodzonym powietrzu jak dorodna gałǳ nadziei. Piliœmy

szybko, z napiętsz czujnoœciš

w œlepiach, biegałem jak opętany z wódkš klnšc w męzcšcym  
porywie krnšbrny realizm,

wreszcie miała dosyć, wyprowadziłem wóz z garażu i  
zapakowałem jš rozœpiewanš i całkowicie bezwolnš. Nie wiem, skšd  
stała przed maskš żona z tym cherlawym błaznem i

zaczęta mi wygrażać, byłbym jš rozjechał jak kurę, ale uskoczyła.  
Jechałem bezwzględnie

uważnie, choć łeb mi pękał od nadmiaru, ale jechałem z dziwnš  
œwiatłoœciš w oczach i z tępym

zdumieniem powtarzałem. – Zerznšc, zdeptać i oddalić. O, Boże,  
choćby tylko to jedno,

a wykupię trzysta dni odpustu, będę przez dziewięć miesięcy leżał  
krzyżem i tak dalej. W tej

sekundzie naprawdę wierzyłem w Boga, kręciłem się po ulicach,  
nie wiedzšc gdzie i jak,

wreszcie wyrwałem za miasto i zjechałem na polnš drogę,  
zgasilem wóz i wywlokłem jš na

zewnštrz, położyłem na ziemi i zacząłem zdzierać szmaty i wtedy  
poczułem jej pazury, ty

diablico, krzyczałem, zabiję, zniszczę. Broniła się, ale przez  
chwilę, i ciężka rozkosz zdławiła

mi serce. PóŸniej zwymiotowała mi na twarz, ale to juź nie miało  
znaczenia.

Kiedy wróciłem, przyjęcie było skończone. Przechodzšc przez  
wypluty pokój natknšłem

się na matkę. Cały wieczór jej nie widziałem i teraz wiotka postać  
w batystowej nocnej koszuli,

z rozwianym włosem przykuła mój wzrok jak pęknięta trumna. Nie  
dosłyszala moich kroków i pomyœlałem, że coœ tu jest nie w porzšdku.

W głębi dostrzegłem ojca, który spał z

otwartymi ustami. Matka teatralnym gestem wycišgnęła rękę i  
zaczęła przeklinać jego imię.

Stałem jak skamieniały, bo nigdy naraz nie slyszalem tylu  
plugawych przekleństw, takiego

nienawistnego klekotu, że ostateczność gwałtu wydała mi się snem. Nie chciałem nie tylko

jej, ale nikogo słuchać i oglądać, i z pośpiechem przeszedłem do swej mieszkalnej części.

Otworzyłem drzwi sypialni i wieczna nagość smagnęła mi oczy. Chwilę patrzyłem na tę bezwstydną

królową świata i wydawało mi się, że na pewno nie jestem niczym więcej jak nędznym

aktorem na nędznej scenie życia. Zostawiłem już w tym radosnym bezruchu i jak ślepiec

wlazłem do gabinetu, który miał być dziecinnym pokojem. Stałem długo przy ścianie, która

dzieliła mnie od tego pętaka, bezmyślny i ogłupiony. Później automatycznie, jak nakręcona

zabawka, zbliżyłem się do lustra i z tępyim zdumieniem zobaczyłem swoją ohydny twarz oblepioną

śluzem i łzami. To nic, pomyślałem z wysiłkiem. To tylko stulecie śmierci i pęknięta

trumna. To naprawdę nic.

Następnego dnia wstałem późno, żony już nie było, na pewno siedziała w tym swoim laboratorium

fabryki włókien sztucznych i prowadziła te nieczyste analizy w czystej wierze, że

służy Ludzkości w sposób nie dający się opisać, leżałem jak oczadzony, nie wiem, ile to

trwało, w każdym razie, kiedy zwlokłem się do telefonu, aby zadzwonić do Instytutu, że nie

przyjdę, było południe i matka z niespotykaną zjadłością jeździła odkurzaczem.

Burknęłam

dzień dobry, oczywiście nie słyszała lub nie chciała słyszeć, chwilę patrzyłem na jej wiotki,

prawie chudy kark i przemknęło mi przez głowę, że w zasadzie nic o niej nie wiem. Chciałem

już spytać o to nocne misterium nad śpiącym ojcem, lecz nie

miałem siły otworzyć gęby i  
powlokłem się do kuchni za czymś orzeźwiający. W lodówce  
znalazłem piwo, usiadłem  
przy stole i bezmyślnie wpatrywałem się w duży palec u nogi, był  
niezwykły i przypominał  
łódź podwodną z peryskopem chciwie szukającym wyraźnego  
punktu, nie wiem, dlaczego  
skojarzył mi się z łodzią podwodną, to bezsensowne, ale tak jakoby,  
że odczułem łęczność  
przyjemność i cały ten peryskop wydał mi się godny celu, o Jezu,  
powiedziałem, Ryszardzie,  
miej poczucie rzeczywistości, na której się przecie jako tako  
znasz, i natychmiast wstałem i  
zaczęłem zduszonym głosem mówić, o, maro przeklęta, która  
otaczasz mnie sztyłem winy i  
płachtą zemsty, ty, która jesteś moim niezawisłym sędzią, co  
prowadzisz mnie w podróż  
namiotów wypełnionych plazmą mózgow moich wrogów, których  
wykańczam w zbrodniczych  
snach, ponieważ jestem porządnym człowiekiem, i nie pozwolę,  
aby mędrześć, prawda i  
godność ludzka były zdeptane, nie pozwolę, o, Jezu, na co  
wreszcie nie pozwolę, dlaczego  
moja dusza się wzdraga. Cha! cha! cha!, dlaczego tak schodzę,  
ciężko na nie wiem jak, jak.  
Won mi z oczu, pęta! Won! won! Wybiegłem z kuchni prosto  
na, piętro, prosto w drzwi  
jego pokoju, które otworzyłem silnym szarpnięciem i krzyknąłem  
cepley z bólu i wściekłości.  
„ Wykonano. Jesteś ująony przez impotenta. Cha! cha! cha!  
Wykonano, pęta! ” .  
Leżał w  
skotłowanej pociecielił spoglądał na mnie jak zawsze. Z  
pogardliwym uśmiechem. W  
porządku,

pomyœlałem. Bóg mnie jednak nic opuszcza. W porzŹdku. I dobitnie powiedziałem.

„ Miałem twojŹ Kordelię. Drut i te rzeczy. Słyszysz?”

Nareszcie, o, nareszcie ten pogardliwy ucœmiech spopielił mu twarz, podniósł się i chwycił

mnie za gardło, ale to był gniew pęta i strŹciłem go jak wesz, stękał jak bite bydłę, kiedy

dopowiedziałem jeszcze parę plugawych wyrazów, zostawiłem go z tym głuchoniemym charkotem

i poszedłem do biblioteki, miałem w głowie dziki, nieokiełznany zgiełk i z furiŹ zacząłem

rozwalać półki, deptałem swojŹ własnŹ duszę i krzyczałem z niepowetowanŹ rozkoszŹ.

„ Œmierć pismakom. Niech się który ocœmieli mi zabronić i tak dalej. JuŹ was widzē, nieszczęsne

istoty, widzē waszŹ potężnŹ paszczę, z której nieprzerwanie wylewa się lawa sztucznego Źycia. Do mnie, Kwiryaci! Do mnie, bracia Ozyrysa! BliŹej, chytry Helleni! Moja

nowoczesna dusza czuwa nad waszym œwietlistym prochem. Ale chciałbym was tak w tajemnicy,

z szelmostwem króla dziesięciu palców zapytać o niejakiŹ kurwę Kordelię.

Słyszycie

mój głos? Czy moŹe w ogóle coœ takiego nie istniało? O, Kwiryaci, czyŹ nie puœciliœcie z dymem

aleksandryjskiej mateczki, poniewaŹ œwiat potrzebował boskiego odkupienia i tak dalej?

Ale słuchajcie, słuchajcie mnie choœ wy, szanowni panowie.

Źyjemy w czasach ogromnych

nadziei i zaprzeszłych Źudzeń. Szaleństwo stało się normŹ sensu, a sens stał

się metodŹ szaleńca,

ziemia pochłoneła piekło, sztuczne tworzywo cud i własna krew obróciła się w pierwiastek

z ja. CzyŹ o tym ocœnili wasi filozofowie? Jak to wreszcie jest,

szanowni panowie, że

nie płaczę nad sobą, ale wami? Gdy Mickiewicz w porywie nie spełnionego poznania chciał

zabawić polski lud. Nigdy, panowie. To tylko fałsz, fałsz, fałsz” ...

„ Ryszardzie, ależ Ryszardzie!”

Ojciec stał przede mną i na jego białej masce czaił się nie ukryty strach.

Załamywał ręce w

niepohamowanej wzniosłości rozpaczy i z przerażeniem spoglądał na zdeptany świat druku.

Poczułem wręcz fizyczną odrazę do tej obcej, zimorodnej mordy.

„ Stary błędnie, ryknąłem. Czy słyszałeś o jakiejś kurwie Kordelii lub czymś

podobnym?

O, Boże. Serce mi pęka” .

„ Ależ Ryszardzie. To postać szekspirowska. Lecz co ty wyprawiasz, mój synu! Co ty wyprawiasz?”

„ Nie wiem, powiedziałem z tępym zdumieniem. Już nic nie wiem” .

Przez moment czułem, jak cały unoszę się poza swój wymiar, w jakieś niestworzone morze

czystości i zapadam w kojący sen, który mnie wreszcie zabierze z tego gniazda udręki.

Ale to był fałszywy omam. Nigdy przecież nie istniało żadne morze czystości i z pokornym

zgięciem karku wróciłem w swój krótki realizm.

Gdy opuściłem brzeg, chłopca już nie było, tylko pas zbronowanej ziemi świadczył

o jego

pobycie, pomyślałem z ociężałym zdziwieniem, że mogłem z nim porozmawiać o wiecznej

energii słońca, siadłem do wozu i z miejsca ruszyłem z kopyta, ale wieczna energia podsunęła

mi pod oczy niewidzialny fragment mojej tęsknoty za niszczycielskim dokonaniem, która

mnie wyniesie ponad to stulecie œwiñ, i zacząłem klnŃc z  
wywaœonŃs dokładnoœciŃs, z nieoczekiwanŃs  
determinacjŃs zaprzepaszczonego celu, którym było rozbitcie tego  
pętaka, lecz niestety, niestety zbliŃzyłam siœ do Wsi na maksymalnej  
prœdkoœci, aby znów złŃczyŃc siœ z  
ojcem i resztŃs, zadawniŃc drapieżny czas, oznajmiŃc im, Ńe gwizdŃc  
na ich sówiañskŃs pychŃc i  
odchodŃc w stronŃc prawdziwych ludzi, dla których industria  
Pañstwa jest potŃgŃs ducha i tak  
dalej. Byłem spokojny, całkowicie spokojny i nawet smak  
nieugaszzonego konania wydał mi  
siœ sennym widziadłem. Jak to wszystko, co trzymało mnie w  
szponach rodzinnego listu.  
„ Dziad zdrowy  
niepotrzebnie umarł”

## VI

Trupy i padlina wymagajŃs starannego grzebania. Ze wzglŃdu na  
zarazŃc.

Profesor uœmiechnŃs siœ wymuszonym, roztargnionym  
uœmiechem i niezrŃcznie klepnŃs po  
ramieniu Michała GiemzŃc, z którego przepastnej piersi wyleciał  
ciŃŃki schorowany chichot i  
œciŃs twarzŃc w izbie w jednorodnŃs, połyskliwŃs maskŃc lŃku. Za nim  
stało dwóch czerstwych,  
silnych chłopów i z beztkliwym smutkiem wpatrywało siœ w  
przestrzeñ. Obydwaj stanowili  
dorodne egzemplarze dobrobytu Wsi i Juliusz pomyslał, Ńe jest to  
wilcze gardło jego  
Wszehziemskiej ideologii.  
– Przyprowadziłem kupców – krzyknŃs wesoło Giemza. – Co ty  
na to, Jaceku? Kupców niebywałych.  
Oj, niebywałych juŃ na tym œwiecie.  
– ProszŃc, panowie – powiedział Profesor. – ProszŃc dalej.  
Chłopi z wyraŃñs niechŃciŃs zajmowali miejsca na trzeszczŃcym



łóżku okrytym brudnym,

wyszmelcowanym kojcem. Jeden z zajęczš potężnš wargš siedział na samej krawędzi i bezczelnie

wpatrywał się w kobiety. Dobrze, pomyœlał Profesor. Gra w zabijanego. Bardzo dobrze.

Ostatecznie to ja jestem Jego synem i będę prowadził. Nie, oczywiście, jak najbardziej

nie do zwycięstwa. Uгода lub coœ w tym stylu. Słowo konwencja brzmi równoznacznie i

pięknie. Ach, piękno! Dyskobol ze złamanym karkiem. Co mnie to zresztš obchodzi?

Maus i

magia. Piękna historia. Wręcz niesamowicie piękna historia.

– A więc do rzeczy, panowie – powiedział Profesor.

– Dom jest jeszcze wcale, wcale. Mała inwestycja i można żyć.

– Ruina – mruknšł ten z zajęczš wargš. – Lepiej nie gadać.

– Całkowicie – przytaknšł drugi. – Ale gadać można.

– Zasadniczo jednak – powiedział z irytacjš Professor – dom z dobrej cegły.

– Co tam cegła – powiedział pierwszy. – Tu rozchodzi się o przetrzymanie.

– Całkowicie – powiedział drugi. – Człowiek cienmy nie jest i widzi.

Professor wbił w Giemzę rybie, bezwyraziste oczy, jakby chciał z jego przepastnej piersi

wyrwać rację protestu i spętać przenikliwš chytroœć chłopów. Był zmęczony i bezwolnie

swobodny i z pogardliwym gniewem miał zamiar potraktować robaczywy kupiecki umysł.

Ale Juliusz go ubiegł. Zaœmiał się tym swoim naiwnie, skończonym œmiechem i szybko powiedział:

– Cisawy ma prawo i tylko on. Niech się wynosžš. Słyszysz, ojczce?

– Jak mówisz, synu? – spytał gwałtownie Giemza. – Czy ja dobrze słyszę, Jaœku?

Przecie

to twój syn, który nie ceni twego znaczenia. Ha, znam ja was, hycle. Znam. Niech droga pani

sobie w pamięci zapisze – zwrócił długi schorowany tułów do Teresy Widok z wolnym poœpiechem.

– to, co powiem w intencji naszego życia, które nam się tak pogmatwało, że lepiej nie trzeba. Bo i jakie jest w końcu z niego pocieszenie, pytam się drogiej pani?

Piach i zaraza.

Owoż ja sobie tak po naszymu rachuję, że wszystko musi być z Boga. A jest to moja rachuba

nie tylko własna, ale i reszty, która trzydzieœci lat temu stanęła na tej ziemi, bo tak wskazywała

armata polskiego losu. Czy my spoglądali wtedy inaczej niż obecnie? Owoż nie. A dzieci

naszej spoglądajš teraz tak, jak by my sobie życzyli? Owoż nie. To gdzie prawda, droga

pani? Gdzie dusza nasza? I co ty, hyclu, rachujesz. Co sobie rachujesz?

– Nic sobie nie rachuję – powiedział Juliusz. – Pan po prostu gładzi. Zresztš.

– Niech mnie w orczyk wejdzie gnat, jak ty masz szacunek dla armaty polskiego losu. O,

znam was, hycle. Dobrze znam. Ja jeszcze pamiętam pozycję okop i mogę za łeb.

Jak nic mogę.

Ha?

Giemza wyprężył szczštkowš klatkę jak skłuty niedŹwiedŹ i słaby, bezsłyszalny dŹwięk

dumy zachrobotał mu w gardle. Chłopi czujnie podnieœli głowy. Ich sztywne zbruzdzone twarze

pokryły się potem.

– Słyszeliœcie co, Antoni – powiedział pierwszy. – Bo zdaje mi się, że coœ

dŹ więczy.

– Tak jakby – odparł drugi. – Ale pewne to nie jest.

– WyraŹ niem słyŹszał poddŹ więczenie – mówił pierwszy w zadumie. – Nic insze nie mogło

zapanować nad nami, tylko to poddŹ więczenie. Widzi mi się, że wszystko jest tak, jak za

dziadka Widoka. I łski, i lasy, i chaty wœród pól rozrzucone. I On podchodzi pod mleczarnię

coranny udój. Witajcie, gospodarze, gada. Witaj, dziadku Jędrzeju, odgaduję.

Jak wam po

zdrowiu? Po zdrowiu jak po nadziei, On gada. Zwałka i nudnoœci.

I my umilczamy, bo tak

trzeba. A słońce szparko wyłazi na niebo i sieje zamęt promienny w naszych głowach. W telewizorze

wczora prezydenty i prezydenty, któryœ gada. I jak orać mojej duszy, kiedy dusza chce być blisko prezydenta. Nie orać, gadamy chórem. Nie orać, swołocz by w ich w nasze–

wasze. Czy podzgadzacie się, dziadku Jędrzeju? Podzgadzam się i nie podzgadzam.

Bo

gówna jeœć nie będziesz. Czemu nie, któryœ prostuje język i ramiona. Gówno spalone przez

ogień może służyć żywotowi. Czy ja kogo nie obrażam w stronie przeżyciowej? A co nam

przeżycie, mówiš głosy równo i na przemian osobowo, my jego w telewizorze patrzymy i nic

w nim nie widzimy. Przeżycie jak przeżycie. Kupcie telewizor, dziadku Jędrzeju.

Kupcie

maszynę, a lżej będzie umierać. Milcz, krzyczy On. Milcz, hadzie przebrzydły, bo taka laska

pęknie na twojej judaszowej skórze. A nam wesoło jak w żadnym wieku, patrzym w słoneczny ekran, który sieje zamęt promienny w naszych głowach, i powracamy z radoœciš w

szczęsne żyłobranie. Ale pewnie zdało mnie się, że coœ poddŸwięczało. Co?

– Twoja prawda, Hilary – powiedział Giemza. – PoddŸwięczało mnie w gardle, jakby ktoœ przejechał piłš. I Ÿal mnie, tak mnie Ÿal, Ÿe nie przejechał na œmierć.

– Panowie – powiedział niespokojnie Profesor – możemy krakowskim targiem. Tu przecieŸ nie chodzi o duŸe pieniŸdze. Mój ojciec, niech spoczywa w pokoju i spokoju, nie znoŸił czułoŸtkowej gadaniny i lepiej jak to załatwimy od ręki. Panowie, moja cena...

– Przestań – krzyknęła ona ostro, wysoko. – Ten dom nie ma ceny. JedŸmy juŸ. O, BoŸe.

JedŸmy juŸ.

– AleŸ mam – powiedział Ryszard z tym marŸŸym niszczycielskim blaskiem w œlepiach.

– Nie denerwuj się. Jest okazja pozbyć się całej przeszłœoci. I nie tylko, nie tylko jej. Chłopkowie

lubiš się targować. Czy nie mam racji, panowie?

– œwięta racja jest słuŸnym słowem, droga pani – uderzył się w pierœ Giemza. –

KaŸdy

ma swój honor i trzeba uszanować. Na pozycję okop! Trzeba uszanować.

Rybie, bezwyraziste oczy Profesora objęły Giemzê szczelnie i rozpaczliwie.

Michał Giemza,

pomyœlał, lapis loquitur, buduje ostatni promieñ, którego juŸ nie ma. A czy w ogóle był?

Nie, nie. Stary Poeta rozgrzeszyłby go z tych płaczliwych naleciałœoci. Stary Poeta, z którym

rozmawiam, w szalonym wezwaniu nieodmienny i daleki. Tak, tak. Nie miałœe swego Oktawiana

Augusta, nikt ci nie zabronił spalić dzieła Ÿycia i dlatego nie

spaliłœ. Kto tam zresztš

wie, jak to było z tš twojš solarycznš filozofiš, która jest mi obca w swej jawnej pysze i nieobliczalnej

energii. Ostatecznie bawiłœ się w poznanie i wydawało ci się, że to jest złoty pienišdz,

za który otrzymasz córkę Mnemozyny, uważałœ za stosowne mówić o tym wprost, jakbyœ zapomniał, że ja, dawny Jan Maria Widok, czuwam nieznużenie i depczę każdy twój

wiersz jak kłamliwš brednię, ponieważ chciałœ przeniknšć œwiadomoœć tłumu i wywyższyć

siebie nad jego potężny ryk uwielbienia, sšdzšc, iŹ jesteœ równy Wergilemu w zjednoczonym

upadku, który tak chytrze przewidziałœ. O, głupi biedny Iksjonie, jednego przecieŹ nie przewidziałœ,

a mianowicie tego, że będziesz musiał umierać bez wiosny, bez instrumentu żywego słowa, które twoje unędnione geniuszem ucho zbliżyło do słowa wszechœwiata, widzšc i

objaœniajšc œwiétsz resztę poezji, albowiem nie ty byłœ jej instrumentem, ale znak w ręku

twego parcianego Boga, przemienny i niezmienny znak naszej wiernej, poddańczej natury.

Dlaczego ja, dawny Jan Maria Widok, który przed trzydziestu laty ujrział cię wœród tłumu

Źołnierskich szyneli w tej zimnej uniwersyteckiej sali, której samorodna buńczucznoœć nie

miała w sobie nic z akademickiej powagi, z umniejszonego wywyższenia twego metalicznego

głosu recytujšcego ból przetrwania, mogłem oddać cały swój duchowy miazmat w twoje

chłopskie, dobre ręce. Od tego dnia zacząłem cię œcigać po wszystkich pismach, bibliotekach

i księgarniach, zacząłem tworzyć swójš własnš artystycznš konstrukcję w dziedzinie wisielczych

teorii socjologii, narzucajšc mordercze tempo własnej rzeczywistoœci, której okruchy ty

zbierałoe w basen œródziemnomorski, budujšc z nich odwrócone  
gotyckie mury swej wiary w  
absolutne piękno istnienia i nieistnienia, w darowanš człowiekowi  
możliwoœć wyjaœnienia  
prapoczštku i tak dalej, aŸ do bliskiego końca czarnego ryja  
nieskończonoœci.

Często, gdy  
nagły doczesny warunek Ÿycia zmuszał mnie do przerwania  
gonitwy za twojš poznawczš  
chimerš i musialem się zanurzyć w chropawy byt zdań zawodowej  
pracy, giętkiej wyczerpalnoœci  
psychicznego niepokoju o los swych nieważnych marzeń,  
zastanawialem się nad sensem  
twojej poetyckiej gry. Bo ja nie miałem złudzeń, Ÿe wszystko jest  
winš, nie wiadomo

dlaczego i wobec kogo. Ale ty, mój mały biedny Iksjonie, ty, ze  
swojš klasycznš pogodš i  
klasycznym wdziękem obrazy do niecišgłej, przepelnionej próžniš  
materii, której gasnšcy

ogieñ spalał twojš wewnœtrznœœć w oŸywczym pragnieniu  
popiołów, czy ty mogłoe

budować  
piramidę lotu po słowo wszechœwiata? Czy ty mogłoe zadawnić  
udrękę przewinienia i zaczšć

kšsanie przewin na kształt wœciekłego bezpańskiego psa? O,  
gdybym to wiedział, gdybym

odnalazł gorejšcš szlachetnoœć twych Ÿrenic w swym  
domniemanym, omal abstrakcyjnym

niebycie anonimowego skazańca twych bezlicznych  
cudotwórczych słów, które tak wiele

znacžš, Ÿe przestajš cokolwiek wyznaczać, Ÿe stajš się juŸ  
nieistnieniem w ogromie istnienia.

O, gdybym to wiedział. Zapewne jestem zbyt głupi, aby oszukać  
psychologicznego szatana,

który unicestwia mi kaŸdš pozornš biegłoeœć dnia, kaŸdš radosnš

przejrzystość widnokregu i  
zamyka mnie w kole śmierci z wewnętrznej potrzeby ziemskiej  
harmonii, że z nienawiści  
wpatruję się w twoją fotografię, ponieważ wierzę, iż wzgardziła  
jej mamiś bezcelowości i  
uwierzyła we wspaniałość stającego się świata. Lecz ja, mój  
mały płomienny Iksjonie, ja,  
który towarzyszę ci wiernie od trzydziestu lat, nie ufam twojej sile  
kreacji, podejrzewam w tym  
szanowną błagę zrozwalonego intelektualisty i nawet twoja Wiedza  
nie przekonuje mnie o  
wolności ducha, a cóż dopiero mówić o rajskim pierwiastku,  
który mi przypomina błędne  
opary bagna namiętności ludzi nie dopuszczających do swej  
probierczej idei żadnych ubocznych  
ideek. Jest to ostatecznie tylko płomiennosc bytu, ale jak każda  
płomiennosc iskrzącej  
drogi ku marnemu zmartwychwstaniu. Tak, mój biedny mały  
Iksjonie. Marne zmartwychwstanie  
w poznanym słowie wszechświata, w które nikt rozsądny nie  
wierzy, ponieważ takie słowo nie istnieje. He, he, he!  
W przepastnej piersi Gienzy zadudnił suchy szczekający kaszel i  
poprzez niewidzialny oddech  
on zaczął mówić urywanym głuchym głosem.  
– Bywało, że jak mnie chwyci, to i serodek do gardła podchodzi.  
Skonanie już lepsze niż ta  
męka. I nikt nawet nie splunie. Jak jeszcze stara ciśgała kopytami,  
to kubek mleka podała i  
jakoś lepiej było żyć. A teraz ciemność i czekanie. Bo gdyby ja był  
kształcony, o przyjaciele,  
gdyby mądrość moja nie była z ziemi, to synowska swolocz by  
mną nie poniewierała. I coraz  
częściej wracam pomyśleniem do tego czasu, w którym  
nadzielali grunt i jak dzisiaj słyszę  
słowa inżyniera:

„ Panie Gienza, idŹ pan do przemysłu. Krajowi potrzeba zdrowych, silnych ludzi, kraj będzie stawiał fabryki, bo to jego potęga. Na co panu babranie się w gównie, panie Gienza?”

„ Ziemia to nie gówno, ja na to. Ziemia nas żywi i chowa. Niech pan nie obraża” .

I widzę jeszcze, jak inżynier macha rękš, bo chłop pozostanie chłopem. A może ja nie

zawsze byłem tylko chłopem, przyjaciele? Może sš dni, że jestem oœwiecony kagańcem

oœwiaty lepiej nad wszystkich profesorów? Może mam dni pełne ognia i pieprzu, hę? Niezbadane

przecie sš wyroki Boga, przyjaciele. Niezbadane.

– Jest pan tylko zgorzkniałym starym gadułš – powiedział Ryszard. – Ale ja pana rozumiem.

– O, przyjacielu, przyjacielu – wykrzyknšł on. – Źyczę ci tylko takich dzieci i takiej staroœci,

a powtórzysz mojš oœwiētš rację, która jest słusznym słowem.

– Wróćmy jednak do sprawy – powiedział Profesor. – Czy panowie wyrażajš chęć obejrzenia

obejœcia? Chłopi sztywno skłonili głowy i Juliusz pomyœlał, że cała jego walka o czyn

jest beznadziejna. Kiedy wyszli, zbliżył się do matki, która siedziała w tej olœniewajšcej czerni

przy poharatanym stole jak œlepy kruk, i lekko uœcisnšł jej ramię.

– Co? – spytała.

– Stary mors jest nieobliczalny – powiedział. – Mama przecieŹ wie.

– Och, tak, tak. Ale on jest spadkobiercš. Proszę cię, synu.

– Cóż to za mieszczańskie narowy. Spadkobierca, majštek. Wstyd, wstyd!

– Milcz! – krzyknęła. – Przepraszam cię. Chcę stšd wyjechać jak najszybciej.

– Nigdy ci tego nie wybaczę – rzekł cicho. – I nie pozwolę, aby deptano wolę dziada.



– Och, Juliuszu, Juliuszu. Czy nie jesteœ chory? Wyglãdasz jak œmierć.

– Bzdura! Całe to wasze zakłamanie, cały ten system fałszywych wartości. Bzdura, bzdura!

Czy pamiętasz, jak czekałem zawsze na twój pocałunek, ponieważ wierzyłem w macierzyńskã

miłość, jeszcze wierzyłem, choć nie powinienem był w żadnym wypadku, pod żadnym pozorem. Ale to było małe odchylenie od normy waszej nędznej filozofii, której niczym

nie można rozbić, gdyż każda nędza ma swoje usprawiedliwienie w samym fakcie swego istnienia.

Och, nie mów, nie mów już nic, bo to mnie doprowadza do szału. Dlaczego ten przeklęty

mors jest takim idiotã i nie rozumie, że epoka naukowych mandarynów odeszła do lamusa?

– Został wykiwany przez stado – powiedziała ona z bolesnym uśmiechem. – I może dlatego.

Juliusz wbił w niã zmęczone oczy, w których nie było żadnej utopii, i przez chwilę jej

twarz rozmazała mu się w złoty punkcik niepokoju, w znośną niezależność materialnej osłony

duchowej pustki, z którą tak beznadziejnie prowadził walkę.

Położył ręce na poharatany stół,

który mógłby być niezakrytã księgiã œwiata szczęśliwych ludzi, i żarliwie powiedział.

– Tak, mamo. Został wykiwany przez stado i zgubił swój ciemny gwiazdę. Ale każdy samotny

wędrowiec ma jeszcze jedną szansę. Dobić do brzegu wspólnoty. Jest to szansa jedyna

i ostateczna, jest to œwięte znamię wyzwolonego człowieczeństwa z ograniczonej urody czasu,

który tak nas ujednolica swym drapieżnym pazurem. Człowiek nie powinien, człowiek nie

może być przez niego pokonany. Co ja zresztã plotę. Nigdy nie będzie pokonany.

Och, nie  
myœlę o artystycznej prawdzie. Jaki dureñ wymyœlił ten  
obelżywy epitet! Widzi mama, sedno  
rzeczy nie w prawdzie, ale w dŹzeniu do poznania drogi, która do  
niej prowadzi.

Oczywiœcie  
może siê okazać, że u celu trafimy na nicooć. To mnie jednak nie  
interesuje.

Dwudziesty wiek  
zjednoczył kaŹdy naród w Ludzkoœć, a jeœli jeszcze tego  
całkowicie nie dokonał, to siê dokona.

Ważna bœdzie œwiadomoœć ludzi, że sŹ zŹszczeni ze œwiœtem  
pierwobytu. Bo ostatecznym  
celem wzniosłego działania jest dobro powszechne, czyli  
społeczna doskonałoœć, czy jak to  
wreszcie nazwać, kiedy nazwy sŹ równieŹ puste. Czy dobrze  
mówię?

– Tak, Juliuszku. Mówisz piœknie i mŹdrze, choć nic z tego nie  
rozumiem.

O, nœdzo, nœdzo, pomyœlał z nieopisanym Źalem. CzyŹ na pewno  
nie widzę nic na dwa

kroki od siebie i bełkoczę jak raniony romantyk? To beznadziejne,  
beznadziejne.

Wybiegł z izby na omiecione wiatrem podwórze. Mondo cane i  
chwała losu. Wokół

zrujnowanych  
zabudowañ przesuwał siê w realistycznym œnie orszak mœŹczyzn  
z Profesorem na czele. Przy płocie chudy naziemny kadłub Cisawego  
kołysał siê jak uschnięte drzewo. Juliusz

jeszcze siê wahał, ale nagła, rozkoszna myœl zupełnie nim  
owładnęła. Gdy orszak znalazł siê

za węgłem stodoły, skinŹł na Cisawego, który błyskawicznie  
przesadził płot i schylony podbiegł  
do niego.

– Mam myœl, Cisawy – powiedział szybko. – Zrobimy z nich

myœliwych œeliny w sposób

bardzo prosty. Masz mnie tylko słuœać i wykonywaæ bez szemrania moje rozkazy. W porzœdku?

– A czemu nie, Juliuszku. Przecie zawsze to robię bez ¿adnego mru– mru.

– Dobrze, dobrze. Nie dziw się niczemu i powstrzymaj się od tego nieznoœnego chichotania.

Słyszysz?!

– Jak na spowiedzi. Powstrzymaæ się od chichotania i wszystko robiæ bez szemrania. Cha!

cha! cha!

Ale Juliusz nie zwracał ju¿ na niego uwagi i z wyciœgniętsz górnolotnie prawiczs zaczsz

wolno obchodziæ podwórze. Cicho mamrotał strzepy sów, które Cisawy na pró¿no próbował

pochwyciæ w tryby swego miarkujšcego rozumu. Gdy Profesor wprowadził orszak na powró

w widny przeœwit, Juliusz z zamkniętej, senatorskiej pozycji wydobywał ostatnie tchnienie

strzepiastego mamrotania. Profesor z bezmyœlnym, wegetatywnym osłupieniem stuknšł go w ramię i powiedział.

– Co tobie, dziecko?

– Ventum est ad tenlplum Vocis. Niech żyje duch Marka Tulia Cicerona!

Chłopi wyciœgnęli szczeciniaste grdyki w napiętej ciekawoœci i znaczšco popatrzyli na siebie.

Giemza podsunšł łeb pod samš pierœ Profesora i z jadowitym uœmiechem zapytał.

– Co twój hycel mówi, Jacøku. Ha?

– Nic szczególnego – powiedział z niesmakiem Profesor. – Łamana łacina złamanej epoki.

Naprawdę nic szczególnego.

– Daremne źale, mój ojcz – powiedział Juliusz, ogarniajšc

przestrzeń oratorskim gestem.

– Daremna hochsztaplerka twego okaleczonego ducha, który mizdrzy się jak kurwa ziemia do swych plugawych synów. Panowie, czy widzicie płomienny ogon waszych myœli?

Cisawy,  
podaj piłę.

– Co ten hycel gada, Jacøku – powtórzył Giemza. – Na. pozycję okop! Dziwnie, ludzie, gada.

Dziwnie.

Cisawy myszkował w zrujnowanej drewni. Spod stosu zgnitych polan wyciœgnł

zardzewiałš

stal piły, wził jš na røce jak niemowlę i dostojnym krokiem zblizył się do Juliusza,

który w tanecznych podskokach obchodził chłopów mruczšc swojš strzepiaštš litanie.

– Wracaj do izby – powiedział ostro Profesor. – Słyszysz?

– Słyszę i jestem posłuszny – odparł on nie ruszajšc się z miejsca.

– Czy nie sšdzisz, ojczulku,

že Marko Tulio Cicerone zbyt często œnił ci się po nocach z pięcioma sztyletami w

plecach? A jednak cišgle masz wštpliwoœci, cišgle nie wierzysz w słuszne konsekwencje

obywatelskiej cnoty i wiedzy, których naczelnš zasadš jest uczynić z własnego doœwiadczenia

busolę obiektywnych racji. Ale to się mœci, ojczulku, okrutnie się mœci nawet na strupieszalej

fasadzie. Kochasz mnie przeciež, ojczulku, prawda? Kochasz przeciež swego syna, który

przychodzi do was pełen winy i żalu i całuje œlad twego ojca w porywie poznanej prawdy.

Czy myœlisz, ojczulku, že jestem głupi?

– Jak but z tej żydowskiej sadzawki – krzyknł Ryszard. – Pozwól mi, tato, a koœci mu

połamię. Tylko pozwól!

Profesor z bezmyślnym wegetatywnym osłupieniem wpatrywał się w Juliusza. Jego stan

udzielił się i chłopom, którzy tworzyli jednś, wybitś z błogiej oświadomości maskę swej naturalnej

cielesności. Cisawy ciśgle trzymał piłę jak niemowlę i z chłopięcś, brzemienńś miłociś

spoglśdał na Juliusza.

– Widzę, że panowie sś godni tej ruiny – powiedział on pociśgajśc nozdrzem. –

Chłopi

jeszcze mocniej wyciśgnęli szczeciniaste szyje i zastygli jak posłgi zdobywców nieba. – Tylko

gdzie się podział wasz chamski smród. Obym był prorokiem dobrej godziny, panowie!

– Dzisiaj my mamy dzień pełen ognia i pieprzu – wrzasnśł Giemza. – Rachuj się w słowach, hyclu.

– Ależ oczywiście, oczywiście. Taki dzień upaja i podnieca, prawda, panowie?

Rzecz w

tym, aby liczyć i dobrze policzyć. Ach, serce moje krwawi w niezmiernym bólu, kiedy widzę

wasze szlachetne twarze w takim smutku.

– Tu rozchodzi się o przetrzymanie – powiedział chłop z zajęcśż wargą. – Abo my ludzie

nie czule na cierpienie? Czule, panie.

– Całkowicie – uzupełnił drugi. – Cierpienie jest nam bliższe niż skóra koszuli.

Tak mnie

się myeli.

– A jednak, jednak. Panowie majś duszę tak głębokś, że tylko czynem można jś zgruntować.

I ja to zrobię. Cisawy piła.

– Jest.

– Niech panowie dotkną tej ośmiernionocnej stali. Czy nie jest piękna?

– Jest piękna. Zdaje mi się, Antoni, w samej prawdzie. Jest bardzo piękna.

– A to, żeście króla ducha piła różni i później całkowicie o nim zapomnieli, jest również piękne?

Chłopi popatrzyli na Profesora, który łypał bezwyrazistym okiem jak w jądrze ciemności

zagubiona latarnia i wolno wazyli ważną odpowiedź.

– Gadanie – wypalił wreszcie Giemza. – Nikt żadnego króla nie różnił, jak tu stoimy we

trzech i domagamy się uznania. Nas nie zbałamucisz, hyciu.

– Juliusz ma na myśli wyrażenie poety – wtrcił swoje Profesor.  
– Oczywiście jest to tylko

pro forma.

– A niechże wreszcie polski poeta stuli swój niewyparzony pysk!  
– krzyknął

Juliusz. –

Chwyćmy się tej piły, panowie, abyśmy nie potonęli w dziurze jego kosmicznego rozkojarzenia.

Do dzieła, panowie!

– Piła jest nasza – powiedział twardo Giemza. – Chłopska. Wam wara.

– Jak to? – spytał Profesor. – A my to co? Piła kolumna?

– A czort was wie. Bierz ją, Hilary!

I nim Profesor zdążył pomyśleć o swym nagłym druzgocącym odkryciu, piła znalazła się

w mocnych łapach niebywałych kupców. Lecz Jan Maria Widok ryknął jak ranny łos i piersi

rzucił się na zęby. Wisząc na zrębach ich potulnej wytrzymałości dyszał swój znikający,

spunktowany pijanym beznamiętnym monolog.

– Zostawcie, bracia, zostawcie choć nadzieję. Bo kimże jesteśmy na tym padole leż jak nie

wędrującą niedźś naszej winy. O, bracia, kiedy byłem młody,

sǔdziłem, że mam prawo do

naturalnego błazeństwa i błazeńskiego naturalizmu, kiedy  
przekroczyłem wiek ęredni przestałem

cokolwiek uważać za pewne i nigdy mój serdeczny ężal za ziemiš  
Słowa nie był tak ogromny jak teraz, jak przy waszej wielkiej  
szlachetnoęci, która obejmuje nasze koło ęmierci

w ponurej radoęci z poskromienia ofiary, o, bracia, bracia,  
zaorzemy wspólnie ziemię Słowa.

Czy mówię jasno?

– Piła jest nasza – powtórzył twardo Giemza. – Szkoda języka.

– A kto mówi, że nie wasza? Michale, Michale, wyęwiadczy mi tę  
łaskę i poęwiadczy, że jestem

godny zaufania jak ów młokos z Sarnówki, z którym ujeżdżaleę  
gniade Ogiery, mój serdeczny

przyjacielu, my chłopci, jesteęmy jak rodzina, a w rodzinie nie ma  
profesorów, nie ma

gnojarzy, cóż to za kardynalny błšd historii, która sól ziemi  
wystawiła do wiatru, apręs nous

le déluge, jak powiadajš cišgle Francuzi, którzy znajš się na  
rzeczy, choć ja, bracia, mam w

pięć żabojadów i twierdę, że Europa bez Paryża byłaby męskim  
żywiołem, ale nikt mnie

nie słuca, co to za wspaniałe czasy, w których nie słucać głosu  
człowieka krytyki, musimy

go bronić, bracia, wasze cepy, a nasze mózgi w przymierzu  
niezamierzalnoęci wydadzš dorodny

owoc...

– My na cepy gwizd, gwizd – powiedział chłop z zajęczš wargš.

– Puskaj, ty taki owaki!

– Stul pysk, chamie – powiedział Ryszard. – Wstańże ojcie. To  
przecież paranoja.

Profesor chwilę z bezmyęlnym wegetatywnym osłupieniem  
wpatrywał się w piłę i twarz

jego drgała od silnych, pokonanych wzruszeń. Nagle wstał,  
otrzepał uważnie spodnie i normalnym

głosem powiedział.

– Dwadzieścia tysięcy, panowie. Łącznie z piłš.

– Nareszcie mówisz jak kształcony, Jacøku – rzekł Gienza. –

No, poszli do chaty dobić interesu.

A wy rzućcie to żelastwo, przyjaciele. Rzućcie.

Piła z głuchym brzękiem upadła pod nogi Juliusza. Mondo cane i chwala losu, pomyœlał.

Oczarowana rozczarowaniem pieskoœć goñczego listu ze społecznym spełnieniem. Czy mógłbym

się poddać jego chwalebnej frazie? Ironio mojego czasu, który jest skazany na bezdaremnoœć

poszukiwañ. Czy mógłbym? Wierzę, że tak. Bezbłędnie, obłędnie wierzę w rozjaœnionš

głębierz milczenia.

– Wiœcej juź nigdy nie będę bawił się w symbole – powiedział Cisawy. – Zwiodłøœ

mnie,

Juliuszku.

– Źartujesz chyba – odparł on. – Nie ma tu żadnych, symboli. Po prostu chuda rzeczywistoœć.

– Ja tam się nie znam na tych waszych niansach – mówił z wøciekłoœciš Cisawy. –

Może i

nie ma. Co mnie do tych œwiadomych rozterek, kiedy kaźdemu Polakowi wiadomo, że sołtys

nie władza, koza nie zwierzę. Co mnie. Ale powiem ci, Juliuszku, że ja powróciłem z miejskiego

wygnania na twoje wezwanie. Nie ojcowe! Co tam taki głupi chłop wie w kwestii kolektywnej

spontanicznej nieœwiadomoœci i zaprzepaszczonego grzechu. On nawet nie umie telewizyjnej maszyny nastawić na odpowiedni kanał, żeby nie wywołać jakiegoœ

wizyjnego

ducha. I ja takiej ciemnocie miałbym zawierzyć swoje młode lata? Nigdy. Odejdę daleko od



tej wspólnoty, którą chciałem mi zamydlić oczy. Ty jesteś czarodziej, Juliuszku, magik na miarę magicznego oerodka, który znajduje się w naszych ohydnych sercach. Może powiesz, że nie? Jesteś jeszcze czymś gorszym. Zemstš dziada, któremu ja tyle ludzkoœci okazałem, tyle dobra. Ha. Nie będzie więcej zabawy w symbole. Nie będzie. Bo dlaczego to ja, Cisawy, mam być tym romantycznym punktem, z którego weŸmie poczštek nowy œwiat? Dlaczego nie Giemza, nie pan Ryszard, który wieje od pług, aż się kurzy. Co? Niech Juliuszek z łaski swojej wyjaœni prostemu człowiekowi. Niech wyjaœni.

– Tyle razy ci mówiłem – powiedział on. – Chodzi o realizm życia. Bez zbrodni i pomyłek.

– No, no. Już ja wiem, jak to wszystko jest. Pluję na to! Gwiżdżę! Ruina miała być moja, a będzie czyja! Ciemnoty bez charakteru. Takie to i twoje zwycięstwo. Funta kłaków niewarte.

– Daj mi spokój, Cisawy. Słyszysz?

– A słyszę, słyszę. Cisawy to, Cisawy tamto. A gdzie zapłata za to wszystko, ja się pytam.

Gdzie człowiek w miarę mšdry i w miarę głupi ma znaleŸć swójš naleŸnoœć? Co? Nie czuję już do ciebie żadnego, żadnego. I w ogóle pluję na ten cały romantyczny punkt, z którego ma wziœć poczštek nowy œwiat. A œwięto sobie zrobię w podróŸach do innych narodów.

Bo w takich podróŸach ja jestem sobš dla kaŸdej masowej informacji, dla kaŸdej masowej moŸliwoœci.

Tak jest.

– A jedŸ w diabły! – powiedział Juliusz i uderzył go z rozmachem w pierœ. – Jesteœ głupi jak baran, na którego szkoda nawet kopniaka. Won mi z oczu!

Chudy naziemny kadłub Cisawego lekko osunął się na ziemię.  
Kiedy podniósł się, jego  
    biała, cieniolutna twarz drgała nabrzmiałym gniewem płaczu.  
Juliusz z obrzydzeniem odwrócił  
    się od niego i jak człowiek, który przebudził się z długowiecznego  
snu i chaotycznie łowi  
    materię, wszedł do domu. Na widok ojca z plikiem banknotów w  
prawicy zacemiał się podrażnionym  
    szaleńczym chichotem i bez słowa runął na łóżko. Profesor z tym  
swoim bezmyślnym wegetatywnym osłupieniem popatrzył na niego,  
ale nagłszy wzrok chłopów zmusił go do  
    dalszego liczenia pieniędzy. Mój syn, pomyślał, z dzikim  
zapadłym bólem. Mój syn, którego  
    nie rozumiem. To straszne. Powinienem był nie tak. Lecz kiedy ten  
jego Bóg, który ciśgle  
    umiera! Moja licha obecność przed egzystencjalną dziurą teraz i  
trzydzieci lat temu. Och, nie  
    chodzi o jej wyobrażenie, o właściwość przeznaczonego pola,  
które miałem uprawiać w imię  
    beziemnej masy. Bo szczęście jednostki? Bądźmy realistami.  
Jaki wreszcie ma dźwięk to  
    niewyraźne wyrażenie, jakś moc pojednania naszych namiętności  
w ów zasadniczy model  
    bytu, w którym osiągamy jako takś ciszę wewnętrzną, jako takś,  
myślenie, gdyż o doskonałość  
    mógł się ubiegać tylko nagminnie deptany skwir natury, czyli  
pełna osobowość pełnej rzeczywistości,  
    jeżeli można bez narażenia się na ośmieszność o czymś takim  
mówić w tych wspaniałych czasach organicznych zasad i łańcuchowych  
reakcji. To i ja na wrocławskim  
    dworcu trzydzieci lat temu, ja w obliczu konkretności musiałem,  
chciałem swój wybór widzieć w  
    wymiarze drobnego zwycięstwa, kiedy powiedziałem Mu, że  
trzeba mi głębiej zanurzyć się w  
    podziemia nauki, aby przezwyciężyć zło, zło zwielokrotnione w

swym diabelskim działaniu

do potwornego monstrum, nie zniszczone do dzisiaj, a wręcz przeciwnie, rozległe jak czarny

ryj nieskończoności Starego Poety. Nie rozumiał. Nie widział. Dlaczego?

Dlaczego? A jednak  
bǫdŹmy realistami. Był moim ojcem i miał swoją mitologię, tak jak i ja mam swoją i nie chcę

wnikać w sedno rzeczy, ponieważ automatycznie przewiduję klęskę nabytego doświadczenia,

więc wolę skreślać i maszerować dalej. Równo w krok. Skreślić i maszerować dalej.

– Zgadza się – powiedział Profesor. – Dziękuję.

– A pokupcowe? – spytał Giemza. – Bar pod nosem.

– Jedziemy! – krzyknęła ona. – Czy przestanie wreszcie nas męczyć?

– Nigdy, droga pani – powiedział twardo Giemza. – Nigdy chłop nie męczył

kształconych,

choćby i byli z jego krwi. Sumienia by nam brakło, ale jeszcze jest, jeszcze my ludzkość mamy.

A, przyjaciele, jak to powiedział pewien mędry księdz, pogaństwo też trzeba szanować i

dać mu się zbawić głową w pion. To chodŹmy na pokupcowe.

– Nie, nie, Michale – bronił się Profesor. – Musimy już jechać.

– Obrażacie – powiedział chłop z zajęczsz wargš. – Obrażacie pamięć dziada Jędrzeja.

– Całkowicie – przytaknął drugi. – Ale pewne to nie jest.

– Nie gadaj na wiatr, Hilary – mówi pierwszy w zadumie. –

Pewna nie jest tylko ta ruina,

ale nie dziad Jędrzej. On jest pewny jak owies po życie. Widzę go dobrze w każdym kšcie

sadyby i jeszcze dalej. Pozdrowienia mi daje – jego głos stawał się tak wartki jak rzeka pamięci

– pozdrowienia i ostrzeżenia przed czymś. Ha, dziadku Jędrzeju?

Jeszcze żeœcie nie

zagrzali miejsca w grobie, a juŹ wam ckliwo za nasz dolŹ? Ha, powiadam. A On siê œmieje.

Widzê to dokładnie i niepamiêtnie w tym wyrazie, jakby przykucał do biegu po Źycie. To

siê bez nazwy nie obejdzie, dziadku Jêdrzeju. Ten wasz pierwszy bimber zrobiony dla Wsi.

Nie obejdzie siê, jak tu jesteœmy przed wami w całej okazałoœci. Dobrze przecie was widzê

miêdzy polami, jak to zaczynacie wêdrówkê od słowa „runêło” i dalej, dalej.

Dobry Pasterz

nie opuszcza swej chudoby, mówicie jak po macale, przeto i ja stojê tu za was przed władzŹ

ludowŹ i domagam siê naszego w prawie ziemi, z której wyszliœmy i do której wrócimy nie

narzekani, ale i nie miłowani, ot, zwyczajny popiół równiny rozsiany miêdzy narodami. A

komuŹ Anzelm Widok poœwiecił swŹ chwałę? Ludowi prawa i sprawiedliwoœci. A jego syn i

tamtego syn, i syn syna, komu swŹ chwałę poœwiecił? Niezmiennie ludowi prawa i sprawiedliwoœci.

To mój syn takŹe powinien temu samemu, a nie robi i robić nie chce, i zdechła jego

słuŹba Źywotowi, która opuszcza lud prawa i sprawiedliwoœci. Zdechła to słuŹba.

Bo Dobry

Pasterz rachuje wszystkie owieczki, ale hardych nie rachuje i zdaje w imię wiecznoœci na

œmiech doczesny, który huczy niepewnie od tysiœcleci jak pewna wojna braci aniołów. Dobry

Pasterz, mówię.

– Zmityguj siê no. Antoni – powiedział Giemza. – Państwo mogŹ ciê wziŹć za pomyłonego

i wtedy nie ciamniesz żadnym rozsŹdnym powiedzeniem. To

zmityguj się.

– Owa – powiedział on. – Trudna rada. Ale tak było.

– Co? – spytał Profesor. – Pan sđdzi, że mój ojciec skazał mnie na doczesny œmiech w imię wiecznoœci?

Chłop milczał i Profesor z bezwładnš tragicznoœciš wyciŝgnš swe bujne ciało w kršg

biezšcej chwili, której zajmujšca drobiazgowoœć rozrywała pętlę tozšamoœci goršcym skocnym

ostrzem skończonej pracy. Wstał i kolejno uœcisnš rękę zdrowym egzemplarzom dobrobytu

Wsi. PóŹniej bez słowa wyszedł z izby.

– Jedziemy, pętaku – krzyknš Ryszard. – Czeœć, panowie.

Mam nadzieję, że latoœ ziemniak

obrodzi. Cha! cha! cha!

– Durny ty, durny – mruknš Gienza. – Szkoda Jaoeka na takie dzieci. Szkoda i nas wszystkich.

Juliusz zbliżył się do poharatanego stołu, który mógłby być niezakrytš księŝ œwiata, i z

jego piersi wydarło się piszczyšce metafizyczne westchnienie. Stał długo w obojętnym milczeniu

chłopów, w promieniu ich ponurej adoracji, nie reagujšc na wołania z podwórza.

Wreszcie

ruszył zdecydowanym krokiem i na progu wpadł w ramiona matki.

– Nie – powiedział. – Niech mama nie mówi.

– Ależ dziecko.

– Juŝ dawno nie jestem dzieckiem, mamó. Ale to nieważne.

Wróć autobusem. No, proszę cię!

Pochylił się i ucałował jš w sine spierzchnięte wargi. No proszę, powtórzył.

Wybacz mi

całš tę blagę. Ja juŝ to zrobiłem. Słyszysz?

I z jakšœ nieobliczalnš determinacjš przydusił jej rękę do œciiany domu, że krzyknęła ostro,  
strachliwie i biegiem wróciła do wozu. Przez sekundę twarz ojca rozpląszczyła się na szybie  
w bezmyœlnym wegetatywnym osłupieniu i zniknęła w rwšcym pędzie powietrza.  
Zawsze,  
pomyœlał Juliusz. Samotnoœć i nuda. Zawsze to samo.  
Beznadziejne. Ale to jeszcze nie był  
koniec. Jeszcze obecnoœć Profesora była dotykalnš kształtem sieci, w którš wplštał siebie i  
innych w przebiegłš brzemiennoœć heroicznej biernoœci. Jak ten grecki sceptycyzm zgoniony  
przez własnš żarliwoœć, tak jego zapadajšca twarz przeobrażała się w nieważnš plamę odległych  
marzeń, w rachitycznš pozostałoœć z tego ogromnego lasu, w którym błškał się ze Starym  
Poetš na odwróconych œcieżkach, zatajony w swej jawnoœci, zagubiony w swym odnalezieniu,  
nie opuszczony, a przeciœ całkowicie żyjšcy poza nawiasem stada od tak dawna, że  
nie przypominał juœ sobie żadnego zwycięstwa, żadnej walki z konkretem, która mogłaby  
uszlachetnić jego człowieczeñstwo i osłodzić gorzkš żółć ojcostwa.  
I ta groŹna, rozpaczliwa  
zwyczajnoœć Jego przekleñstwa, ta nikczemnoœć popiołu draŹnišca umysł idealnego empirysty  
praludzkiem przypomnieniem niezgłębionej studni, w którš próbował wejœć przy œwietle  
swej rozżarzonej nienawioœci do rozsšdnie odpowiedzialnych słów, rozsšdnie przedawnionej  
epickoœci swego chłopskiego, a przeciœ niechłopskiego losu, raczej Petroniusza naukowego  
proletariatu, który unicestwia sztukę dla jej zbawienia, poniewaœ coœ musi być zbawione w

swym poczŹtku, w swej nie zniszczonej Źywiołowoœci namiętnego  
widzenia potylicy Gutenberga,  
coœ powinno, musi, w ogóle dlaczego. I spokój. Tak spokój  
wewnętrzny wreszcie równy  
ocięŹałem zdziwieniu, Źe jego praca zastępuje miłooœć społeczniŹ,  
równowaŹnik sensu w  
politycznym działaniu, duchowŹ rozwielitoœć potrzeb i wiele,  
wiele innych rzeczy. Tak. To  
było coœ warte. To było najbardziej miarodajnym wskaŹnikiem  
jego prywatnej harmonii,  
okupionej wyrzeczeniem się olœniewajŹcej kariery, rozległych  
wspomnień bitewnego zgiełku,  
w których nie dane mu było doœwiadczyó łotrostwa zabijania,  
uroku wiosennego odrodzenia,  
tego porywu ku wszechludzkiemu szczęœciu, o którym marzył  
Stary Poeta, niczego zbędnego  
ponad to ustawiczne przeczenie dŹŹnoœci do pełni, do  
legendarnego przeznaczenia znanej  
wypadkowoœci tego, co w jakioœ tam sposób było konieczne.  
Spojrzał na syna, który z zacięŹ,  
bezwzględnŹ pewnoœciŹ prowadził wóz i pomyœlał, Źe tak juŹ  
będzie trzeba.  
Skreœlaó i maszerowaó  
dalej. Równy w krok. Skreœlaó i maszerowaó dalej.

## VII

Chciałem wyzwolió fantastycznŹ przystępnoœć serca i pójóó za  
marzeniem, ale odeszli  
wszyscy, wszyscy i nawet ty, Gabrielo, przekreœliłaoœ mnie z  
cynicznym póluœmiechem i ponury  
wrzœeniowy mrok ogarnia moŹŹ twarz, narzuca mi swŹ  
konsystencję widma i wchodzę po  
raz ostatni do izby, składam dłonie na poharatanej Księdze, staram  
się wpaóó w mistyczne  
drzenie, którego doznaję dominujŹcym nie–doznaniem, moja

pierœ faluje wzdardš oceanu i  
ziarnista sieć łagodnoœci obejmuje potęgę żywiołu, ryk rannego  
łosia zamiera we własnej nocy,  
czas rozbija nachalne zegary i kosmata głębia kosmosu porywa  
spopielałš mšdroœć ludzkoœci,  
zaciskam zęby i szeptem, który bezsłyszalnie wibruje nad œladem  
mojego dziada, przekazuję  
siebie w modlitwie gorzkiego zwycięstwa. Nigdy. O, Chryste.  
Nigdy nie zatrzymam, tego zwycięstwa. Księga parzy mi ręce, widzę jej  
poharatany grzbiet, jej zdrewniałš resztę  
okrutnej mitologu, zanurzam swój modlitewny szept w  
wyschniętych Ÿródłach, w wygaszonych  
słóncach niezmiennego celu, który stał się tak samo pusty jak jego  
nazwa, zbiór abstrakcyjnych  
formuł i nędznych bezimiennych czynów mœciwego żalu za  
pospolitym œrodkiem œwiata, skarłałego, okrężnego w braku  
podstawowych kręgów œwiata – zachłannego mordercy.  
O! ja wiem, że jest to krańcowa przesada, że bawię się  
elektronicznš wizjš, której nie muszę  
daleko szukać, bo leży na każdej ulicy, na każdym wymiecionym z  
naturalnych soków  
polu, w przeœlicznym prostokšcie moralnego jarzma, ja wiem, że  
nie mam prawa w gestii  
otwartego humanitaryzmu zasuwac sentymentalnych andronów lub  
œwiadczyć prawdy, prawdy,  
cóż to za nieograniczona granica w mojej koncepcji ustawicznego  
œwięta i wielkich działobitnych  
czynów, ach Juliuszu, Juliuszu, porzuć samotne rozmyœlania i  
wejdŸ między syte sadyby Wsi, niech zobaczš w twoich falistych  
włosach swojš niefalistš linię szczęsnych  
ogrodów zaraz, dziadku. Cisawy chce jeszcze łowić chrabšszcze.  
To zaraz, Cisawy zdradziecko  
chichocze i pokazuje, jak On robi siusiu. O, Jezu mówi, Juliuszku.  
Robi długo i z  
szumem jak na œmietanie. A to dlatego, że nie ma baby. Co ty



powiesz! Ale tak, ale tak. Już ja

wiem, co w tej trawie piszczy, na którą spuścił wodę. Gadanie.  
Ale tak, ale tak.

I Cisawy prostuje  
swoją chudą karkówkę, jest wyroczniony i jego twarz ma zawsze  
cieniolubny wyraz.

Pójdę,  
pójdę. Przecież jestem tu po to, aby wszystko, wszystko. O,  
Chryste. Co to znaczy wszystko?

Zobaczę, co się da zrobić dla tych słów albo– albo, wóz– przewóz,  
zobaczymy na końcu historii

wysokopiennego Yródła, które znalazłem w Błędnym Górze i  
opiłem się jego widokiem

do nieprzytomności, byliśmy cała ferajna, taki rajd zbieraniny z  
kilku wydziałów i Ramzes–

Psychiczna Równowaga wyzywał prawników od mioduszek  
biurokracji i robotników zdegradowanej

wyobraźni, nie pamiętam dobrze, ale Gabriellę tak, w lirycznym  
krajobrazie z wapiennych

amfor ciętych na polityczną gadaninę, jestem anarchistką, anarchistką  
wskakiwała prężnymi łapkami w przestrzeń i z zachwytem mówiła o  
Bakuninie, projekt dla republikańskiej

Europy z carem jako prezydentem, cyniczne adnotacje Mikołaja na  
marginesach, poroniona

radość jej dwudziestu lat, pomyślałem, że daleko takiej do  
Kordelii i z nieograniczonej

satisfakcji zobaczyłem jej ucięty głowę na pice gnucenych marzeń,  
wydarzenia, które biegły

po łuku wolności, cały dziewiętnasty wiek naciągany do strzały i  
obosieczna romantyczność,

romantyczność, całkowita pika gnucenych marzeń, za którą idę  
bez nadziei na przemianę, a

pysk Gabrieli pluje żrący cienkusz, o, mówi, kiedy Bakunin  
przyjechał do Hercena i przedstawił

mu swój plan, o, to było niesamowite i Hercen spadł z krzesła,

słyszę nawet stuk jego  
ciała, cha! cha! cha! skończ wreszcie z taniš mistyfikacjš,  
dziewczyno, tak, tak, a kiedy pokazał  
swego ucznia, mówi dalej, to stary kołokoł uczepił się sumienia  
Rosji i zaczął  
krzyczeć, że  
ich powiesi i wtedy uzyskajš pełnš radoœć niszczenia w radoœci  
tworzenia, o, to było pięknie  
powiedziane i stary kołokoł był już udobruchany i zapytał  
Nieczajewa, jak daleko sięga jego  
nienawieć do samodierzawia, ale tamten wycišgnš tylko czarny  
plugawy język i widać było,  
że sięga o wiele dalej, niż może ten język wypowiedzieć, przestań  
truć, Gabrielo, naprawdę  
nie mogłem tego słuchać i wołałem już jš w łózku, zostawiłem  
wszystkich w tym lirycznym  
krajobrazie z wapiennych amfor i nieuczęszczanym szlakiem  
dotarłem do wysokopiennego  
Ÿródła, bliskoœć tego miejsca podziałała na mnie uderzajšco i  
odurzony namiastkš pierwotnoœci  
zapadłem w wyimaginowanš barwnoœć œwiata, moja leniwa  
bezczelnoœć rozbarwiła jego  
sens i modelowa zniedołężnialoœć wszechœwiata przygniotła mi  
ramiona. W  
dzwonišcej ciszy  
wstępowałem w jego niezbadany wymiar, połšczony z otchłaniš  
ideału, która w rozsnuwajšcej  
się mgle wzlatywała ku niebu jak Everest, była tym włœcnie  
szczytem, z którego mogłem  
zobaczyć podejrzaný absolut i pragnienie jego œmiercionoœnej  
pełni wypełniło bezgranicznie  
moje serce. Trwałem w tej nieznaney aurze bliskiego szczœcia  
coraz mocniej wierzšc, że TO  
olœnienie nastšpi, przypomniałem sobie państwa i ludzi, których  
widma błškały się w mym

rozprężonym umyœle, pasowały swoje polityczne, społeczne i filozoficzne programy, skarżąc się jowialnym szeptem na ich wšskš funkcjonalnoœć, zlewało się to wszystko w jakieœ przeraŹliwy jazgot, który daremnie próbowałem unieszkodliwić, wreszcie udało mi się podnieœć z ziemi twarz i wbić nieprzytomny wzrok w skalisty występ, z którego wolno schodził Anzelm

Widok złorzeczš Bogu i chorej wyobraŹni, hej, panie, krzyknšłem i natychmiast zostałem przywołany do dziennego porzšdku jego Źołnierskim butem. Jeszcze wyŹej podniosłem twarz i w miaŹdŹszej ciszy obłok improwizacji złóŹył mi na ramiona swe retoryczne obręcze. Chryste, pomyœlałem. To msza za czyny odrzucone, nie narodzone. O, Chryste. Ale Anzelm Widok zdmuchnšł mój Źal zgniłym oddechem syfilityka i poczułem, Źe mam go w garœci z całš kordianowskš zapadniš, z całš bezlitosnš historiš zwycięzonych prawd, pokrętnego w swej prostocie jak złom cywilizacji i rzuconego w tło jej zrytej przemiennoœci. Ty kto, powiedział.

Wnuk, wnuk, wrzasnšłem. I przestań mnie tykać, stary durniu. Wnuk, powtórzył zdumiony i padł na kolana z niezwykłš wprawš. Wnuk, który mnie odnalazł. O, przekleństwo mojej dardanelskiej głupocie, która zamroczyła mi mózg i pchnęła mnie w takš i grandę, Źe nie ma słów. Ty wiesz, ilem ja stracił? Ja tu, nie liczę zdrowia, ale ziemia, ale ziemia, ziemia! Puœciłem synów z torbami, zgrzeszyłem jak Samson i sam juŹ nie wiem, co będzie z kolumnami przyszłœoci. Grzech został zaprzepaszczone, powiedziałem. Nie przejmuj się. A ziemi mamy pod dostatkiem. Jesteœ chlubiš Widoków, stary. A ty jš obsiewasz,

zapytał

    podejrzliwie. Coœ  
    mi siê widzi, że jesteœ jak ci oficerkowie, którzy zawrócili ludowi  
w głowie.

    Gadaj no, obsiewasz?

    Studiuje, powiedziałem. Rozumiesz, co to znaczy? Uczę siê o  
takich kopalniakach jak

    ty. To siê nazywa archeologia. Are co? To juŹ tak daleko  
jesteœmy. I mówisz, żeœ  
    mój wnuk,

    jak w piêtê lizany obwieœ. Co? Mówisz tak? Nie udawaj durnia,  
powiedziałem niecierpliwie. I

    szczerze. Jak tam jest, stary? Jedno jest, innego nie ma, odparł  
wolno znikajšc w zniczu nicoœci.

    A obsiewaæ mi, bo postraszę. Orka i krzyŹ bez koñca, bez koñca.  
Orka i krzyŹ!

    Twarz mi płoneła z wœciekłoœci za utraconš szansš. Anzelm  
Widok był głupi jak kaŹdy

    cymbalista, ale realistš był twardym i mógł mi pomóc w wyborze  
spasowanych programów.

    Źe to halucynacja i zabawa w alegorie? Kto tak myœli, jest  
bezmyœlnym siepaczem magicznego

    myœlenia. Patrzyłem w obłok improwizacji, który płynšł nad  
wysokopiennym Ÿródłem podobny do rozkiszlej drogi nowego œwiata. I  
trwał w tej nieznaney, obecnej aurze bliskiego

    szczęœcia. Jezuniu, powiedział Cisawy. KaŹdy staruch to glista i  
lufa im w krocze. ChodŸmy

    nad staw. Pobiegliœmy w równych skokach na plaŹê Wsi, gdzie w  
zburzonej wodzie hasała

    czereda smarkaczy i musieliœmy ich przepędziæ do ogrodzonego  
bajora. Cisawy z gwizdem

    zaczšł płynšc na œrodek, stałem w wodzie, która namiêtne  
przelewała siê przez moje członki

    i labêdzi dreszcz wstrzšsał moim ciałem, dawaj, krzyknšł Cisawy,  
dawaj tu, Juliuszku, położyłem

się na wodzie i szybkim kraulem dobiłem do niego, a teraz  
oecigamy się do drugiego  
brzegu, powiedział Cisawy, hop, i zanurkował jak kaczka, i  
musiałem ruszyć za nim choć  
zimna, lodowata woda łagodziła ten łabędzi dreszcz, płynłem  
lekkko, wspaniale, majšc przed  
sobš žmijowaty kark Cisawego, który rżał, przewracał się,  
nurkował jak morski lew, kpišc  
sobie z mojej równošczonej gonitwy, nie było mowy, żebym go  
przeoecignšł, zresztš to nie  
miało znaczenia, było mi dobrze, i kiedy Cisawy siedział już na  
brzegu, ja raz po raz dotykałem  
stopami głębi, czujšc jak ten łabędzi dreszcz zamiera w swym  
jednorazowym trwaniu,  
ginie w niezbadanym mule dna, pozostawiajšc moje ciało otwarte  
na przewiew wielkich tęsknot,  
poepiesz się, gamoniu, krzyczał Cisawy, gdybym miał stoper,  
tobym cię wyliczył, jestem,  
powiedziałem padajšc obok niego, wyszczerzył krzywe zęby i  
odwrócił się plecami do słońca, zrobiłem to samo, nasze zmęczone  
oddechy falowały jeszcze wodš, Juliuszku, zapytał,  
lubisz Wiece? Bardzo, bardzo, to jedyne miejsce, w którym jest mi  
dobrze. Cisawy chichotał,  
nie wiedziałem dlaczego, ale nagle odwrócił do mnie prawy  
policzek i bezwyraziste oko  
przykuło mnie do ziemi, ja też idę do szkoły, powiedział po chwili,  
do zawodówki, bo tata  
uważa, że na technikum jestem za głupi. Będę oeluszarem. To  
wspaniale, Cisawy.  
Wspaniale.  
Ale ja nie chcę być oeluszarem. Nie chcę, nie chcę. Czymoē takim  
jak ty, to tak, to mi się podoba.  
Położyłem mu rękš na tym žmijowatym karku, ja mam ioeć do  
ogólniaka, a póŸniej na uniwersytet, powiedziałem, tak jak mój brat.  
Stary nawet sobie nie wyobraża, że miałbym

kiedykolwiek ochotę na pracę w przemyśle. Glisty, mruknął  
Cisawy. Ale grunt, że lubisz  
Wiece, bo i ja ciebie lubię. A robota chłopska niech zapadnie się po  
jaja w piekło. Tak jej nie  
znoszę. Dziadek powiedziałem, chciał mi zapisać grunty na  
majstek, żebym miał  
kiedyś  
swoją forszę. Tylko stary wyzywał go od idiotów i nie zapisał.  
Glisty, powtórzył  
Cisawy. Po  
szkołach pokazemy im, gdzie raki zimują. Zobacysz. Moja ręka  
na jego zmijowatym karku  
przenikała i znikła. To dobrze, bardzo dobrze, że straciłem ten  
sens, za który Anzelm Widok  
i reszta dała gardła, ponieważ jesteśmy już na innej trajektorii i  
wyobrażnia musi pracować w  
swoim miechu historii, i z określonym żalem za tamtą  
współgrajcą częścią pochyliłem twarz  
nad wysokopiennym źródłem, i z przerażeniem stwierdziłem, że  
jest suche.  
Chryste, pomyślałem,  
co za marna mistyfikacja, jaki nędzny pizskol niezliczonych słów,  
w których welonie  
przybyłem, aby zwyciężyć demona rozumu, nie, to już bardziej  
wolę elektroniczną konieczność  
globalnej wioski, w niej na pewno znajdą się pompy, kiedy  
naturalny Źródłostan szlag  
trafi, z wysiłkiem splunęłam w biały zapomniany piach i z obrzękłą  
na ustach radością opuściłam  
to nienaturalne miejsce natury.  
W izbie zapanował półmrok, ciśnie trzymałam dłoń na  
poharatany stole, który mógłby  
być niezakrytą Księgą świata i był niż na pewno dla dziada od  
dawna, dawna, wydawało się  
to mniej absurdalne od tej blagi, która zmęczyła wreszcie ten

wrześniowy gorŝy dzień, stałem

daleki w swej jawnej bliskości, opięty swójŝ i jednoznacznie nie  
swojŝ skórŝ, żujŝc wyćwiechtane

frazesy o posłannictwie i wielkości rodzaju, zablŝniasz nie  
zadane rany etycznej

postaciowości moralnego umiaru, ponieważ nie wierzę  
przebiegłym Achajom, którzy zbudowali

na tym System Wiecznego Porzŝdku, nie wierzę w żadnŝ przeklęsz  
zasadniczość i mój

młody kark nie ugnie się przed podejrzanym absolutem nigdy,  
nigdy. Dziad ućmiechnŝł się z

dumŝ, jadł kapuceniak i z nienazartym mlaskaniem poprosił,  
żebym to powtórzył.

Nie, powiedziałem.

Nie rozumiesz tego. Wtedy krzyknŝł, że jestem głupi szczeniak i  
do końca obiadu milczał mniej więcej otwarcie, bo nie miał na drobiazgi  
czasu, i kiedy skończył, włożył na

głowę kapelusz, który był tak stary jak kary koń albo i starszy, i  
poszlicemy go oporzŝdzać do

jakiejś dalekiej drogi. Jednak dalekiej, dziadku, powiedziałem.  
Owa, odparł On.

Jak nic dalekiej.

Póŝniej zaprzęgliemy go do gumowca, dziadek wymoccił  
siedzenie, rzucił do torby chleb, słoninę i butlę wody i poszedł do  
drewutni, nie było go tyle, ile trzeba i kiedy wrócił,

trzymał w ręku owinięsz starannie wypukłość, cmoknŝł na konia i  
ruszyliemy prawŝ asfaltu,

dom trzeba zamknŝć, powiedziałem, nie trzeba, odparł. Dobry  
Pasterz czuwa. Wieć

patrzyła

jednym zasadniczym okiem, był sierpień i jeszcze robota nie była  
skończona, ale dziadek

uchylał kapelusza zawziętym ruchem i pozdrowienie brzmiało jak  
pożegnanie, chłopiec uważa,

powiedział, to aż za Odrŝ, dobrze, dobrze, dziadku. Wytrzymam.

Popatrzył na niego na  
tyle długo, aby uważać to za wystarczające, wbił siwe oczy w  
czarną nawierzchnię, której  
dwadzieścia lat temu jeszcze tu nie było i on musiał męczyć się w  
błocie z drabiniastym wozem,  
bo krowa nie była w stanie wyciągnąć go z mazi, i jego żylaste  
ramiona były najbardziej  
odpowiedni siłą do jarzma, wszystkie gospodarstwa były zajęte,  
drugi rok pokoju i sołtys  
behradnie rozłożył ręce, ale On położył mu łapę na gardle i tamten  
w psim charkocie wychrypiął,  
że znajdzie. I znalazł. Chłopiec zeskoczył z wozu i zaczął rwać  
przyrowne kwiaty, jego  
ciemiech całkowicie panował nad mijanym obszarem, rzucał na  
wóz i kary koń strzygł  
uszami  
jak młody ogier, pomyślał, że Dobry Pasterz jest wymagający i  
nigdy nie przyzwoli kpić z  
ludzkiej krzywdy, chłopiec lekko wskoczył na wóz i było możliwe,  
że w oczach miał czterolistną  
koniczynę, ciśgle jechali stępą mijając wioski opancerzone  
stodołami, miasteczko przejechali bocznymi uliczkami, aby od zachodu  
wjechać na szeroką szosę, po której mknęły  
samochody, i teraz trzeba już było czujnie kierować karym,  
chłopiec leżał na kupie kwiecica i  
wpatrywał się w niebo, dziadku, powiedział, moje miasto leży nad  
Odrą. Czy to dalej? Jak nie  
dalej, odparł on. Przecież już ci gadałem, że za Odrą, możliwa już  
była ta czterolistna koniczyna  
i stary nacisnął mocniej kapelusz na czoło zryte marszczem, które  
z dalekim poświęceniem  
płynęło w ryku samochodów i on mógł z przyjemnością  
stwierdzić, że kary obojętnie słucha  
wyższego powietrza, taki konik jak stara, powiedział szeptem.  
Owa. I zupełnie miękki



uœmiech rozciœgnœł mu wargi, palce zatrzeszczały na lejcach w  
mocnym uchwycie, mniej  
wiœcej takim samym jak dwadzieœcia lat temu, kiedy wrócił z pola  
i zobaczył  
kobietê w kałuży  
krwi i wyszabrowane obejœcie. Otoczył koszulê ranê w głowie,  
wniœł jê do domu, który  
był pusty jak przeœwit jego kamiennego bezczucia, przeklêczał  
przy niej a¿ do krótkiego,  
zwierzêcego charkotu, który był jej ostatnim sówem. Wtedy  
podniœł siê i z tej odległej od  
ludzi sadyby ruszył w ich stronê niebezpiecznie falujêc ramionami,  
nie witajêc nikogo i sam  
nie bêdêc witany wszedł prosto na plebaniê i położył przed nosem  
ksiêdza tê okrwawionê  
koszulê, na której zakrzepła jego nienawieć, zastana nadzieja  
œwiêtego powrotu w ojczyste  
koryto, nieobliczalny zryw do walki, mœdroœć wieków synów i  
ojców i prostorozległy otok  
samotnoœci. Co? – powiedział ksiêdz. Dlaczego? Ha, powiedział  
on. œwiat jest mały i nie  
ucieknie. Bóg jest miłosierny, powiedział ksiêdz. Doœć ju¿ krwi.  
Ale œwiat jest mały, powtórzył  
on. Ksiêdz zrobi swoje i ja zrobiê swoje. PóŹniej cofnêł siê w  
daleki cieñ i kiedy trzasnęły  
drzwi, wbił siwe, bezwinê blyszczêce oczy w milczêce sadyby i  
zniknêł z okolicy jak  
przelatujêcy ptak. Dziadku, powiedział chłopiec. Po co tam  
jedziemy? Ucisz siê, odparł on.  
Ucisz siê tera. Zapadł zmrok i nieustanny ryk samochodów jakby  
zelzał, koñ szedł  
stêpa, odwracał  
lêb w bezgłódzie zmêczenia i chłopiec widział wyraŹne prêgi na  
jego zadzie, zjechali  
na polnê drogê w majaczêce mrokiem zabudowania, jedna z wielu

wiosek nie opodał tej  
wspaniałej szosy, którą trzeba było zauważyć w swym myślnym  
uoczeniu, oddał  
chłopcowi lejce  
i wszedł na podwórze, nie było go tyle, ile trzeba, póŹniej  
trasnęła brama równocześnie ze  
œwiatłem i dziadek krzyknął; wjeżdżaj, przy nim stał barczysty  
chłop i cmił  
papierosa. Przy  
chlewie stańcie, powiedział. A siano dam bez rachuby. Głęboko  
wdzięczny, powiedział dziadek  
i zaczął wypręgać konia, chłopiec ciŹgle trzymał lejce i w jego  
małych œlepiach palił się  
zapadły dzień, wrócił chłop z naręczem siano i rzucił na wóz, pysk  
karego zanurzył się w obfitym  
pożywieniu, zachodŹcie do chaty, powiedział, dziadek wziął torbę  
i trzymajŹc go za  
rękę ruszył za gospodarzem, w obszernej kuchni liczna rodzina  
siorbała mleko zaciskajŹc ręce  
na kromkach chleba i z napięciem wpatrujŹc się w telewizor,  
usuńcie się, powiedział chłop do  
dwóch dziewcząt, które posłusznie cofnęły się pod piec, dziadek  
wyciŹgnął z torby chleb i  
słoninę i zamaszycie uczynił znak krzyża, daj mleka, powiedział  
chłop do rosłej kobiety i ta  
szybko postawiła kwartę, głęboko wdzięczny, mruknął dziadek,  
umoczył usta i przeciŹgle,  
bezpamiętnie popatrzył na chłopca. Pił zachłannie i zdrowo.  
Zaczął jeć małymi ukŹszeniami,  
dziewczęta chichotały, dokŹd Bóg prowadzi, spytał chłop i on  
nieokreœlonym gestem  
wskazał zachód, dziewczęta ponowiły swój chichot, przestańcie  
no, krzyknął chłop i dokończył  
bezbarwnie, babskie załupy, dziadek kiwał głowŹ i widział  
dokładnie, jak jego pomarszczone

czoło kołysze światłem lampy, telewizor pieczołowicie  
pokazywał ziemię obiecans, sznur wozów, wsie i miasteczka budowane  
na prawie niemieckim, przez tego czorta, powiedział

chłop, jestem głupi jak baran, cichaj, stary, powiedziała kobieta,  
cichaj no, chłopiec miał

już dosyć i położył głowę na stole, skończył jeść i włożył chleb  
do torby, głęboko wdzięczny,

mruknął, nikt go nie słyszał, bo filmowa ziemia obiecana opływała  
w niepowседневnej radości,

niedawno był mord i jakieś wesele, patrzył w bezduszną skrzynię  
osowiałym kamiennym

wzrokiem, cygaństwo, rzekł bezsłyszalnie, wredne cygaństwo, i  
stanowczo zacisnął

pięć,

jeszcze mógł to zrobić nie licząc się z tamtym czasem, który od  
dawna próbował

go powalić

na kolana, capiooki morderca jego dzieci, mglisty pierwostan  
utraconego raju, jedyna łza spadająca

w rękę nurt zapomnienia i on nad nim z niebezpiecznie  
rozfałowanymi ramionami, chłopiec spał jak zabity, Juliuszku,  
powiedział, Juliuszku, wstał i lekko wziął

go na ręce, idźcie

do stodoły, powiedział chłop, noce teraz ciepłe, jak nic ciepłe,  
Juliuszku, mówił

po niej w

ciemności słuchając równego oddechu, nie pobłogosławiony snem  
aż do brzasku, rozdygotany

przez pewność, że jest to nieodwołalny wymiar Dobrego Pasterza,  
który nie kpi z ludzkiej

krzywdy, rano głośno zmówił modlitwę pojsć i zaprzęgając  
karego, obudził

chłopca, który

trząsnął się od chłodu, przemył mu twarz pod studnią i ciśnie sennego  
posadził na siedzeniu i

prędko wyjechał z obojczyka. Gdy wydostali się na szosę, słońce zgasiło swój purpurowy płat i

nabierało normalnego ultrasiębnego kształtu, nie widać było żadnego samochodu i koń szedł

raŹno, na obojczyku lasu wisiała mgła, skoszone zboża wtapiały się w horyzont, dziadku, powiedział

chłopiec, jedziemy, jakby nas gonili. Czy to tak daleko? Za Odrš, odparł on i zupełny,

miękki ucemich powtórnie rozcišgnł mu wargi, przestrzenny spokój szczelnie owinł wędrowców,

chłopiec rozbudził się całkowicie i wpatrywał się w prostopadły lot skowronków do momentu nagłego ryku silników, który odrzucił ptaki głęboko w pola i trzeba było zacząć

czujnie kierować koniem, mijali wsie i miasteczka w koniecznej nieobecności i mniej więcej

w południe ujrzeli potężne kominy fabryk Wrocławia. To moje miasto, powiedział

chłopiec.

Owa, odparł on. Nasze miasto. Teraz szosa już była zapchana samochodami, jechali w potoku

masek i on uniósł kapelusz nad zryte czoło, żeby dokładnie rozpatrzeć miejsca, przy pętli

tramwajowej koń zaczął gryŹć wędzidło i walić kopytami, paru młodych ludzi zaczęto gwizdać

i chłopiec podniósł swójš małš pięćć, spoza jakiejš ciężarówki wyjechał

milicjant i lizakiem

pokazał, gdzie majš stanść, co jest, krzyknł jeszcze kawałek od nich, co jest, obywatelu,

miął czerwons dobroduszns twarz i chłopiec pomyœlał, że wyglšda jak kaczor Donald, nie

wiecie, że wozakom na tej ulicy nie wolno się poruszać, powiedział uprzejmie klepišc karego,

kiedyš było wolno powiedział dziadek, niech da przejechać, alež człowieku, powiedział milicjant,

kiedyœ były inne czasy, no, mruknął dziadek, dwadzieœcia lat temu ja tędy jechał w spokoju.

A dokšd jedziecie? – spytał milicjant obchodząc gumowiec i kręcąc z dezaprobatš głowš.

Za Odrę, odparł on. Czy da przejechać? Przez centrum nie ma mowy, powiedział

milicjant

i wycišgnął mapę. Jaki to ma być wylot? Na jakie miasto? Za Odrę, powtórzył on niecierpliwie.

Milicjant chwilę obserwował go z uwagš, ale zacięty, kamienny wyraz twarzy starego przekonał go niezbitcie, że jest to jakœ ostateczna droga i żadna mapa jej nie wykaże.

Dobra, powiedział. Powinienem wam wlepić mandat za brak œwiateł i innych rzeczy.

No, ale

dobra. Słuchaj, mały, zwrócił się do chłopca, twój dziadek widać jest nie z tego œwiata i dlatego

musisz wyprowadzić go za tę Odrę. Skręćcie teraz w przecznicę, którš widzisz, i dojedziecie

do w miarę spokojnej ulicy, o ile sš w tym mieœcie spokojne ulice, to ta jest najpewniejsza.

I tej ulicy będziecie się trzymać długo, bardzo długo. Liczne mosty, przez które przejedziecie, nie majš znaczenia. Dopiero jeden, wiszšcy. Ja wiem, przerwał

chłopiec. Most

Grunwaldzki. Ja juź wiem. Dobra, powiedział milicjant. Reszta mnie nie obchodzi.

Z Bogiem.

Kary ruszył i on lekko uchylił kapelusza, głęboko wdzięczny, mruknął, ulica faktycznie była

spokojna, drzewa rzucały długi cień i dziadek oddał mu lejce, jego siwe oczy uważnie obejmowały

domy, dziadku, powiedział chłopiec, może wstšpimy na Sępa. Ha? – spytał jakby nie

słyszał i pomyślał, że Dobry Pasterz jest mu ciśnie przychylny.  
Frontony bloków przygniatały  
kark, nie znał tego, dwadzieścia lat temu tylko gruzy i kamienne  
szkielety, dworce przecinały  
nieskończoną jazdę i dobrze widzi masywny, rozedrgany transport  
wypełniony po swojsze  
określonosc rozkrzyczanę masę, zaklinowany gardłem wielkiej  
niewiadomej, której brawurowa  
celowosc nie miała sobie równej w żadnym jednostkowym  
użyciu, kazał siedzieć kobietom  
na walizkach i z synem zanurzył się w różnolity tłum, który  
koczował na każdym wolnym skrawku ziemi, biegł fałsz wolnego  
odruchu, widać było jego skłębiony wysięk wokół  
ludzi, coe mówili machając rękami, ich usta przypominały dzioby  
attyckich kogutów zakneblowane  
narastającym brzęczeniem siłosilnych słów wyrzucanych z tysiąca  
piersi, syn węzowym ruchem prowadził go w stronę tych ludzi i z  
każdym krokiem brzęczący koncert  
nabierał konkretnej rytmicznej mowy, aby w pewnym miejscu  
uderzyć wezwaniem Polska  
Ludowa i naród. Tato, powiedział syn. Słuchaj tylko. Słuchaj. I  
zaraz ten skłębiony wysięk  
otoczył go swoimi kleszczami, musimy, krzyczał mówca,  
odbudować uczelnie i fabryki,  
niech synowie robotników i chłopów prowadzisz kraj do  
powszechnego dobra, hitlerowska  
bestia chciała nas zetrzeć z powierzchni ziemi, ale narodu nie  
można zniszczyć, człowieka  
można pokonać, wiedzieli o tym dobrze starzy Piastowie, kiedy  
przez wieki walczyli o słowiańską  
godność tej ziemi, niech żyje wolna i niepodległa Polska Ludowa,  
do pracy, bracia,  
do szkół, socjalizm to potęga, śmierć imperialistom i ich  
poplecznikom, śmierć, śmierć, ryk  
bił w niebo, syn wymachiwał pięściami i w jego oczach palił się

wspaniały płomień zwycięstwa,

Jaćku, powiedział on, co tobie, tato, wrzasnął mu w samo ucho,  
teraz my państwo, my  
naród i czas zdobywać wiedzę. O, ja już gotowy. Słyszysz, ojczy?  
Jużem gotowy.

Jaćku, powtórzył  
z bezwzględnością, ginąc skargą. A rola? Ale syn cięgle machał  
pięściami, musiał  
chwycić go za kark, dopiero wtedy popatrzył na niego tym  
rozognionym okiem, ależ tatu,  
powiedział ze zjadliwym uśmiechem, to po co było mnie posyłać  
do gimnazjum, kołysał nim  
jeszcze chwilę, lecz nadciągająca mglistość zmasowanym atakiem  
rozbiła mu legendę w

oczach i z nieznaną siłą wypchnęła go z tłumu. Gdy wrócił do  
kobiet, brutalnie podniósł synów  
z walizek i pchnął je w nieogarnięte ramiona nadbiegającego męża  
i ruszył

powtórnie w  
brzęczy koncert nie słysząc konkretnej rytmicznej mowy, nie  
pojmując masywnych, rozedrganych  
transportów, wyselekcjonowanych z ziemskiej społeczności.

Dziadku, powiedział

chłopiec, zaraz będzie most. A dalej to nie wiem. Maładec, odparł  
on i jego siwe, wypełnione  
bezwinne oczy zaszklily się na kształt spadającej gwiazdy.

Maładec. Później ryj szosy wchłonął

ich w siebie, domy przedmieścia znikły za wysokimi drzewami,  
słońce spadało w garniec

horyzontu i po kilku długich kilometrach mrukliwy mrok zaczął  
przygniatać jasność, chłopiec

niespokojnie popatrzył na wypukły przedmiot, który przez dwa dni  
cięgle tkwił w tyle wozu,

dziadku, zapytał, daleko jeszcze, Owa, powiedział on, prawie już  
nie, i to nie przedłużyło się

o następne kilometry, o następne wioski z psiš muzykš, tak że  
kiedy zjechali z szosy w koleiny  
polnej drogi, chłopiec jut spał i on musiał dobrze uważać na  
migajšce œwiatła, które rozpraszały  
jego przekłętš samotnoœć na chaotyczne zalękle ruchy, to był  
tylko moment i znów wrócił do równowagi, wioska wyjrzała zza  
wzgórza w ponurym uœpieniu, stanšł na skraju  
małego zagajnika, tak mu się przynajmniej wydawało, położył  
głowš chłopca do siedzenia i  
mocno opatulił go płaszczem, chwilę wpatrywał się w rozmarzonš  
twarz, ale szybko odpędził  
nadbiegajšce wzruszenie, chwycił wypukły przedmiot i zdarł z  
niego okrywajšce płótno i w  
mrukliwym mroku błysnęło ostrze siekiery. Wszedł na pole i  
skierował się w słabo œwieçszy  
punkt na uboczu wioski, poznawał juŹ stare smukłe topole, które  
dwadzieœcia lat temu wyglšdały  
mniej wiêcej tak samo, pulsujšcš dozgonnie taflę stawu, przed  
bramš zatrzymał  
się i  
palcem stuknšł o deskę, próchno, pomyœlał, próchno i kara, na  
podwórzcu dzwoniła przeraŹliwa  
cisza zrujnowane zabudowania w ciemnoœciach wycišgały swój  
masywny bezkształt wskazujšc mdle œwiatło w jednym jedynym oknie,  
poczuł druzgocžszy ból w piersiach, kurczowo  
ucapił stylisko i pchnšł drzwi. Źarówka na moment œlepila go,  
trwało to moŹe sekundę,  
w której próbował unieœć ten zatajony czas dwudziestu lat, ale  
było juŹ za póŹno, stanowczo  
za póŹno, bo zasuszony kocciotrup podniósł się od stołu i jego  
zgniły oddech przyszpilił  
go do progu. Jesteœ, powiedział. Ale ja jej nie zabiłem. Ja nie. Ty,  
rzekł on z jakšœ zdławionš  
beziłš, z nie umniejszonš ani na jotę nienawiœciš, i podniósł  
siekiereŹ mniej wiêcej na długoœć



ręki i wolno ruszył w sam ośrodek zgniętego oddechu, nie słysząc  
padającego ciała ani straszliwego  
ryku o łaskę, nie słysząc niczego zbędnego, prócz może echa  
zatajonego czasu, który  
oślepiał go powtórnie, i siekiera runęła w dół, rozrywając stół na  
dwie odległe połowy, moja  
krzywda, pomyślał i poszukał go wzrokiem rozpląszczonego na  
ościanie, poszeptującego w  
tym zgniętym oddechu strzępy modlitwy, wyrwał siekiere z  
podłogi, ale nagle bolesne omdlenie  
rozbiło mu siły, popatrzył na niego tym gasnącym galilejskim  
spojrzeniem i powiedział:  
niech ci Dobry Pasterz daruje, przeklęty. Zdychaj z moją krzywdą  
do dnia Sodu.  
Zdychaj. I  
długim prostobitnym krokiem wyszedł w mrukliwy mrok,  
zostawiając wreszcie za sobą echo  
utajonego czasu, wieków pokorę, gadatliwy nurt niczego. Kiedy  
wrócił, chłopiec ciśnie spał z  
rozmarzonym, fantastycznym wyrazem twarzy. Niedbale rzucił  
siekiere na wóz i skierował  
konia w głębokie koleiny polnej drogi, która mniej więcej po  
godzinie skończyła się jak  
ucięty gwizd postrzelonego ptaka i czarny ryj szosy wchłonął ich  
całkowicie.  
Chłopiec zbudził  
się równo z pierwszymi promieniami słońca, tarł oślepia i poprzez  
mglistą rzeczowość  
otoczenia widział wybijający się kształt siekiery, dziadku, rzekł  
wreszcie, dlaczego mnie nie  
zbudziłeś, dlaczego nie zbudziłem Juliuszka, powtórzył on z tym  
pełnym miękkim uśmiechem  
i otoczył go ramieniem mocno, po męsku, koń biegł jak Żrebiec i  
choć jęk samochodów  
stawał się coraz głośniejszy, ale nie miało to już żadnego

znaczenia, żadnej wymienności

na słowo, które mogłoby ich wywyższyć jak gniewnych serafinów pełnych łaski, ponieważ

zmięzali ku swej jedynej losowości spragnieni tajemnicy i dumnej prawości.

Opuściłem izbę, opuściłem podwórze i znalazłem się przed tym obskurnym barem, w którym

Wiece poszukiwałaś swojej wielkości. Poczulem gwałtowny, niemal rwący głód i automatycznie

skierowałem tam swoje kroki. Sala była pełna mężczyzn i wrzask ogłuszył mnie jak sen o potędze, zniszczył tę resztę wrażliwości na dźwięk indywidualnego języka, że bezmyślnie

wpatrywałem się w wyschnięte kotlety i dopiero bufetowy sprowadził mnie do realnego

wymiaru. Kazałem mu podać jedną z tych żelazistych porcji i poszukałem wzrokiem miejsca. Wtedy zobaczyłem Cisawego w otoczeniu kilku facetów w granatowych drelichach.

Bezwiednie podniosłem rękę w geście przymierza, ale udał, że mnie nie widzi.

Cham, pomyślałem.

A jednak cham. Siadłem przy jakimś stole i żarłem, dławiąc się z obrzydzenia.

Byłem

zmęczony, piekielnie zmęczony i chciałem już być poza kręgiem Wsi, poza znaczeniem rozległych

pól, poza wszystkim, wszystkim. O, Gabrielo, zostawiłaś mnie przed pocztkiem końca walki o czyn i nigdy ci tego nie daruję. Nigdy, nigdy i czulem, jak palś mnie oczy od

gniewnego żalu, i pomyślałem, że muszę się wreszcie wyzwolić spod bani pozornego życia.

Ostatecznie i na wieki. Zamazany chłop chleptał mi przed nosem piwo i klął z wyważoną

dokładnością na swój dobrolubny hektar, wydawało mi się, że go rozumiem, że wiem, jak

wygląda jego pełnia zatraskująca bramy królestwa swobody, w

które chciałem wymierzyć

dziób sowy Minerwy zapomniany i pełen kojšcego jadu, otoczony  
nędznš pianš zasłowanej

rzeczywistoœci, wyliczony przez zdrewniałš, zharatanš Księgę do  
najdłuższego oddechu, po

którym nie sšdzone juŹ było Źadne uwznioœlenie duszy, Źadna  
bezpoœrednioœć odczuć tego

przyszłego œwiata odzyskanego pierwobytu i realnego  
człowieczeństwa. Poczulem doœć mocne

uderzenie w plecy, podniosłem łeb i zobaczyłem mętne, złe œlepia  
faceta w granatowym

drelichu.

– Tej – powiedział. – Mać kultura szlus. I nie ma was, bo na  
dachach las. Tej, kapujesz?

– Nie znam pana – powiedziałem. – Proszę dać mi spokój.

– Tej – ryknł. – Tu kurwa mówię, kretyn mówię, piękno mówię.  
Tu, w tym barze mówię!

Tej, podskoczysz?

– Spłyń, koleœ – rzekłem wstajšc z miejsca. – Słyszysz?

Widziałem, jak œlepia mu zadrgały i tępy spoczwarniały uœmiech  
zastygł na ustach. Po

chwili kłapnł szczękš i zaczął głoœno rechotać. Chryste,  
pomyœlałem. Co za bydlę. O, Chryste.

Odsunšłem go zdecydowanym ruchem i ruszyłem do wyjœcia.  
Jednooka cyklopia dobroć paliła mi kark i czulem, jak wpadam w sieć  
wymiecionej z ludzi przestrzeni ulicy. Próbowałem

odwrócić głowę i rzucić im jakieœ ociężałe przekleństwo, ale ten  
rechot był nie do pokonania.

Stoczyłem się w ciemnoœć jak skopany kundel. Bat, powiedziałem  
zgrzytajšc zębami.

Bat i kopalnia uranu. O, tak. Tylko tak. Powtarzałem to w jakimœ  
kosmicznym rozkojarzeniu

odkrytej zagadki bytu, umieszczony pomiędzy i nad jej łœnišcym  
ostrzem, przyczajony do

ciosu jak Wieœ do snu i odarty z pancerza intelektualnej

pryzwoitoœci, nie znany własnemu  
miejsu, ktorego nigdy nie mialem, ja, ptak oceanu, zaplŃtany w  
sidla zatrutych metafor, zagwozdzony  
przez samotne rozmyœlania i rozpietoœc spoœecznego smutku.

Juliuszku, powiedzial

Cisawy, ja ciebie pojmuje obrazowo i pojecioowo. Jak cholera  
pojmuje. Szlicemy œrodkiem

szosy przekonani o wlasnej slusznosci, to znaczy ja bylem  
przekonany i patrzylem na

mieszkancoŃ Wsi królewsko rozwalonych na przyrownych  
lawkach, byla niedziela moich

pierwszych uniwersyteckich wakacji i kierunek uderzenia mialem  
juŃ sprecyzowany.

Teraz posluchaj. Polska to kraj ludzi mlodych i w tak zwanej sile  
wieku, czyli jest to panstwo

o niezwyklej prężności, poniewaŃ zasadniczŃ pracŃ mlodoœci jest  
tworzenie nowych wartosci (co za pieski rym), z ktorych czesc  
powinna wejœc do skarbca kultury narodowej.

Ale ona ich nie tworzy, wręcz przeciwnie, nawet te prawdy, ktore  
przekazala tradycja, sŃ

rozmyte, jezeli nie pozostala z nich tylko pozyteczna iluzja lub  
coe w tym stylu.

W tej sytuacji

trzeba sobie postawic pytanie: za co i dlaczego? Ja wiem dlaczego!

Wiesz, zachichotal Cisawy,

skŃd wiesz, Juliuszku? Z analizy charakteru naszej epoki,  
powiedzialem. Widmo nagoœci

krŃzy po Europie, Cisawy. Bicz grzechu byl zrobiony z piasku,  
Cisawy. Co to moze dac w

sumie? Pospolite utopie albo nuklearny rozpirzaj. Wskazalem mu  
rozwalonych na przyrownych

lawkach mieszkancŃ Wsi i powiedzialem: Ludzie nie wiedzŃ, ze  
sŃ tylko jednŃ wielkŃ

osobŃ. Mlody Marks doskonale to rozumial. Teraz chodzi o to,  
zeby ta wiedza nie rozeszla sie

po starych kocociach ludzkoci, bo jest już tak ogromna, że można ją skruszyć w gwiazdny pył.

Mam oczywiście głupiś nadzieję, że wiedza nie jest ważna, że najważniejsz miłociś rodzaju jest wyobraŹnia. Tu podam ci dwa przykłady. Szymon Słupnik i Albert Einstein.

Gdyby odrzucić chrzeœcijańskŹ teodyceę i popatrzeć bez uprzedzeń na tę postać, czyż nie okaże się ona niezwykłŹ? To symbol charakteru, ustawicznej walki ze złem, który nie opuszcza naszych plugawych myœli. I teraz człowiek– gigant, ekstrakty umysłowego rozwoju i tak dalej. Szymon wyglŹda przy nim jak tępy fanatyk. Ale obydwaj majŹ w sobie wspólny rys. Jest nim potrzeba odkrytej wyobraŹni, czegoœ absolutnie skończonego, w którym także nieskończonoœć ma swój wymiar pusty lub nie, to już ostatecznie nieważne. Rozumiesz, o co mi idzie.

Cisawy? Ach, Juliuszku, odparł on. Ja jestem prosty chłop i tylko sobie kapuję, że coœ w tym jest. Ale wiem, po równo z telewizjŹ, co jest nad tym œwiatem. Wiem. KrzyŹ codziennoœci i burdel radoœci.

Lecz co mnie w rezultacie do tego, kiedy sołtys nie władza, koza nie zwierzę. Co mnie do tego. Na miejskim wygnaniu, jak mówi mój rodzic, człowiek idiocieje i marnieje.

Czyż nie tak, Juliuszku? Cisawy, powiedziałem, mam dwadzieœcia lat i nie zniosę kłamstwa, zbrodni, cynicznych kompromisów. Ja musze coœ wymyœlić konkretnego lub fantastycznego, kiedy zdechła dosłownoœć prozy przygniata mnie jak wołyński wóz, to ja muszę, Cisawy, muszę

wierzyć, że Polska jest jednoznaczniakiem dobra i czystoœci,  
muszê zgodnie z sumieniem i z  
mojš ponurš wyobraŹniš. I nieodparty histeryczny popłoch  
chwycił mnie za gardło i taka  
straszliwš poczułem nienawiœć do tej wyklêtej przemiennoœci, że  
musiałem chwycić Cisawego  
za ramię i w Źelaznym uœcisiku uciszyć spazm serca. PóŹniej  
zostawiłem go w gronie podchmielonych  
rówieœników i wróciłem do dziada, do mego wielkiego dobrego  
dziada, który siedział przy zharatanej Ksiêdze i modlił siê do swego  
Dobrego Pasterza, chciał  
mi uŹyczyc  
drobinê swej niezachwianej wiary, lecz ja nie, ja juŹ byłem w  
krêgu mœciwego Źalu i nie mogłem  
nawet o nim słuœać, bo i jak, jak. O, Chryste. Jak?! KršŹyłem  
wokół punktu powszechnego  
braterstwa juk œma, œlepy na bezdusznš czołobitnoœć istnienia,  
upojony ksišŹkami, w  
których odnalazłem wraŹenie wielkiego Źycia, co było moŹe  
przesadš, ale nie pustym pojęciem,  
włœœciwie próbowałem go sobie przyswoić, narzucić jego  
wielkoœć temu przyszłemu królestwu koniecznej wolnoœci, dałbym  
wiele, aby ujrzeć teraz i za sto lat jego apolitycznš  
piêtê, zasypiałem i budziłem siê z tym ckliwym marzeniem,  
przychodziłem do Cisawego i  
razem kosiliœmy zboŹe, poniewaŹ pragnšłem tego zespolenia ze  
znojem dnia, z heroicznš  
wiarš w sens pracochłonnego wyzwolenia od gadatliwej  
metafizyki i zaczarowanego symbolu  
rzeczy. Niestety. Zupełna ciemnoœć pokryła chłopskie sadyby, na  
przystanku autobusowym  
usiadłem pod wiatš i rozpocšłem cierpliwe oczekiwanie na ten  
sam wóz z pulchnym kierowcš  
o wodnistych prawdziwych oczach człowieka czynu, miałem  
dziwnš pewnoœć, że powtórzy

kurs dla mnie, po prostu dla mnie, żeby mi powiedzieć, tak to jest, człowieku.

Tak i koniec,  
zresztś nieważne, byłem piekielnie zmęczony i chciałem być jak najszybciej poza dobroлюбnymi hektarami Wsi. Chciałem, oczywiście. Ale ta dzika racja moralna, która zawsze chroniła mnie przed pustosłowiem, przed zgubieniem się w gśszczu rozterek, okazała się

niewystarczajśca, tak że musiałem jś odrzucić jeszcze przed zupełnym utożsamieniem z tymi serdecznymi sprawami i od jutra zacząć pracę w Poznaniu z balastem burzliwych wśtpliwococi.

Od jutra. I tak czekajśc na autobus męczyłem się nad tś niedocieczonś chwilś, z której wyrwał mnie gardłowy zwycięski œpiew. Nagły pot œciśł mi plecy, chciałem opuœcić wiatę i uciec, ale nie miałem dokśd i z zapoznanym spokojem słuœiałem, wulgarnej pieœni.

Psy wyły  
bezpamiętnie na jednej tonacji, wpatrywałem się w swoje trzaskajśce palce i głupio myœlałem, że przypominajś siepackś dłoń Wiszatiela. PóŸniej œpiew się urwał i dochodził mnie coraz głoœniejszy rechot, wbijał się klinem w mózg, z wysiłkiem mogłem zapanować nad drzeniem kolan, pytajśc cienia swojego strachu, czy zniknie wreszcie z rozgorżczkowanego umysłu,

i dopiero jak stanęli przede mnś w cyklopiej jednookiej postawie, przestałem dygotać i popatrzyłem w ich skrzywione paroksyzmem żywotnococi twarze. Próbowałem wstać, ale cios

zmiażdżył mi wargi i poleciałem głowś między silne włochate nogi. Zawsze, pomyœlałem z

nieogarnionym, skończonym wysiłkiem. Samotnoœć i nuda. Zawsze to samo.

Beznadziejne.

– Ludzie! – krzyknęłam dławiąc się krwiś. – Za co? Dlaczego?  
Och, ludzie!

– Za mac kulturę, gnoju – zaciął się któryś dalekim  
bezcieleśnym ociemiechem.

Na moment jakaś nieznana iskra oświatłości padła między nas i  
zobaczyłem ceniolubną

twarz Cisawego pokrytą czerwonymi ognistymi plamami i w  
prerażającym bezkrzyku zrozumiałem,

że wszystko zostało skompromitowane i bezwzględny, jedyny ból  
wyniósł mnie ponad plugastwo ziemi, objął zniechęcając siwiznę  
wszechświata, zakończył

nieskończoną

walkę o czystość, dobro i miłość, i majestatycznym, odwiecznym  
kopniakiem wykopał mnie

na ocean wiekuistej, drapieżnej ciszy.

Podnieśli go i szybkim metodycznym marszem przeszli rozległe  
ogrody Wsi nad falującymi

bezszerem staw i wrzucili jak psa. Jeden splunął mocno i celnie i  
zabagniona głębia zamknęła

się za nim z głuchym skowytym.

Zeznanie Cisawego

Zaraz po pytaniu dotyczącym mojego wykształcenia przejdę do  
świata, który obarcza mnie

winą jak skrojonego złoczyńcę większej klasy, co się zupełnie nie  
sprawdza w dotyku mojego

odczucia. Nauczycieli swoich nie pamiętam z różnych względów,  
ale wyjawię, że kierownik

podstawówki przez swój wyzysk wbił mi się w pamięć jak gruda w  
końskie kopyto, co następuje

każdej wiosny, która charakteryzuje się dużym przerobem roboty.

Dla mnie wsiowa robota

jest nie do zniesienia i dlatego pośrednio cieszę się, że jestem  
oślusarzem, bo to mi pozwala

oddychać powietrzem wolności. Na miejskim wygnaniu



uzyskałem oświadczenie szkoły zawodowej, choć chciałem o wiele wyżej, lecz rodzic uważał, że jestem za głupi, co nie jest zgodne z wykładami telewizyjnej maszyny, które pojmuję w lot dobrej nowiny, jeżeli można

tak się wyrazić. Uważajcie na to jak na rozkwitające gałęzie lipy, kiedy się do nich dobierasz, aby stworzyć sobie niezastąpione lekarstwo na dolegliwości natury, chcę wyrazić, że Juliusz

Widok był moim przyjacielem od małego i pozostanie w mojej pamięci na zawsze.

Nie mówię tego dla widzimisie naszej sprawy ani dla zwykłego oszustwa ubocznego rozumu, który tak wszystko poprzekłada, że na powrót niczego przełożyć się nie da, ale mówię to dla ludzi

mądrych i szczerze kompetentnych. Ponieważ urodziłem się na Wsi i do dziesięciu lat nie

miałem nadziei na inne życie jak to, które możesz obejrzeć w telewizyjnej maszynie w porze

letniej, kiedy sprawozdawczość filmowa pokazuje kołbę zbożową i omłot kombajny, dlatego

będę szczerzy do najbliższych trzewi i powiem, co było pierwszym następstwem tej piekielnej

roboty, która otępiła jak żadna. Przedtem jednak muszę policzyć się z dziadem Juliuszka,

oraz oświadczyć wiarę naszych ojców, jeżeli można tak się wyrazić. Dziad Jędrzej był

naszym sąsiadem od roku 1947, czyli od zamierzonych czasów, które znam z jego i mego rodzica

opowieści. Był to facet tak zajadły na robotę, że bez baby potrafił mieć wszystko dokonane na

czas, co budziło osłupiały szacunek Wsi i wielkie przywiśzanie do jego słowa.

Nie chciał

mieć drugiej żony, choć swatano go z różnymi kobietami i nawet mój rodzic próbował go

ożenić z moją ciotką, której chłop zabił się po pijaku spadając z gumowca na gładkiej jak lód

szosie, czego do dzisiaj nie mogę pojąć w kategoriach mojego myślenia o śmierci.

Kapuję

jednakże, że los człowieczy może się różnie kończyć i dlatego temperuję swój bunt przeciw

tak marnemu zamknięciu kalendarza. Przy okazji dodam, że to swatanie dziada Jędrzeja z

moją ciotką czynione poprzez rodzica miało na celu zajęcie jego ornich gruntów, aby wypełniła

się do ostateczności chciwość rodzica na ziemię i jej urodę. Co jednak dobrze pamiętam z

tego sąsiedztwa, to regularne, tygodniowe zapijanie się dziada Jędrzeja, mniej więcej trzy

razy na rok. Po żniwach, po Nowym Roku i po Niedzieli Przewodniej. Wtedy też chodziłem

do niego przez płot z odlanym garnkiem zupy, którą czyniła moja matka w litości swojego

serca. I wtedy też dowiedziałem się, że ma niewdzięcznego syna, jakiegoś

profesora uniwersyteckiego

oraz dwóch wnuków, z czego starszy był przegrany już w chwili narodzenia, a młodszy, to znaczy Juliuszek, był wyniesiony przez jego pamięć do zupełnej miłości, co później

dobrze zrozumiałem, jak poznałem pana Ryszarda w dniu pogrzebu. Moje dokładne wywiadowanie

się u rodziców nic nie dało, ponieważ wieść niewiele wiedziała o wojennych i tuż

przedwojennych czasach dziada Jędrzeja, tylko tyle, że był na robotach w Rzeszy i po wyzwoleniu

miał za Odrę gospodarkę, w której umarła jego żona na jakiś gwałtowny nieznanый koniec. Dopiero jak Juliuszek przyjechał na swoje

pierwsze wakacje i poznał

się ze mną

na tyle, aby zapisać w moje serce jak milczy niebo, kiedy  
widzisz je na minutę przed burzą i

doznajesz niewysłowionej rozkoszy w pazurach jego spokoju,  
mogłem mniej więcej zorientować

się w gmatwaniu tych żywotów. Bardzo niedobrej gmatwaniu,  
jeżeli można tak się

wyrazić.

Przy okazji muszę napomknąć, że mieszkańcy Wsi byli bezlitośni  
dla tych, którym podobał

się świat bez Boga. Takim człowiekiem był Juliusz Widok i choć  
jako syn profesorski

mógł gwizdać na chłopską ciemnotę, to jednak pouczał nas,  
młodych, że każda wieczność

wędrująca nad spląkaną ziemią jest ciężką i powinniśmy w  
kupie walczyć o doskonałość.

Tego rodzaju wypowiedzi spotkały się z ostrym potępieniem Wsi,  
a proboszcz nasz w sposób

chamski zaatakował z ambony myśl niezależną, co jest  
zrozumiałe u faceta, który nie ogląda

telewizyjnej maszyny. Dziad Jędrzej mitygował Juliuszka, jak  
mógł, ponieważ wyjątkowo go

kochał i marzył mu rzeczy nieobliczalne. Ale to było znacznie  
później, natomiast wcześniej

myśmy dwaj stanowili jedno do samego końca wakacji, po  
których on wyjeżdżał do Wrocławia,

a ja zostawałem przy krowich ogonach, coraz gorzej je widząc i  
całkowicie zaprzestając

się w szacunku dla krwawego potu rodziców. Bo kapowałem  
sobie, że dla ambitnych ludzi

indywidualny pług nie jest wyjściem do szczęścia, a co warte  
życie bez szczęścia i czynionej

na siłę roboty, co warte każde uderzenie w czoło tam, kiedy nie  
czujesz w swojej piersi rozpierającej

dumy z tego, że twoja potrzeba jest potrzebą wspólnoty? W dodatku Wiec w szeregach

swoich wykształconych synów posiadała oficera marynarki handlowej, który po dalekomorskich rejsach; wracał na kilka dni pod strzechę i opowiadał o niezmiernie potężnej siły.

Wtedy jeszcze nie mieliśmy w domu telewizora i musiałem chodzić do świetlicy, co mnie strasznie denerwowało, bo nie mogłem odpowiednio chłonąć przepastnych jawności.

I raz poprosiłem naszego oficera, aby mi przywiózł z dalekich archipelagów pamiątkę.

To było pod koniec podstawówki i moja prośba zaskoczyła go, że aż jej pożałowałem. Ale obiecał, że będzie

pamiętał. Tylko że to zaskoczenie, które wyrażało mój bezczelność i goręce pragnienie

zobaczenia innych narodów nie podobało mi się zupełnie, bo w nim od razu wyjrzała ta pańska

świadomość, że ja jestem czymś lepszym, a ty, bracie, gnój i ryj cierpliwie swój grudek.

Na to ja byłem od małego wrażliwy, sam nie wiem dlaczego, bo ułożenie klasowe swoje i

chowanie bardzo swojskie. Ale jak po półrocznym oczekiwaniu przywiózł mi maskę czarownika

z kontynentu Ameryki Północnej, nie miałem do niego o tanto pretensji i cieszyłem się

jak dziecko z tak niezwykłego podarunku. Rodzic chciał mi ją spalić, lecz zagroziłem, że pójdę

do technikum i nigdy już nie wrócę na rolę. Bogiem a prawdę to i po zawodówce nie miałem

zamiaru wracać, ale musiałem trzymać to w tajemnicy, bo i takiej szkoły by mi wzbronił.

W zasadzie to jestem bez żadnego wykształcenia. To tak jak z tym

powiedzeniem, że sołtys

nie władza, koza nie zwierzę. Żadna z niego uciecha. Chcę też wyjawić, że to obudzenie się w

dziesiątym roku do innego życia zawdzięczam Juliuszowi Widok, który na zawsze pozostanie

w mojej pamięci jako nieskalany, biały ptak pokoju.

Kiedy po podstawówce udałem się na miejskie wygnanie do miejscowości Wrocław, zamieszkałem

w internacie przy pl. Engelsa, o którym później dowiedziałem się, że był wielkim przyjacielem twórcy naukowego komunizmu. W auli szkolnej, mieliśmy ich portrety i często

wpatrywałem się w poszczególne rysy z dużym skupieniem, sam nie wiem dlaczego.

Rodzice

wnosili niewielką opłatę za moje pomieszkowanie, ponieważ szkoła przyznała mi stypendium za

okazywaną chęć do zawodu i dobre wyniki z przedmiotów teoretycznych. Nigdy nie zapomnę

sylwetki naszego dyrektora, który był człowiekiem wyjątkowo przychylnym młodzieży i

uratował niejednego przed społecznym marginesem. Chcę już na początku wyjawić, że przez

cztery lata miejskiego wygnania ani razu nie spotkałem Juliusza Widoka. Nie znaczy to, że

nie chciałem. Chciałem jak najbardziej, ale coś mnie powstrzymywało przed pójściem na ulicę

Sępa, coś dziwnie strachliwego, choć z natury nie jestem strachliwy i potrafię postawić na

swoim, w tym wypadku jednak to było dla mnie tak nieokreślenie mocne uczucie, że nie mogłem

go przezwyciężyć. Zasadniczo nie cierpiałem z tego powodu, raczej z innego, który objawił

się po kilku miesiącach internackiego współżycia jak dychawiczny spacer do potoku,

który od dawna już wysechł i nie wiesz dlaczego. Chodzi tu o

œwiat nasycony drapieżnoœciš i

obojejnoœciš, œwiat, który mnie nawet przeraził, bo ja nie znałem takiego stanu wrzenia, w

jakim cišgle przebywa miejska brać, którš staram się pogardzać, ale niespecjalnie mi to wychodzi,

nie wiem dlaczego, może dlatego, że przez cztery lata i ja także zostałem przez niš

przenicowany. Gdyby nie to, że przez trzy dni w tygodniu miałem zajęcia praktyczne w zakładzie

i mogłem popracować z robotnikami, to nie wiem, czybym wytrzymał tyle czasu w miejscowoœci Wrocław. Nie wiem. Już w pierwszym roku zauważyłem, że beztroskoœć moich

rówieœników mnie męczy i starałem się częœciej sam przebywać na dozwolonych filmach lub

oglšdać telewizor, o ile wychowawca miał humor i nie wypędział do sal na tak zwane zajęcia

własne. Po raz teŹ pierwszy w miejscowoœci Wrocław zacząłem się wstydzić rodzicielki, kiedy

przyjeżdŹała na wywiadówki albo po zakupy, i towarzyszenie jej na ulicy było dla mnie

czymœ strasznym, poniewaŹ jej zarobiona postać, zgrzytliwy głos, wycišganie zza stanika

pieniędzy wydawało mi się palšcš niesprawiedliwoœciš społeczeñstwa, które nigdy nie doznało

chłopskiego potu. Idšc obok niej marzyłem w myœlach o dniu, który nadejdzie jako czyn mojej zemsty za jej niezawiniony los, i starałem się siš panować nad moimi pięœciami,

aby już teraz nie walnš kogoœ z tej braci. Byłoby to słuszne, poniewaŹ wiêksza częœć tych

ludzi wyrzuciła chłopski pot z pamięci jak smarki z nosa i paraduje w obcej skórze, zupełnie

przeciwstawnej wspólnemu powołaniu. A takim wspólnym powołaniem, jak wykladał mi to

w pŹnijszym okresie Juliuszek, było œwięto mas pracujšcych i braterstwo Źywota. Co ja

sobie bardzo przyjsłem do wiadomoœci serca. Bardzo. Równiez przyjsłem i to, że wszyscy  
jesteœmy wielkimi jednostkami, tylko chodzi o to, by siê w tej wielkoœci uznać.

a nêdzne pomyłki  
wynikłe z postêpu zycia będsz przestêpne jak ten rok z nieparzystš iloœciœ dni, w ktorej  
odnajdujesz realizowanš przez siłę wyzszš nadzieję, że twoja prawda jest naszš prawdš. Dlatego  
nie powalałem sobie na indywidualne mędrkowanie, bo i po co.  
Już po pierwszym roku nauki zawodu zrozumiałem, że œlusarzem będe ksiemskim ze wzgledu  
na szeroki horyzont, który chciałem zdobyć. Mój wzrok czêsto padał na portret twórcy  
naukowego komunizmu i jego bujna broda przykuwała mnie do ziemi jak œpiew zaczarowanych  
syren tego greckiego chytrusa, o którym belfer od języka polskiego mawiał. Cudo radoœci  
okrutnych Achajów. Próbowałem wyobrazić sobie jego zycie, ale nie miałem ku temu żadnych danych, i pewnego dnia po wakacjach zaszedłem do szkolnej biblioteki i poprosiłem  
pracownicę o jakiegokolwiek dzieło Karola Marksa. Była zdumiona i zaczęła mi tłumaczyć, że  
trzeba mieć do tego odpowiednie wykształcenie oraz dojrzałe lata, aby siê rozeznać w jego  
ksišzkach. Na koniec powstrzymujšc uœmiech pogardy zapytała mnie, czy przeczytałem lektury,  
a kiedy odparłem, że nie lubię niezmiemskich rzeczy – zaczęła na mnie krzyceć jak na  
smarkacza, który złamał dziadkowi rdzeń. PóŸniej zaprowadziła mnie do dyrektora i œwiadczyła,  
ze jestem niebezpieczny element, bo nic chcę czytać lekturowych pisarzów i całš kulturę  
uważam za zbiór banialuków. Na szczęœcie nasz dyrektor był przychylny młodzieży i wysłuchał

również mojego wyjaśnienia, po którym odprawił pracownicę biblioteki i wtedy pochwalił  
moją ciekawość dużych spraw. Ja już mu tego nie mówiłem, jak mnie zabolął jej pański  
uciemiech, na który jestem wrażliwy od małego. W każdym razie dyrektor kazał mi zostawić  
twórcę naukowego komunizmu w spokoju i zabrać się do porządnej pracy w ramach szkolnego programu. Od tego dnia przestałem całkowicie interesować się książkami i wolny  
czas poświęcałem telewizyjnej maszynie. Moi rówieśnicy robili to samo. Zresztą na warsztatach  
instruktor ciągle powtarzał, że jesteśmy żołnierzami przemysłu. A mówił to z tym ucieszkiem, którego nie cierpię, że znienawidziłem go jak bezpańskiego ohydneho psa i  
starałem się jak najmniej słyszeć jego gryzący, wyszmelcowany głos.  
Najdziwniejsze było to,  
że on mnie lubił za to, że się nie stawiam, i za każdą robotę dawał mi dobry stopień. Spowodowało  
to bezwarunkowy odruch kolegów, którzy zaczęli mnie unikać, a przy sprzyjających okazjach walili w mordę, bo myśleli, że kapuję. To mnie bardzo bolało, bo dlaczego, dlaczego.  
Odsunąłem się od nich na odległość samotności w kupie i jedynym chłopakiem, który  
stawał w mojej obronie, był taki jeden z Domu Dziecka, ale co on sam mógł zrobić przeciw  
kupie? Toteż tak się tym przeżyłem, że zawałem drugi rok. Bałem się wrócić do domu, to  
rodzicielka przyjechała po mnie, lecz ja z niewiadomych sobie przyczyn zabarykadowałem  
drzwi w pokoju i nie chciałem ani do niej wyjść, ani jej oglądać. Poruszenie w internacie było  
duże, ponieważ rodzicielka płakała w głos i przeklinała ten dzień, w którym wyjechałem do  
szkoły i na miejskie wygnanie. Kilku starszych chłopaków, którzy



mieli już za sobą szkolne

podwoje, wyważyło drzwi zastawione szafami i wyciśnęło mnie  
spod łóżka, pod którym

szlochałem jak szczawik. Nie bili mnie, tylko jeden wymierzył  
policzek i natychmiast zobaczyłem

siebie jako cel tej samotności w kupie, o której później Juliusz  
Widok powiedział, że

jest niszczącym błogosławieństwem naszego wieku. Nigdy tej  
sceny nie zapomnę, tej i następnej,

w której upadłem rodzicielce do kolan i całowałem jej grube  
żylakowate nogi, a cały

internat spoglądał na to z nieugaszonym pragnieniem wstydu. Bo  
sobie tak kapuję, że ja chyba

ich paliłem, jak wyorany korzeń chleba pali rolnika, i niejeden z  
nich może na zawsze zrozumiał,

że nie wolno zostawiać brata na pustyni, kiedy jesteś w nim, a on  
jest w tobie.

Może

zrozumiał. Później, jak szedłem do dworca ulicami miejscowości  
Wrocław prowadząc rodzicielkę

pod rękę, odczułem wyraźny dreszcz dumy, że jestem chłopskim  
synem i mogę realizować

swoją wielkość w przyrodzie i w prawdzie. W domu przywitałem  
się z maską czarownika

gestem przymierza i kiedy rodziciele zostawili mnie samego,  
włożyłem już sobie na łeb i

dostateczną jedność całkowicie wypełniła moje proste myśli.

Chciałbym jeszcze raz wyjawić, że nie znoszę wsiowej roboty za  
jej ograniczony zasięg i

zabójcze tempo. Bo jeżeli ktoś robi przy samochodach fiat, to  
wiadomo mu, jaki zasięg ma

takie cacko i ile zdrowia musi włożyć, aby zyskać społeczny  
szacunek. Czego nie mogę powiedzieć

o Wsi. Mnie to strasznie obchodzi, gdyż nie wyobrażam sobie  
życia poza młodszą wspólnotą, w której panuje równość i braterstwo. A

do takiej wspólnoty, jak pouczał mnie w  
późniejszym okresie Juliusz Widok, znakomicie nadaje się klasa  
chłopska ze względu na cywilizacyjną  
świadomość. On był już wtedy na uniwersytecie i bardzo ładnie  
mówił po polsku, że mogłem słuchać go w nieskończoność, co  
wzbudzało wciekłość rodzica, gdyż zapuszczałem  
się w robocie. Jego dziad oddał swoje hektary w dzierżawę i  
Juliuszek, aby popracować,  
przychodził do nas, co bardzo przechyliło szalę Wsi na jego  
korzyść i spowodowało, że ci,  
którzy zdobywali wyższe wykształcenie, przestali się wstydić  
pasienia krów.  
Zresztą Juliuszek  
często powtarzał, że krowy mogłyby rozwiązać problem  
sfrustrowanej młodzieży i zniszczyć jej bananowy korzeń. Dla mnie  
było to zupełne objawienie spraw nowych, których  
do tej pory nie miałem nawet w pomysłach. Bo oto zrozumiałem,  
że istnieje jakiegoś  
inny wymiar  
młodości, nie tylko otepiałą piekielną robotą, ale i swobodna  
perspektywa myśli i życia  
dla czegoś, które było o wiele wspanialsze niż krzyż  
codzienności. O wiele.  
Nawet wyjawiałem  
te wstpliwości Juliuszkowi, który skwitował to wzruszeniem  
ramion i oświadczył, że  
są to oczywiste pomyłki teraźniejszej chwili, które będą  
zlikwidowane w królestwie ustawicznego  
święta. Nie próbowałem się z nim sprzeczać, bo i po co. Przecież  
to on był tym, który filozofował na progu obory, kiedy wyrzucałem gnój  
w milczącym zacięciu posłuchu i  
jego wysokosiężne gadanie doprowadzało mnie do ukrytego szału,  
jeżeli można tak się wyrazić.  
Przecież to on wpierał mi, że mógłbym poderżnąć jego  
dziewczynie gardło, ponieważ

grzech został zaprzepaszczone i musimy oczyścić się w czynie prawdziwej idei.

Wtedy przypominałem sobie rysy twórcy naukowego komunizmu i dreszcz grozy przenikał moje ciało, gdyż nie mogłem uwierzyć, aby Juliusz Widok poprzestał tylko na wysokosiężnym gadaniu.

Z mocną nadzieją pracy szedłem w pole, ale po dwóch, trzech godzinach tamte słowa mimowiednie obsiadały mi łeb, ciskałem pług czy widły i jak głupi wpatrywałem się przed siebie.

Jedyny od nich spokój miałem przed telewizyjną maszyną, która wyłuszczała mnie z obecnego świata, a który teraz widzi we mnie skrojonego złoczyńcę większej klasy.

W trzecim roku mojego wygnania zdarzyło się coś, co mnie nauczyło unikania dziewcząt w każdym calu. Ten jeden z Domu Dziecka, który mnie bronił przed napaściami kupy, był bardzo fajnym chłopakiem i panny szalały za nim jak za aktorem Brando, jeżeli można się tak wyrazić. Otóż on pewnego razu zabrał mnie na taką prywatkę, na której zdarzyło się to moje bolesne omdlenie. Ale zacznę po kolei. Kiedy przyszlizemy w to miejsce, wszyscy bawili się w ogłuszającym ryku magnetofonu i dziewczyna tego chłopaka zaraz go opieprzyła za lekceważący stosunek do ich imprezy, co on przyjął z głocnym śmiechem, ponieważ już kochał czy coś koło tego i ona o tym wiedziała. Natychmiast podprowadzili mnie do grubej panny, która na mój widok uśmiechnęła się tak jakoby dziwnie, że poczułem bardzo wyraźne swędzenie w rękach, co zdarza się u mnie wtedy, jak chcę, aby komuś w nich było bardzo źle.

Opanowałem  
się jednak i skromnie siadłem na brzegu krzesła i gorzczkowo  
zaczłem myśleć nad tym, żeby  
się dobrze znaleźć i nie powstydić tego chłopaka, który uznawał  
mnie za bliźniego. Ale po  
każdym spojrzeniu na tę pannę język przysychał mi do  
podniebienia i o towarzyskiej mowie  
nie było mowy. Ona widocznie to odczuła, bo popatrzyła na mnie  
ocelkami ropuchy i spytała:  
A kolega to z jakiej budy? Z zasadniczej, odparłem. Ulica  
Poznańska. Ach, powiedziała, tatulo nie chcę kolegi kształtować na  
technika lub inżyniera? Dlaczego nie chcę, dlaczego, i  
zaciśnęła ościechem dalsze słowa, które w odwrocie do  
poprzednich paliły mnie strasznym  
ogniem. Już taki głupi przecież nie jestem, aby się nie domyśleć  
wzgardy, i popatrzyłem na  
nią wystarczająco długo, że nagle wstała i rzuciła się między  
roztańczone pary.  
Ból czaszki,  
który doznaję w chwilach przełomowych, chwycił mnie silnie i nie  
mogłem zrobić kroku. Jak  
długo siedziałem na tym krześle, trudno mi powiedzieć, ale jak  
wstałem, żeby przejść do drugiego  
pokoju po jakieś żarcie, czacha ciśgle oewierbiała. W tym  
drugim pomieszczeniu wziłem sobie sałatkę i oparłem się o oecianę,  
aby ją wrzucić na ruszta. Wtedy wpadła cała  
ferajna i jak sfora zaczęła gryźć pożywienie. Jeszcze bardziej  
przyszpiliłem się do oeciany i  
nagle usłyszałem mlaskający język ropuchy, który tak gwałtownie  
uciszył kupę, że osłupiał  
wpatrzyłem się w ich skamieniały globus twarzy. I ona wtedy  
krzyknęła: Co tak stoisz, jakby  
ci Niemcy starego rozwalili, synu błędnej maciory? Ryk, który po  
tym nastąpił, był dla mnie  
niesłyszalny. Zdawało mi się, że czaszka mi pękła i mózg wybił to

wodniste ołepie, abym

utonł w jego ohydnej mazi. Niestety. Bolesne omdlenie zgotowało mi upadek na pysk, z którego

mnie ocucono kilkoma współczujścymi przekleństwami i odesłano do internatu.

Znacznie

póŹniej, kiedy Juliusz Widok przywiózł Gabrielę M. na Wiecę, zrozumiałem, na czym polega

wyzywajšca dobroć kobiet. Staralem się zresztš podporzšdkować tej prawdzie, że kobieta

myœli macicš, i patrzyłem na Gabrielę M. mniej więcej tak jak na telewizyjnš maszynie.

Była to dziewczyna bardzo ładna i Juliuszek jš hołubił jak stary lord, co uważalem dla niego

za niebezpieczne i zwróciłem mu na to uwagę. Odpowiedział mi, że przegrana mężczyzn naszej

epoki jest stšd, że mężczyzna nigdy nie cenił inteligencji kobiety i konsekwencje tego sš

nieobliczalne. Gabriela M. od pierwszego spotkania traktowała mnie z jakšcœ

odrazš i musiałem

narzucac sobie wewnętrzny spokój, aby nie rozkwasić jej pięknej buzi. W naszej sprawie

nie miała ona jednak wiele do powiedzenia i z ulgš zostawiam jš własnemu losowi.

Po ukończeniu szkoły miałem iœć do wojska, ale rodzic zareklamował mnie jako żywiciela

rodziny i pozostałem na gospodarstwie. Chociaž nie znoszę pracy na roli, w tym wypadku

trochę jednak przygasłem i z bezmyœlnš chęciš przerabiałem krzyž codziennoœci na coraz to

inne marzenia na lepszy, wspanialszy œwiat. O Juliuszku nie myœlałem, wiedziałem tylko od

dziada, że jest na uniwersytecie i będzie z niego goœć od kultury materialnej zamierzchłych

wieków. Próbowałem zejść się hodowlą gołębi, aby mieć  
wyobrażenie nieznanych podróży,  
lecz pierwsza para poluchów zdechła mi przed daniem potomstwa  
i nie miałem nerwu na zaczynanie  
od początku. Coraz częściej myślałem o swoim miejskim  
wzgnaniu i powoli zaczynałem  
żałować, że nie potrafiłem się do niego przyzwyczaić. Miałbym  
przecież tam doć znoenie,  
bo jako robotnik wykwalifikowany byłbym niezależną jednostką i  
po godzinach pracy  
mógłbym się poświęcić myślom o dalekich narodach, o których  
kiedyś opowiadał nam nasz  
oficer marynarki handlowej i które wbiły mi się w pamięć na  
kształt ostrego bolca. I chociaż  
maska czarownika cieszyła mnie, to jednak nie była to uciecha  
całkowita. Z  
niecierpliwości  
oczekiwałem lata, kiedy przyjedzie Juliusz Widok i wszystko  
stanie się tak proste i jasne, że  
aż nie warto strzępienia języka. Nie spodziewałem się, że on z  
Gabriele M.  
zacznie przyjeżdżać  
na Wieś od wiosny i będzie mnie zamęczał wysokosiężnym  
gadaniem, w którym już się  
rozeznawałem po swojemu. Wtedy powziłem do niego tę  
wylewną niechęć, która mnie samego  
zadziwiła, ponieważ kochałem go jak brata i robiłem wszystko,  
aby być człowiekiem  
jego idei. Muszę wyjawic, że te wizyty z Gabriele M. były dla  
dziada Jędrzeja koszmarem  
natury erotycznej, gdyż dziad Jędrzej na widok tej dziewczyny  
purpurowiał jak byk i z oczami  
nabiegłymi krwią szalał po pustej oborze w poszukiwaniu  
miłosnego oćierwa.  
Udawałem,

że nie dostrzegam jego stanu, ale kiedy siadywalicemy na ganku i Gabriela M.

kołysała długimi  
nogami przed nosem dziada jak wierzgajšca łania, głoeno  
krytykowałem współczesnš modę  
i kompletny upadek obyczajów, co pobudzało jš do takiego  
œmiechu, że ręce mi wilgotniały  
od oczywistych chęci porachowania jej koœci. Pewnego dnia, po  
ich odjeŹdzie do miejscowoœci

Wrocław, przeskoczyłem płot, który oddziela naszš zagrodę od  
gniazda Widoków, i wszedłem do chałupy, aby pożyczyć od dziada  
Jędrzeja radło (jedyna rzecz, która mu została

z tego ogromnego bogactwa), ponieważ chcieliemy z rodzicem  
zaradlić ziemniaki na dwa

konie. W kuchni nie było go, więc siadłem na krzeœle sšdzšc, że  
poszedł do wygodki. Jednakże

po chwili z pokoju, w którym zawsze sypiał Juliuszek, usłyszałem  
nieartykułowanie

dŹwięki i jakieœ chrapliwy pogłos. Wstałem i delikatnie  
otworzyłem drzwi i włosy zjeżyły mi

się na głowie. Dziad Jędrzej siedział goły okrakiem na łóŹku i  
namiętnie całował

zapomnianš

kieckę Gabrieli M. W oczach jaœniała mu taka bycza siła, że  
puœciłem klamkę i wyskoczyłem

z chałupy jak oparzony. Przez parę dni nie zachodziłem do niego i  
dopiero jak oswoiłem się z

myœlš, że istnieješ na œwiecie rzeczy, które nawet Bogu się nie  
œniły, powróciłem w jego progi

wewnętrznie uspokojony. Nigdy przedtem i nigdy potem, to jest aż  
do samej œmierci, która

nastšpiła w pięć miesięcy póŹniej, dziad Jędrzej nie był tak  
posšgowo piękny jak w czasie

przyjazdów i Gabrieli M. W tym czasie rzadko bawiłem się swojš  
maskš czarownika.

Nawet  
powoli zaczynałem jej nie znosić za niespokojną kamienność jej  
rysów, która mnie po prostu  
przerazała, jeżeli można się tak wyrazić. Przypatrzyłem się jej  
uważnie i w nagłym błysku  
świadomości stwierdziłem, że jest w niej coś z zaciętego uporu  
Juliusza Widoka.  
Wyniosłem  
ją z domu i wsadziłem pod omszałe dachówki stodoły połączanymi  
rogami do powietrznych  
dziur, przez które słońce wyciśgało z niej dziką zachłanność.  
Kiedy patrzyłem na nią z dołu,  
wydawało mi się, że pod moim wzrokiem zaczyna kołysać się w  
takt kłapiących zębów, co  
brałem za wynik moich niespokojnych nocy, pełnych męczego  
jazgotu słów Juliusza Widoka.  
On zaczynał mnie już wciśgać w krąg jakiego wymyślonych ludzi,  
którzy chcieli odkupić  
ludzką miłość i ponieśli sromotną klęskę. Najczęściej  
mówił o takim ruskim Ruskalnikowie  
i jego siekierze, która ciśgła buja w obłokach i w dogodnym  
momencie wyrśbie na naszych czołach krzyż popiołu, abyśmy sobie nie  
myśleli, że do wielkości można zmierzać po  
trupach. Ten ruski Ruskalnikow to był obłądny konik Juliuszka i  
jak już na niego wsiadł, to  
nie było mowy o wyprowadzeniu go na rozsądny tor myśli. Bez  
przerwy zmuszał mnie do  
czytania książki, która jest o tym człowieku, i musiałem mu  
wywalić prosto z mostu, że każde  
czytanie mnie śmiertelnie nudzi, co doprowadzało go do furii. Ale  
ja już nic na to nie mogłem  
poradzić, ponieważ ten dzień, w którym zaszedłem do szkolnej  
biblioteki w celu wypożyczenia  
jakiejś książki twórcy naukowego komunizmu, był tak odległy, że  
prawie nierzeczywisty.



Juliusz Widok dosłownie kpił sobie z moich prawdziwych wyznań  
i to mnie bardzo zraziło do  
jego wysokosiężnego gadania. Tym bardziej że zaczął nam,  
młodym mieszkańcom Wsi, zarzucać  
kolektywną nieświadomość własnego istnienia, co było już nad  
wyraz głupie, bo co jak co, ale to, że oddycham i chodzę za pługiem, jest  
najwyższym dowodem mojego celowego  
życia. Na dodatek w obszarze hektarowym Wsi zaczęto  
przeprowadzać gruntowne prace  
melioracyjne i robotnicy z tej branży swoim potem potwierdzili ten  
najwyższy dowód. Staralem  
się nie denerwować go swoim własnym zdaniem i w pilnym  
milczeniu zgadzałem się z jego ostatecznym wnioskiem, który określał  
mnie jako spadkobiercę dziada Jędrzeja. Specjalnie  
nie byłem tym zaskoczony, ponieważ dziad Jędrzej ciśnie dawał  
mi do zrozumienia, że  
zostawi mi tę gospodarczą ruinę za moja ludzkość, aby po  
gnieŹdzie Widoków nie pozostał  
żaden celad ziemski, gdyż plemię, które sprzeniewierzyło się  
służbie ludowi prawa i sprawiedliwości,  
jest skazane przez Boga na zapomnienie. Chwytał go przy tym  
gardłowy płacz za pierworodnym, który zmarł tragicznie na robotach w  
Rzeszy i choć został  
pomszczony – jak  
mówił dziad Jędrzej – to nadaremnie, nadaremnie. Dlatego  
ostateczny wniosek Juliuszka bardzo  
mnie ucieszył, bo oznaczał, że jestem mu jednak bliskim  
przyjacielem. Marzyłem już, że  
jak będę miał swoją ziemię i podŹwignę gospodarke z ruiny, to  
może polubię wsiową robotę i  
kto wie, czy nie stanę się wzorowym rolnikiem wspólnoty dzięki  
telewizyjnym programom  
naukowym obsiewu i siewu. Kto wie? Stąd moja wdzięczność  
jeszcze większej nabrała siły i  
już otwarcie opiekowałem się dziadem Jędrzejem. Chodziłem

nawet do jego dzierżawców,

aby wyrwać im z chciwej paszczyki należne mu grosze, a rodzic mój, widząc co się oewięci,

podjudzał ich chłopską dumę, żeby bardziej dbali o dzierżawne hektary, bo już tak na Wsi

bywa, że swoje jest oczkiem w głowie, natomiast obce służy tylko do wykorzystania i darmowego

bogactwa. Bardzo pragnęłam długiego życia dla dziada Jędrzeja, ale stało się inaczej,

i w dniu pogrzebu żałowałam go jak jego własny syn. W dniu tym idąc za trumną przypomniałam

sobie tamto odległe lato, kiedy byłem chłopcem i dziad Jędrzej zabrał mnie z Juliuszkiem do pobliskiego miasteczka, w którym występował cyrk, i ja po raz pierwszy zobaczyłem

wspaniałoci o wiata zwierzęcego. Jeszcze teraz doznaję tego dziwnego dreszczu na widok olbrzymiego namiotu i cygańskich wozów, otaczających go, jak tajemniczą wyspę.

Siedząc blisko areny przeżywałam występy artystów jak niepowtarzalną podróż i moja obudzona

tęsknota za czymś niezwykłym zrealizowała się w treserze lwów. Widzę już piękniejszą i opanowaną, z trzaskającym biczem, z lwami, które ociążałam posłuszeństwem wykonując

ćwiczenia, z nieopadłym westchnieniem grozy widowni, gdy ona klęka przed potężnym królem

zwierzęt i wkłada swoją głowę w jego paszczę, czuję na swoim ramieniu palce Juliuszka

wbite do krwi, do momentu jej nagłego powstania i baletniczego ukłonu, widzę jeszcze senne

mroczne oko wchłaniające nasze twarze do zupełnego zaniku, tak, że dzisiaj, kiedy myślałam o

tamtęj dojmującej chwili, piękna treserka lwów porywa mnie swoją odwagą i czuję, że mógłbym

zniszczyć krzyż codzienności samym tylko wyzwaniem. Czuję to.

Trzeba mi wyjawić, że moje kolegowanie się z meliorantami wzięło się z naturalnej potrzeby

obcowania z ludŸmi œwiatowymi, do których niewœtpliwie naleŸ. Bo zauwaŸyć naleŸy nie tylko mnie, ale i jednostkom obserwujœcym, Ÿe człowiek œwiatowy nie odczuwa braku domu czy ojczyzny, nie odczuwa czegoœ takiego jak fałowe działanie w dobrej sprawie i wszystko robi dla wlasnej wygody lub przyjemnoœci. Melioranci przy tym majœ duŸo hajcu i moŸna popić w ich towarzystwie do upadłego. Ja nie jestem mocno pijœcy, ale za kołnier nie wylewam, bo i po co. W dodatku rodzic dawał mi tak niewiele grosza, Ÿe w zasadzie byłem ciœgle bez grosza. Dlatego lubilem z nimi przebywać, a jak się juŸ z kimœ przebywa w oparach alkoholu, to język rozwiœtuje się samo przez się i gadaniu nie ma końca. Stœd nieodparcie zawsze musialem zahaczyć o œwiatło braterstwa mas pracujœcych, które czeka nas w królestwie wolnoœci i swobody, czyli w rozwiniętym socjalizmie. Oni byli bardzo chciwi na tę budujœcœ perspektywę i musialem im dokładamente wyjaœniać, jaka to piękna przyszłoœć tworzy się przed ludzkoœciœ. Wtedy boleœnie odczuwałem nieznamoœć ksiœŸek twórcy naukowego komunizmu, poniewaŸ to wszystko, co usłyszałem od Juliusza Widoka, w przekazie na dalszœ metę było samym przekazem. To znaczy, Ÿe im dłuŸej gadałem o naszym œwiecie bez zbrodni i pomyłek, tym wiêkszœ wzbudzałem nieufnoœć meliorantów, aŸ doszło do tego, Ÿe œwiadaczyli mi, Ÿe Juliusz Widok jest wariatem i zasługuje na baty za te tysiœce, które oni, jako masa pracujœca, łoŸœ na jego wyŸsze wykształcenie. Byłem zaskoczony tym, Ÿe wiedzœ o takich

rzeczach, ale jeden z nich, Mundek Bradiaga (ten sam, który  
póŹniej dobił  
Juliuszka obcasem  
i poddał myœl, aby go utopić w stawie), wyciœgnł jakœ papier,  
który poœwiadczał, że on,  
Mundek Bradiaga, jest człowiekiem Korespondencyjnego Klubu  
Młodych Pisarzy i zbiera  
materiały do powieœci o pokoleniu. Trudno mi było uwierzyć, aby  
taki pijaczyna mógł coœ  
rozsłdniego napisać o ludziach pracy jednego ułoŹenia klasowego, i  
postanowiłem go wyœmiać  
przy pierwszej lepszej okazji. Jednak taka okazja jakoœ się nie  
trafiła i teraz publicznie  
chcę wyjawić, że nie Źałuję tego bandyty, który zmarnował Źycie  
mego jedynego przyjaciela,  
poniewaŹ nie dorastał mu do pięt i z miejsca znienawidził go za tę  
budujšcš perspektywę  
œwiata. To on jest winny, że tak się stało, on i jego kumple, którzy  
zrozumieli moje słowa tak  
właœnie, Źeby im pasowały do grandy w imię kolektywnej  
spontanicznej nieœwiadomoœci ich  
plugawego Źywota. Cała Wieœ może zaprzysiœc mojsš rację, że jak  
tylko pojawili się na naszym  
terenie, to pijañstwo, gwałty i œmiertelne bójki były na porzłdku  
dziennym.  
Stare kobiety  
nie mogły przejœc spokojnie obok baru, Źeby nie usłyszeć  
wyzwisk i przekleñstw na swš  
czecœ. KaŹda zabawa zamieniała się w rykowisko bydła i Wieœ  
postradała zezwolenie na czas  
nieograniczony. Proboszcz grzmiał na ambonie, aby wymówiç im  
mieszkania, ale tutaj nie  
moŹna juŹ było liczyç na jednomyœlnoœc, bo firma płaçiała dobrze  
i kaŹdy liczył  
się z darmowš

żyłś złota. Oni o tym doskonale wiedzieli i rozbestwiali się na  
całego i ja zrozumiałem wreszcie,  
dlaczego grzech został zaprzepaszczone. Bar miał takie dochody,  
że bufetowy błogosławił  
godzinę nalotu tej zarazy. Najdziwniejsze jednak było to, że nas,  
młodych, ciśgnęły do  
nich włacenie te bezeceństwa i kilku nawet poszło kopać rowy, aby  
całkowicie się w nich zatracić.

Kiedy mówiłem o tym Juliuszkowi, wzruszał niecierpliwie  
ramionami, ale dopiero jak  
pewnej niedzieli otoczyli jego i Gabrielę M. na szosie i w biały  
dzień zaczęli mówić słonym  
językiem o tych rzeczach, przestraszył się na dobre i z daleka  
omijał  
rozbestwionś sfore. On  
mógł omijać, lecz ja nie mogłem. Po prostu nie mogłem z  
przyczyn przeze mnie wyjawionych.

Ten dzień pogrzebu pozostanie dla mnie dniem przeklętym na  
zawsze. Nie chodzi o uroczystoœci  
żałobne, które były godne wzorowego katolika. Nie chodzi teŹ o  
pieniśdze rodzicieli,  
które opłaciły trumnę i księdza, ponieważ pan Profesor przyjechał  
na godzinę przed wyprowadzeniem  
zwłok na ostatniś drogę i nie naleŹało mu się interesować takimi  
przyziemnymi sprawami. Nawiasem powiem, że i póŹniej nie rzekł  
słowa na ten temat, co mnie zabolalo  
jak zniewaga i postanowiłem traktować go jak powietrze, aby  
wiedział, że prosty człowiek teŹ  
zna swoiś mśdroœć i swoje miejsce. Najbardziej byłem zdziwiony  
tym, że Juliuszek nie zjawił  
się w tych trzech dniach œmiertelnego czuwania ani w ostatniś  
godzinę, lecz dopiero przyjechał  
południowym autobusem, kiedy juŹ zeœmy dziada Jędrzeja  
zakopali i Wieœ wróciła do  
swoich zajęć. Kapowałem sobie, że powody miał on nie na mój

rozum, żebym roztrząsał tego

rodzaju postępowanie. W każdym razie, jak przyjechał, ja zaraz przeskoczyłem płot i pomaszerowałem

do chałupy po godziwś zapłatę, jakś miała być ta zrujnowana gospodarka. Jeszcze dobrze się nie przywitałem, a już pan Ryszard (starszy syn Profesora) mnie obraził celowś

odzywks poniżajścś mojś osobę. Nie znałem przedtem goœcia, ale jeden rzut oka wystarczył

mi do stwierdzenia, że to okreœlony przedstawiciel miejskiej braci, którś staram się pogardzać,

choć niespecjalnie mi to wychodzi. Również rodzicielka Juliuszka sztywno siedzśca

przy stole wydała mi się jak nie z tego œwiata, co już mi się rzuciło w oczy w czasie uroczystoœci

żałobnych, bo tak olœniewajścej czerni i tak sztucznego żalu nie widziałem jeszcze nigdy.

Pan Profesor bardzo po profesorsku zaczął mnie pytać o różne rzeczy i w duchu œmiać mi

się chciało, że tak głupio prowadzi rozmowę. Przecież często oglśdałem w telewizyjnej maszynie

ludzi nauki i byłem otrzaskany z ich słowami na tyle, aby pojsć, co im w trawie piszczy.

Nie mogłem się doczekać, kiedy przejdzie wreszcie do tego ostatecznego wniosku, który

od dawna odebrał mu prawo do tego domu. Ale póŹniej zaczęli o czymœ takim gadać, co każdy

facet w miarę mśdry i w miarę głupi załatwiłby się z tym okreœleniem gówno i byłoby po

krzyku. Trzeba było wreszcie, żeby Juliuszek powiedział, że mnie ruina się należy i trzeba

było zdecydowanego oporu pana Profesora, który wskazał mi po prostu drzwi, aby we mnie

wszystko się załamało, starło, łścznie z romantycznym punktem, którym miałem być dla Juliusza

Widoka i z którego mieliœmy wystartować do tej dalekiej podróży

w stronę królestwa

powszechnego braterstwa i swobody. Opuściłem ich całkowicie  
wybity z rytmu tego przeklętego

dnia i choć Juliuszek próbował mi wmówić, że ruina będzie jednak  
moja, wiedziałem,

co mam o tym myśleć. I nawet pod wieczór, kiedy Giemza  
przyszedł z kupcami i Juliuszek na

podwórzu zrobił z nich myśliwych śliny otaczając ich świętą  
mateczką piś do takiego stopnia,

że sam pan Profesor padł na kolana i bełkotał o wspólnym losie, ja  
nadal byłem nieprzytomny

i bardzo daleki od naszej dalekiej podróży. A potem jeszcze nagły  
gniew Juliuszka i

cios jego ręki, który zdruzgotał mi duszę. O, tego nie mogłem, nie  
mogłem już darować.

Nie śmiałem rodziciela poinformować o naszej przegranej i po  
oporządzeniu hodowli

zmyłem się do baru. Melioranci jak zwykle pili wódkę i zaraz  
nalali mi szklanę.

Mundek

Bradiaga zahaczył o pogrzeb, który oglądał z rowu i pochwalił  
wzorową pokorę wiernych.

Nie wiedziałem, o co mu idzie, ale mi to natychmiast wyjaśnił,  
lżąc kocciół

takimi wyzwiskami,

że chwyciłem go za gardziel i o mały włos nie zadusiłem jego  
świńskiego ryja.

Czego

żałuję do dziś, bo jakbym to uczynił. Nie wiem już, co mówię,  
ponieważ jestem kompletnie

skołowany i rozbity. Piłem z taką zjadłością, że melioranci  
patrzyli na mnie z osłupieniem.

Później zacząłem płakać i sponiewieranym głosem ubliżać  
Juliuszowi Widokowi jego wiary

w budującą perspektywę świata. Przerwałem to dopiero, jak on

sam wszedł do baru.

Nic już  
zupełnie nie pojmowałem. To znaczy nie odjechał z panem  
Profesorem i wszedł  
normalnie do  
baru szukajść mojej osoby, aby zakpić już ze mnie na całego. Bo  
facet, który pija tylko angielskš  
herbatę, włazi tam, gdzie doskonale wie, że jej nie dostanie. Po co?  
No po to, że ma  
tam do kogoœ interes natury już nie prywatnej, ale publicznej. W  
takim włacenie punkcie, który  
dla kaźdego Widoku jest jedynym widokiem. Jeszcze coœ tam  
myœlałem w sposób całkowicie  
bezmylelny, kiedy Mundek Bradiaga podszedł do niego i coœ  
zaczł mówić. Przez chwilę sšdziłem,  
że będsi się walić, lecz Juliusz Widok pchnł go od siebie i wyszedł  
z baru.

Byłem  
rozczarowany i reszta to samo. Zaczęliœmy mu dogadywać, że  
zdradza prawdziwych kumpli  
na rzecz tego Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, który  
nawet trudno wymówić,  
tak jest pokraccnie długi. Mundek Bradiaga wył jak dorzynany  
wilk i z dzikim opętaniem  
wrzeszczał, że wszystko opisze i sprzeda narodowi, aby poznał,  
jakich to psich synów sobie  
wychował. Piliœmy jeszcze, ale już niedługo, i opuœciliœmy bar  
objęci jak węże.

Idšc przez  
Wieœ ryczeliœmy pieœń zwycięstwa i ludzie musieli się zegnać  
na swych samotnych łózkach  
taki ogłuszajšcy grzmot radoœci wylatywał z naszych spalonych  
od ogólnoludzkiej miłocci  
gardeł. Dopiero na przystanku, kiedy zobaczyliœmy pod wiatš  
skulonego Juliusza Widoka,



grzmot ten znikł, jakby go nigdy nie było. To była straszna chwila. Oni patrzyli na niego takim jednolitym nieprzytomnym wzrokiem, że z miejsca wytrzeŹ wiałem i podniosłem rękę do gestu przymierza. Tylko że już było za póŹno, bo runęli na niego jednym ciałem i nakryli go jak wrzŹca woda. Nie wiem, jak długo stałem przygwoŹdzony do ziemi, wiem tylko, że jak zdjęli z niego swoje nogi, zobaczyłem krwawŹ miazgę. Coœmy zrobili, chłopcy, powiedziałem z rozpaczŹ. Coœmy zrobili? Wtedy ten bandyta chwycił mnie za kark i kazał mi nieœć go do stawu. I ja niosłem œlepiiony własnŹ ciemnoœciŹ i rozdzierajŹcym Źalem. PóŹniej uciekłem z tego miejsca i przez caŹ noc bliŹkałem się po domu jak lunatyk. O œwiecie samoczynnie skierowałem swoje kroki do stodoŹy, aby rozprawiły się z mojŹ chłopiœcŹ tęsknotŹ do nieznanych podróŹy i poznawania innych narodów. Ale maski czarownika nie znalazłem. Szukałem jej w całym gospodarstwie i obłędna myœl, że może jŹ sobie tylko wymyœliłem, spowodowała przejmujŹcy ból czaszki, który od tamtego dnia nie opuszcza mnie ani na chwilę. I nawet to, że jeszcze tego samego dnia zgłosiłem się na milicjê, nie może złagodzić tego okropnego bólu. Nie jestem winny œmierci Juliusza Widoka i proszê o wybaczenie.

